

Mary Westmacott
czyli
Agatha Christie

Córka jest córką

A Daughter's a Daughter

Przełożyła Bogumiła Malareczka

Wydanie polskie: 2001

Wydanie oryginalne: 1952

TMN

Księga pierwsza

Rozdział pierwszy

1

Ann Prentice stała na peronie Victoria Station, kiwając ręką na pożegnanie. Po serii mozolnych szarpnięć pociąg, mający bezpośrednie połączenie ze statkiem, odjechał, ciemna głowa Sarah znikła w oddali, a Ann powoli ruszyła w stronę wyjścia.

Oto miała doświadczyć dziwnie mieszanych uczuć, znanych ludziom, którzy rozstają się z kimś najdroższym.

Kochana Sarah, jakże przyjdzie jej za nią tęsknić... Oczywiście, to tylko trzy tygodnie... Lecz mieszkanie zda się z pewnością tak puste... Tylko ona i Edith — dwie nudne kobiety w średnim wieku...

Sarah — pełna życia, energiczna, tak mocno stąpająca po ziemi... Choć, z drugiej strony, Sarah to wciąż jeszcze jej kochane, urocze, czarnowłose małeństwo.

Ach, nie powinna w ten sposób nawet myśleć! Jakżeby Sarah się zirytowała. Jedyną rzeczą, przy której zarówno córka, jak i jej rówieśnice uporczywie obstawały, było to, aby rodzice nie ingerowali w ich życie. „Nie mieszaj się, mamo”, powtarzała niecierpliwie każda nastolatka.

Oczywiście, godziły się na swoisty haracz; oddawanie ubrań córek do pralni, obsługa, płacenie rachunków, prowadzenie co trudniejszych rozmów telefonicznych („Proszę, mamo, zadzwoń do Carol, ty to lepiej załatwisz”) lub sprzątanie wiecznie porzrzucanych rzeczy („Kochana, naprawdę chciałam to wszystko pozbiierać, ale po prostu się śpieszyłam”).

No tak, kiedy ja byłam młoda, pomyślała Ann... Sięgnęła myślą wstecz. Jej dom był oparty na staroświeckich zasadach. Kiedy się urodziła, matka miała ponad czterdzieści lat, a ojciec o piętnaście czy szesnaście więcej. To on narzucał ton w rodzinie. Uczucia nie były sprawą raz na zawsze przesądzoną; obie strony dbały o to, by je sobie wzajemnie okazywać.

„Ach, oto i moja dziewczynka”. „Ukochanie tatusia!” „Czy chcesz, bym zrobiła coś dla ciebie, mateczko?”

Prowadzenie domu, załatwianie sprawunków, rozliczanie się z dostawcami, zaproszenia i bileciki do sąsiadów — tego typu sprawami Ann zajmowała się w sposób najzupełniej naturalny. Córki były po to, aby służyć rodzicom; nie odwrotnie.

Podchodząc do stoiska z książkami, Ann, nieoczekiwanie dla siebie samej, zapytała, w duchu: A zatem, czy moja młodość była lepsza niż młodość Sarah?

Dziwne, lecz odpowiedź nie nasuwała się sama. Przebiegając wzrokiem po półkach (coś do czytania na dzisiejszy wieczór przed kominkiem), doszła do wniosku, że sprawa jest właściwie bez znaczenia. Po prostu chodzi o pewną konwencję, nic innego. To tak jak ze slangiem. Raz się mówi, że coś jest „kapitalne”, raz, że „boskie”, a jeszcze raz, że „cudowne” albo że „w życiu” ktoś z kimś się nie zgodzi, albo że się „szalenie” lubi to czy tamto.

Dzieci są do dyspozycji rodziców lub rodzice obsługują dzieci — to bez znaczenia, jeśli chodzi o podstawowe żywotne związki między jednym człowiekiem a drugim. Sarah i ją (Ann nie miała wątpliwości) łączyła prawdziwa miłość. A ją i jej własną matkę? Wspominając teraz tamte dni, pomyślała, że pod zewnętrzną powłoką czułości i uczucia kryła się w rzeczywistości zwykła i uprzejma obojętność, dokładnie taka sama jak w dzisiejszych czasach.

Uśmiechając się sama do siebie, Ann kupiła coś z serii Penguina — książkę, która kilka lat temu sprawiła jej prawdziwą przyjemność. Teraz pewnie okaże się przesłodzona i sentymentalna, lecz na szczęście Sarah nie będzie miała okazji jej skrytykować...

Pomyślała: Będę za nią tęsknić, to oczywiste, ale poza tym zaznam trochę spokoju...

Pomyślała też: Co ważniejsze, Edith odpocznie. Ma już dość wywracania domu do góry nogami i ciągłych zmian godzin posiłków.

Tak, to prawda. Sarah i jej przyjaciele dalecy byli od przestrzegania sztywnych zasad: przychodzili, wychodzili, dzwonili w najmniej oczekiwanych porach dnia, zmieniali plany. „Mamo, kochana moja, czy mogłybyśmy dzisiaj zjeść wcześniej? Wybieram się do kina”. „Czy to ty, mammo? Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że jednak nie przyjdę na lunch”.

Dla Edith, wiernej służącej, która związana była z rodziną od ponad dwudziestu lat, trzykrotne wykonywanie jednej i tej samej czynności było niezmiernie irytujące. Nic więc dziwnego, że często, jak zwykła mówić Sarah, Edith miewała muchy w nosie, co nie znaczyło, że Sarah nie owinęła jej sobie dookoła palca. Edith mogła gderać i zrzędzić do woli; i tak uwielbiała swoją panią.

Teraz będą we dwie — ona i Edith. Nie będzie żadnego zamieszania, żadnego radoznego zgiewku. W domu zapanuje cisza... Ann poczuła w sercu igielki chłodu. Pomyślała: Tak, cisza i jeszcze raz cisza. Cisza, która jest symbolem podeszłego wieku. Cisza, zwia-
stunka śmierci. Poza ciszą nic mnie nie czeka.

Lecz czego ja naprawdę chcę? Miałam już wszystko. Miłość i szczęście u boku Patricka. Dziecko. Miałam to, czego pragnęłam w życiu najbardziej. Teraz nadchodzi kres. Teraz Sarah zajmie moje miejsce. Wyjdzie za mąż, będzie miała dzieci. A ja będę babcią.

Uśmiechnęła się do siebie. Być babcią — ileż to nowych radości. Wyobraziła sobie dorodną, rozbieganą gromadkę, dzieci jej córki; urwisy z niesfornymi, czarnymi lokami Sarah, wijącymi się wokół pucołowatych twarzyczek, tłuściutkie, małe dziewczynki. Znow powrócą książeczki dla dzieci, znow nastanie czas opowiadania bajek...

Uśmiechnęła się do swoich myśli, a mimo to drobne igiełki chłodu nadal ziębiły jej serce. To odzywał się dawno stłumiony żal. Żal po stracie Patricka. Ileż to już lat — Sarah była wówczas trzyletnim dzieckiem! Ile lat. Rany zdążyły się zagoić. Potrafiła myśleć o Patricku z rozrzewnieniem, nie z bólem. Porywczy, impulsywny młody mąż, którego tak bardzo kochała. Jak daleko zostawiła go za sobą, w jak odległej przeszłości...

Ale dzisiaj żal powrócił z dawną siłą. Gdyby żył Patrick, Sarah mogłaby sobie od nich odchodzić nie raz i nie dwa. Mogłaby wyjść za mąż albo usamodzielnic się i zamieszkać osobno, albo, tak jak teraz, wyjechać na narty do Szwajcarii. Ona i Patrick byłiby razem. I choć starsi, choć wyciszeni, to przecież wiedliby wspólne życie, raz na wozie, raz pod wozem, ale zawsze we dwoje. Nie byłaby sama...

Ann Prentice zmieszała się z dworcowym tłumem. Jak złowieszczy wygląd mają dzisiaj czerwone autobusy; ustawione w szeregu niby potwory, oczekujące na dawno upatrzoną ofiarę, pomyślała. Zupełnie jakby żyły własnym życiem, i to nieprzyjaznym dla ich stwórcy, człowieka.

Zajęty sobą, hałaśliwy i zatłoczony świat. Wszyscy się gdzieś śpieszą, pędzą na oślep i albo mówią za głośno i śmieją się zbyt hałaśliwie, albo pogrążają w zaciętym milczeniu, znamionującym smutek i zgryzotę; witają się, żegnają, rozstają...

I znow, jeszcze raz, nieoczekiwanie dla samej siebie, Ann poczuła ten nieprzyjemny chłód. Tak odzywała się samotność.

Pora, żeby Sarah odeszła ode mnie, pomyślała. Za bardzo się od niej uzależniani. I, być może, za bardzo ją uzależniam od siebie. Muszę przestać. Nie można zatrzymywać przy sobie dziecka, które dorasta. Zabraniać mu żyć po swojemu. To jest po prostu nikczemne. Tak, nie da się tego inaczej nazwać jak nikczemnością.

Ona, Ann, musi się usunąć w cień, zostać w tle, zachęcić Sarah do życia na własny rachunek, do zdobywania własnych przyjaciół.

Czyżby? Uśmiechnęła się mimo woli, ponieważ Sarah nie potrzebowała żadnej zachęty. Sarah miała masę przyjaciół i całe mnóstwo planów na przyszłość. Była w ciągłym ruchu, w ciągłym uniesieniu. Wierzyła w siebie. Uwielbiała matkę, lecz traktowała ją z uprzejmą pobłażliwością jak kogoś, komu z racji podeszłego wieku obce jest jakiegokolwiek zrozumienie świata.

Dla Sarah czterdzieści jeden lat było jednoznaczne z wiekiem starym, podczas gdy ona, Ann, zaledwie z trudem przyzwyczajała się do określania siebie mianem kobiety w wieku średnim. I to nie dlatego, że usiłowała zatrzymać czas; ledwo używała pudru

czy szminki, a jej strój — proste płaszczyki i także spódnice oraz sznureczek prawdziwych pereł — nadal pachniał prowincjonalną atmosferą, jaka otacza młode, świeżo przybyłe do miasta mężatki.

Wzdychając, powiedziała na głos: „Ależ jestem głupia. Wszystkiemu winne to rozstanie z Sarah”. Jak to mówią Francuzi? *Partir, c'est mourir un peu...**

Tak, to prawda... Sarah, unoszona w dal przez wypuszczający kłęby dymu pociąg, stała się martwa dla własnej matki. A ja dla niej, dodała w duchu Ann. Dziwna rzecz — odległość; rozdzielenie w przestrzeni...

Sarah, żyjąca jednym życiem. Ona, Ann, drugim. Własnym.

Chłód w jej sercu z wolna zaczął się zamieniać w delikatne uczucie przyjemności. Teraz sama będzie mogła decydować o porze wstawania i nikt ani nic nie zakłóci z góry ustalonego porządku dnia. Będzie chodziła do łóżka wcześniej, z kolacją na tacy, a może wybierze się raz czy dwa do kina lub do teatru. Może wsiądzie do pociągu jadącego na wieś i powłóczy się po okolicy... pospaceruje po lesie. Popatrzy na prześwitujące przez gałęzie błękitne niebo...

Oczywiście i dotychczas mogłaby robić to wszystko, i to do woli. Jednak kiedy dwoje ludzi mieszka pod tym samym dachem, zwykle jedno z nich narzuca rytm swego dnia drugiemu. A poza tym Ann z prawdziwą radością uczestniczyła w ciągłej krzątaninie Sarah.

Bez wątplenia, wspaniale jest być matką. To tak, jakby się od nowa przeżywało własne życie, choć bez dawnych cierpień młodości. Jeśli się wie, jak niewiele znaczą pewne sprawy, można się uśmiechać pobłażliwie przy okazji takiego czy innego kryzysu.

„Ależ mamó”, powiedziała by Sarah z napięciem w głosie, „to śmiertelnie poważna sprawa. Przestań się uśmiechać. Chodzi o przyszłość Nadii!”

Jednak kiedy się ma czterdzieści jeden lat, wie się, i to dobrze, że bardzo rzadko stawką w jakiegokolwiek grze bywa czyjaś przyszłość. Życie jest bardziej elastyczne, niż ktokolwiek by pomyślał.

W latach wojny, podczas służby w ambulansie sanitarnym, Ann pierwszy raz doświadczyła, jak wiele znaczą w życiu drobne, zdawałoby się, rzeczy. Błahe zawiści i zazdrości, małe przyjemności, ocieranie kołnierzyka, odmrożona stopa w ciasnym bucie — wszystko to stawało się o wiele ważniejsze niż świadomość, że w każdym momencie można zostać zabitym. I choć wydaje się, że taka świadomość powinna kłaść się cieniem na życiu człowieka, pochłaniać jego myśli od rana do nocy i od zmierzchu do świtu, to jednak ludzie szybko przywykli do nowej rzeczywistości i zajmowały ich mało istotne sprawy; być może dlatego, że czas się kurczył i że należało go dobrze wykorzystać. Ann również nauczyła się czegoś o dziwnej niespójności ludzkiej natury, nauczyła się, że nie można w odniesieniu do człowieka zbyt lekko szafować epitetami w rodzaju

*Dosł.: Wyjechać, to tak, jakby umrzeć trochę (przyp. red.).

„dobry” i „zły”, co skłonna była robić w dniach młodzięczego dogmatyzmu. W czasie służby wojskowej stykała się z ludźmi, którzy dla ratowania bliźniego ryzykowali własne życie, by po chwili, również narażając życie, okraść dopiero co uratowanego człowieka.

Ludzie, w istocie, nie są ulepiani z jednorodnej gliny.

Ostry klakson taksówki wyrwał Ann, stojącą niezdecydowanie na krawężniku, z abstrakcyjnych rozmyślań. Wróciła do rzeczywistości. Co ma z sobą zrobić teraz, w tej chwili?

W realność wyprawy Sarah do Szwajcarii uwierzyła tak na dobre dopiero tego ranka. Wieczorem miała zjeść kolację z Jamesem Granem. Kochany James, zawsze taki miły i przewidujący. „Będziesz się czuła trochę otępiała po jej wyjeździe. Zrobmy sobie zatem małą uroczystość”. Doprawdy, to bardzo ładnie ze strony tego *pukka sahib* przyjaciela, jak mówiła o nim ze śmiechem Sarah. Rzeczywiście, James był oddanym Ann, prawdziwym przyjacielem; bardzo drogą osobą. Choć czasami, musiała przyznać, trudno się było skupić na długich na miłę, pełnych dygresji opowieściach, w których James Grant lubował się jak mało kto. No cóż, w imię dwudziestu pięciu lat przyjaźni wypadało być przynajmniej dobrym słuchaczem...

Ann spojrzała na zegarek. Mogłaby pójść do sklepu wojskowego i kupić kilka potrzebnych w kuchni rzeczy, o które od jakiegoś czasu upominała się Edith. Ta czynność zajęłaby jej trochę czasu. Ilekroć jednak oglądała rondle i pytała o cenę (zgoła fantastyczną!), tylekroć dostawała zawrotu głowy. Ostatecznie, pod wpływem impulsu, weszła do budki telefonicznej i wykręciła dobrze sobie znany numer.

— Czy mogę mówić z damą Orderu, Laurą Whitstable?

— A kto mówi?

— Ann Prentice.

— Chwileczkę, pani Prentice.

Nastąpiła krótka przerwa, a potem w słuchawce rozległ się tubalny głos:

— Ann?

— Och, Lauro, wiem, że nie powinnam podrywać cię do telefonu o tej porze, ale właśnie pożegnałam Sarah i teraz zastanawiam się, jak bardzo jesteś dzisiaj zajęta...

Zdecydowany głos w słuchawce rozstrzygnął jej wahania:

— Zamiast się zastanawiać, zjedz ze mną lunch. Chleb żytni i maślanka. Odpowiada ci to?

— Odpowiada mi wszystko. Jesteś aniołem, Lauro.

— Nie wątpię. Zatem kwadrans po pierwszej.

Do kwadransa po pierwszej brakowało jednej minuty, kiedy Ann odprawiła tak-sówkę i zadzwoniła do drzwi przy Harley Street.

Wszechwładny Harkness otworzył drzwi, uśmiechnął się uprzejmie i powiedział:

— Zechce pani pójść prosto na górę, pani Prentice? Pani Laura będzie gotowa za kilka minut.

Ann wbiegła lekko po schodach. Tutejszy pokój stołowy został zamieniony w poczekalnię, a najwyższe piętro wysokiego budynku przeistoczyło się w komfortowe mieszkanie. W salonie mały stolik był nakryty do posiłku. Sam pokój sprawiał wrażenie, jakby należał do mężczyzny, nie do kobiety. Obszerne, niskie, wygodne fotele, bogactwo książek — niektóre ułożone w sterty na krzesłach — i nasycone barwą, aksamitne zasłony w dobrym gatunku.

Ann nie musiała długo czekać. Laura, poprzedzona własnym głosem niby triumfalnym zawołaniem fagotu, weszła do pokoju i czule ucałowała swojego gościa.

Dama Orderu Imperium Brytyjskiego, Laura Whitstable, miała sześćdziesiąt cztery lata. Otaczała ją aura monarchini lub przynajmniej sławnej osobistości. Wszystko w jej postaci było trochę nadnaturalnie wielkie: biust wysunięty do przodu niby przyczółek frontowy, spiętrzona masa szpakowatych włosów, haczykowaty nos, a nawet specyficzny tembr głosu.

— Miło mi cię widzieć, Ann, moje drogie dziecko — huknęła. — Bardzo dobrze wyglądasz. Widzę, że kupiłaś sobie bukietek fiołków. Masz dobry gust; fiołek to kwiat, który najbardziej cię przypomina.

— Zaszuszone fiołki, tak? Och, Lauro!

— Nie, jesienna słodycz ukryta wśród listowia.

— To zupełnie do ciebie niepodobne, Lauro. Gdzie się podziała twoja zwykła szorstkość!

— Oplaca się być szorstką, choć czasami to męczy. Siadajmy do stołu. Gdzie jest mój jamnik? Ach, tu się schowałeś? Dla ciebie sola, Ann, i kieliszek reńskiego.

— Ależ, Lauro, tak nie można. Miała być maślanka i żytni chleb.

— Maślanki wystarczy tylko dla mnie. Siadajmy wreszcie. A więc Sarah wyjechała do Szwajcarii, tak? Na długo?

— Na trzy tygodnie.

— To świetnie.

Niezdarny jamnik opuścił pokój, a jego pani, ze smakiem popijając maślankę, stwierdziła nadspodziewanie trafnie:

— A ty masz zamiar za nią tęsknić. Ale nie dlatego zadzwoniłaś do mnie i nie dlatego przysłałaś tutaj. A więc, zacznaj, Ann. Powiedz mi, o co chodzi. Mamy dużo czasu. Wiem, że mnie lubisz, lecz wiem też, że kiedy ktoś dzwoni i doprasza się mojego towarzystwa, robi to przede wszystkim ze względu na moją niezgłębioną mądrość.

— Czuję się okropnie winna — powiedziała Ann przepraszająco.

— Nonsens, moja kochana. W gruncie rzeczy to dla mnie komplement.

— Wiem, Lauro, że jestem zupełną idiotką. Ale tam, na Victoria Station, pośród całej masy autobusów, nagle wpadłam w panikę! Czułam się... czułam się tak strasznie samotna.

— Ta-ak, rozumiem...

— Wcale nie chodziło o tęsknotę za Sarah. Wierz mi. To było coś więcej...

Laura Whitstable pokiwała głową; jej przenikliwe, szare oczy obserwowały Ann beznamyślnie. Ann powiedziała z namysłem:

— Nieoczekiwanie dla samej siebie zrozumiałam, że, tak czy inaczej, każdy z nas jest skazany na samotność...

— Ach, więc i tobie udało się odkryć tę smutną prawdę? Każdy ją odkrywa, nie wcześniej, to później. I, co ciekawe, każdy w chwili dokonania takiego odkrycia przeżywa wstrząs. Ile ty masz lat, Ann? Czterdzieści jeden? To świetnie, wybrałaś odpowiedni moment. Jeśli bowiem zdamy sobie z tego sprawę zbyt późno, może nas to zniszczyć, jeśli zbyt wcześnie, musimy być bardzo silni, aby tę prawdę zaakceptować.

— A ty, Lauro, czy ty kiedykolwiek czułaś się naprawdę samotna? — zainteresowała się Ann.

— Tak, oczywiście. Zdałam sobie z tego sprawę, mając dwadzieścia sześć lat, otoczona niezwykle kochającą się rodziną. Spadło to na mnie jak grom z jasnego nieba, lecz zaakceptowałam taki stan, wychodząc z założenia, że nigdy nie należy wzbraniać się przed prawdą. Powinno się pogodzić z faktem, że od kołyski do grobu towarzyszy człowiekowi jeden jedyny przyjaciel — on sam. Nie ma rady, trzeba się nauczyć żyć w zgodzie z takim przyjacielem, żyć w zgodzie z sobą. Oto odpowiedź, moja droga Ann. Odpowiedź jedyna, choć wcale nie prosta.

Ann westchnęła.

— Zdaje mi się, Lauro, że życie jest takie banalne. Nic, tylko kolejne lata, których nie ma czym wypełnić. Albo może to ja jestem banalna. Banalna, bezużyteczna kobieta...

— Chyba się zbyt zagalopowałaś, Ann. O ile mnie pamięć nie myli, w czasie wojny bez zbytecznego rozgłosu wykonałaś kawał dobrej roboty. Sarah wyrosła dzięki tobie na dobrze wychowaną, cieszącą się życiem pannę, a w swoisty sposób i ty sama nim się cieszysz. Czyż to cię nie zadowala? Cóż, jeśli przysłałaś, by skorzystać z mojej porady, jestem gotowa nie inkasować należnej mi opłaty, minio że jestem starą kutwą.

— Droga Lauro, dodajesz mi otuchy. Jednak boję się, że moja troska o Sarah jest przesadzona.

— Nie opowiadaj głupstw!

— Zawsze ogarnia mnie lęk, że mogłabym się stać jedną z tych zaborczych matek, które po prostu pożerają swoje młode.

Laura Whitstable zauważyła oschle:

— Tak wiele się mówi na temat zaborczych matek, że niektóre z nich boją się okazywać dzieciom swoje uczucia!

— Lecz zaborczość to naprawdę zła cecha!

— Zgoda. Stykam się z nią każdego dnia. Matki, które trzymają swych synów pod fartuszkami, ojcowie, którzy chcą mieć córki tylko dla siebie. Lecz zło nie zawsze leży po ich stronie. Wiesz, Ann, miałam kiedyś w pokoju ptasie gniazdo. We właściwym czasie świeżo opierzone pisklęta opuściły je, wszystkie, poza jednym. To chciało zostać w gnieździe, chciało być karmione, nie miało ochoty wychylić się poza krawędź gniazda. Ptasia matka, zaniepokojona, raz za razem wyfruwała z gniazda, kląskawa na nieposłuszne pisklę, trzepotała skrzydełkami. W końcu przestała je karmić. Przynosiła pokarm w dziobie, lecz przysiadła w drugim końcu pokoju i nawoływała. Cóż, tak bywa i u ludzi. Zdarzają się dzieci, które nigdy nie chcą dorosnąć, które unikają konfrontacji z problemami dorosłego życia. To nie jest wina wychowania, wina leży w nich samych. — Przerwała, by po chwili dalej ciągnąć swój wątek. — Są wśród nas tacy, którzy chcą posiadać, jak też tacy, którzy chcą być w czyimś posiadaniu. Czy ci drudzy to przypadek późnego dojrzewania? Czy też wrodzona niezdolność do samodzielnego życia? Wciąż tak niewiele wiadomo o ludzkiej osobowości.

Ann nie interesowały uogólnienia.

— Wracając do mnie, nie sądzisz, Lauro, że jestem zaborczą matką?

— Zawsze byłam zdania, że ty i Sarah pozostajecie w zadowolających obie strony stosunkach. Powiedziałabym także, że łączy was głęboka wzajemna miłość. — Dodała po chwili namysłu: — Oczywiście, Sarah jest nieco dziecinna, jak na swój wiek.

— Tak sądzisz? A ja zawsze myślałam, że jest aż nazbyt dojrzała.

— Nie powiedziałabym tego. Jej sposób myślenia jest charakterystyczny dla nastolatki.

— Ależ Sarah już od dawna jest uświadomiona, jest bardzo samodzielna i potrafi bronić własnych przekonań.

— Obiegowych, chciałaś powiedzieć. Jeszcze dużo czasu upłynie, nim nabierze jakichkolwiek przekonań czy wyrobi sobie własne poglądy lub przesiąknie ideami, które naprawdę będzie mogła nazwać własnymi. Jeśli chcesz wiedzieć, w chwili obecnej wszystkie młode istoty chcą udowodnić, że są bardzo samodzielne. Ale to tylko świadczy o dążeniu do jakiejś reasekuracji. Żyjemy w niepewnych czasach, wszystko wokół straciło stabilność. Młodzi świetnie to wyczuwają. Źródła wszelkich kłopotów należy szukać; w braku stabilności, w rozbięciu rodziny, w niedostatku wzorców moral-

nych. Młoda roślinka, obie o tym wiemy, winna być przywiązana do solidnego palika. — Laura Whitstable nagle się rozpromieniła. — No cóż, Ann, niczym nie różnię się od wszystkich starych kobiet, choćbym nie wiem jak była mądra czy dystygowana; też prawie kazania. — Opróżniła do dna swoją szklankę. — Czy wiesz, dlaczego piję maślanke?

— Pewnie dlatego, że jest zdrowa.

— Ależ skąd! Smakuje mi, ot co. I to od kiedy tylko zaczęłam spędzać wakacje na wsi. No, jest jeszcze drugi powód: chęć bycia inną. Tak, Ann, Laura Whitstable pozuje. Wszyscy pozujemy. Musimy pozować. A ja robię to nawet częściej niż inni. Choć Bogu niech będą dzięki, że przynajmniej zdaję sobie z tego sprawę. Wracając jednak do ciebie, Ann, uważam, że nie masz czym się martwić. Nadeszła pora, byś znów złapała wiatr w żagle, to wszystko.

— Co przez to rozumiesz, Lauro? Chyba nie chcesz powiedzieć... — zawahała się.

— Nie, nie chcę. Nie myślę o niczym, co dotyczy ciała. Rozmawiam z tobą o sprawach duchowych. Kobiety są szczęśliwe, chociaż dziewięćdziesiąt dziewięć procent nie zdaje sobie z tego sprawy. Czy wiesz, ile lat miała święta Teresa, gdy rozpoczęła reformowanie klasztorów? Pięćdziesiąt. A takich przypadków mogłabym ci zacytować mnóstwo. Kobiety w wieku od dwudziestu do czterdziestu lat są pochłonięte biologią własnego ciała. I całkiem słusznie. Interesują się dziećmi, mężami, kochankami, wchodzą w związki, które osobiście ich dotyczą. Bywa, że wynoszą się ponad te sprawy i rzucają w wir kariery w czysto kobiecy, emocjonalny sposób. Lecz, zgodnie z naturą, w średnim wieku następuje drugie, tym razem dotyczące umysłu i ducha, kwitnienie. Kobiety w miarę starzenia się często wychodzą poza krąg ogniska domowego. Męskie zainteresowania zawężają się, kobiece — wprost przeciwnie: są coraz bardziej wszechstronne. Sześćdziesięcioletni mężczyzna powtarza się jak zdarta płyta gramofonowa. Kobieta, jeśli ma charakter, staje się interesującą osobą.

Ann pomyślała o Jamesie Grande i uśmiechnęła się.

— Kobiety pociąga coś nowego. Och, oczywiście, nie przeczę, w tym wieku potrafią także robić z siebie idiotki. Czasami głupieją na punkcie seksu. Jednak, ogólnie rzecz biorąc, wiek średni jest wiekiem wielkich możliwości!

— Potrafisz każdego podnieść na duchu, Lauro! A zatem, powinnam coś przedsięwziąć? Tak uważasz? Powinnam zająć się choćby jakąś pracą społeczną?

— Czyżbyś aż tak bardzo kochała ludzi? — Pytanie zostało postawione na serio. — Sam czyn niewiele jest wart bez wewnętrznego ognia. Nie rób tego, na co nie masz ochoty; dla czczej sławy! Nie ma nic gorszego niż czcza sława. Jeśli cieszy cię odwiedzenie starej, chorej kobiety lub zabranie czyichś rozbrykanych brzdąców nad morze, zrób to koniecznie, nawet za cenę własnych wyrzeczeń. Nieoczekiwanie dużo ludzi chętnie służy innym pomocą. Ale, Ann, nigdy nie zmuszaj się do działania wbrew samej sobie.

Pamiętaj, ziemia musi czasami poleżeć odłogiem. Do tej pory „uprawiałaś” macierzyństwo. Nie widzę w tobie ani reformatorki, ani artystki, ani aktywistki służb socjalnych. Jesteś najzwyczajszą w świecie kobietą, choć, przyznaję, jedną z najmilszych. Czekaj. Po prostu czekaj cierpliwie, z wiarą i nadzieją, na to, co los ci zgotuje. Może twoje życie wypełni się nową wartością. — Zawahała się, nim zadała Ann następne pytanie: — Nigdy nie miałaś romansu, prawda?

Ann zarumieniła się.

— Nie, nigdy. Czy sądzisz... — zapytała po chwili, zebrawszy się w sobie — czy uważasz, że powinnam?

Laura Whitstable parsknęła z niezadowolenia tak głośno, że aż zabrzęczało szkło na stole.

— Ach, te dzisiejsze kobiety! W epoce wiktoriańskiej baliśmy się seksu; zasłaniało się nawet nogi mebli, a cóż dopiero kobiece! Seks się skrywało, usuwało z widoku publicznego. Nie było to najlepsze rozwiązanie. Ale dzisiaj przesadzamy w drugą stronę. Traktujemy seks jak lekarstwo. Sprowadzamy go do poziomu soli trzeźwiących i penicyliny. Przychodzi do mnie młoda kobieta i pyta: „Czy nie powinnam wziąć sobie kochanka?” „Sądzi pani, że powinnam mieć dziecko?” Pomyślałby kto, że idzie się do łóżka z mężczyzną, bo nie ma się nic lepszego do roboty. Ty nie jesteś namiętną kobietą, Ann. W tobie drzemią całe pokłady uczuć i czułości. Owszem, nie wykluczam seksu, lecz seks w twoim życiu nie jest najważniejszy. Jeśli mam ci coś poradzić, rzekłabym, że nadszedł czas, byś powtórnie wyszła za mąż.

— Och, nie. Nie wierzę, bym to kiedykolwiek mogła zrobić.

— Dlaczego przypięłaś dzisiaj do płaszcza bukietek fiołków? Kupujesz kwiaty do wazonów, ale nie widziałam, byś je kiedykolwiek nosiła przy ubraniu. Te fiołki to symbol, Ann. Przypięłaś je, ponieważ gdzieś w głębi duszy czujesz wiosnę; twoja druga wiosna jest tuż-tuż.

— Chyba masz na myśli babie lato — stwierdziła ponuro Ann.

— Można to i tak nazwać.

— To, co mówisz, Lauro, brzmi pięknie, ale jeśli chcesz wiedzieć, kupiłam te fiołki tylko dlatego, że sprzedająca je kobieta była zmarznięta i godna politowania.

— Tak uważasz? Zgoda, lecz to tylko dodatkowy powód. Na twoim miejscu poszukałabym głębszego motywu. Radzę ci, byś nauczyła się poznawać samą siebie. To jedna z najważniejszych w życiu rzeczy, wiedzieć, kim się jest. Wielkie nieba, już po drugiej. Muszę pędzić. Co robisz dziś wieczorem?

— Idę na kolację z Jamesem Grantem.

— Z pułkownikiem Grantem? Przyjemny gość. — Mrugnęła porozumiewawczo.

— Chyba już dość długo cię adoruje, prawda?

— Och, nie przywiązuję do tego znaczenia.

— I prosił cię, abys za niego wyszła, co najmniej kilka razy, prawda?

— Tak, ale to czysty nonsens. Lauro, myślisz może, że powinnam? Oboje jesteśmy samotni...

— Ann, tu nie ma miejsca na żadne „powinnam”! Poza tym zły towarzysz życia jest gorszy od żadnego. Biedny pułkownik Grant. Co nie znaczy, że go żałuję. Mężczyzna, który wciąż prosi o rękę jedną i tę samą kobietę, a nie potrafi przebić się przez mur jej odmowy, tak naprawdę uwielbia poświęcać się dla przegranej sprawy. Szkoda, że pułkownik Grant nie był pod Dunkierką, to coś dla takich jak on, choć, ośmielam się twierdzić, szarża lekkiej kawalerii* odpowiadałaby mu o wiele bardziej! W tym kraju ludzie chętnie przyznają się do własnych klęsk i błędów, a tak bardzo wstydzą się mówić o zwycięstwach!

*Przegrana szarża brytyjskiej lekkiej kawalerii pod Bałakłaną (1854 r.) w wojnie krymskiej (przyp. tłum.).

Rozdział drugi

1

Ann, wróciwszy do swego mieszkania, została powitana przez wierną Edith z wyczuwalną rezerwą.

— Miałam podać na lunch całkiem smaczną płaługę — powiedziała służąca, wyłaniając się z kuchni. — I krem karmelowy.

— Tak mi przykro, Edith. Odwiedziłam Laurę Whitstable. Czyż nie uprzedziłam cię telefonicznie, że nie wrócę na czas?

Wysoka, koścista kobieta, trzymająca się prosto niczym grenadier, zasznurowała usta z wyrazem przygany.

— Nie przyrządziłam płaługi — zauważyła po chwili niechętnie. — Chociaż przyznam, że takie nagłe odstępstwa od utartych zwyczajów nie bardzo pasują do pani. Panienska Sarah, i owszem, u niej to normalne. Znalazłam te fantazyjne rękawiczki, których panienska szukała przed odjazdem. Były wciśnięte za sofę.

— Szkoda, doprawdy. — Ann wzięła do ręki jaskrawe, robione na drutach rękawiczki. — Sarah odjechała szczęśliwie.

— Wolałabym, żeby szczęśliwie wróciła.

— Nie wątpię, że tak się stanie. Całe towarzystwo było bardzo wesołe.

— Było, było. Ale jak nic, wszyscy się połamia.

— Och, Edith, przestań krakać.

— Szwajcaria to takie niebezpieczne miejsce. Człowiek łamie albo ręce, albo nogi. Najpierw kości mu się źle zrastają, a potem pod bandażę wdaje się gangrena. A gangrena, to koniec. No i ten smród...

— Cóż, miejmy nadzieję, że Sarah nic takiego się nie przydarzy — uśmiechnęła się Ann, nawykła z dawien dawna do ponurych przepowiedni Edith.

— Bez panienski Sarah to już nie ten sam dom — westchnęła Edith. — Nic, tylko pustka i cisza.

— Przynajmniej odpoczniesz trochę, Edith.

— Odpocznę? — obruszyła się służąca. — A niby po co mi odpoczynek? Lepiej się zedrzeć, niż zardzewieć, jak mówiła moja matka. Teraz, kiedy ani panienka Sarah, ani jej przyjaciółki nie będą wpadać i wypadać z domu co minutę, mogę się wreszcie zabrać za prawdziwe porządki. Mieszkanie aż się o to prosi.

— Moim zdaniem, jest dokładnie wysprzątane, Edith.

— Pani zdaniem, czemu nie. Ale ja wiem lepiej. Wszystkie zasłony wymagają zdjęcia i porządnego wytrzepania; trzeba wymyć żyrandole; trzeba przewietrzyć to i tamto. Toż to cała litania rzeczy do zrobienia! — Oczy Edith rozbliły na samą myśl o czekającej ją pracy.

— Weź sobie kogoś do pomocy.

— Coś takiego! Ja?! Poradzę sobie sama, nie ma strachu. Lubię, jak wszystko idzie swoim torem. W dzisiejszych czasach trudno o kobietę, której chciałoby się przyłożyć do roboty i której można by zaufać. Pani ma tutaj ładne rzeczy, a z ładnymi rzeczami należy obchodzić się delikatnie. Ciągłe gotując i robiąc równocześnie to i tamto, nie mam nigdy czasu na dokładne sprzątanie.

— Jednak jeśli chodzi o gotowanie, robisz to wspaniale, Edith. Nie muszę cię zapewniać, sama wiesz o tym.

W miejsce wiecznego grymasu niezadowolenia na twarzy Edith pojawił się nieśmiały uśmiech.

— Och, gotowanie — rzuciła lekceważąco. — Co mi tam gotowanie. To żadna praca. — Ruszając w stronę kuchni, zapytała: — O której godzinie życzy sobie pani herbatę?

— Jeszcze nie teraz. Około pół do piątej.

— Na pani miejscu uciąłabym sobie drzemkę. Trzeba się odświeżyć na wieczór. No i trzeba się nacieszyć tą odrobiną spokoju, jaka się pani trafiła.

Ann zaśmiała się. Przeszła do salonu, gdzie Edith usadowiła ją wygodnie na sofie.

— Troszczysz się o mnie, jakbym była małą dziewczynką, Edith.

— Tak po prawdzie, kiedy nastalam do paninej matki, nie była pani wiele większa niż mała dziewczynka, i od tamtej pory niewiele się pani zmieniła. Dzwonił pułkownik Grant z przypomnieniem, że to restauracja Mogador i że czeka o ósmej. Powiedziałam mu, że pani wie. Ale z mężczyznami tak zawsze, ciągle zamieszanie, a najgorsi są ci wojskowi dżentelmeni.

— To miło z jego strony, że zadbał, bym nie czuła się samotna wieczorem.

— Ja tam nie mam nic przeciw panu Gramowi — przyznała bezstronnie Edith. — Może i robi zamieszanie, ale to prawdziwy dżentelmen. Prawdę powiedziawszy, mogła pani trafić gorzej.

— Co masz na myśli, Edith?

Edith wytrzymała spojrzenie Ann.

— No, myślę, że bywają gorsi... A przy okazji, teraz, kiedy nie ma panienki Sarah, pan Gerry chyba nie będzie nas nachodził zbyt często.

— Nie lubisz go, prawda?

— I tak, i nie, jeśli chce pani wiedzieć. Umie przyciągać ludzi, to prawda. Ale żeby się kiedyś ustatkował? Moja siostra, Marlene, poślubiła kogoś takiego jak on. Taki mąż nigdy nie utrzyma roboty dłużej niż pół roku. I zawsze u innych szuka winy, nie u siebie.

Edith wyszła z salonu, a Ann oparła głowę o poduszki i przymknęła powieki.

Przez zamknięte okno sączył się do środka stłumiony gwar ulicy niby dobiegające gdzieś z dala miłe brzęczenie pszczół. W wazonie na stole, tuż obok sofy, słodko pachniały żonkile.

Ann poczuła, jak spływa na nią ukojenie. Spodziewała się, iż będzie tęsknić za Sarah, gdy tymczasem bycie sam na sam ze sobą okazało się całkiem przyjemnym wytchnieniem.

Skąd ta dziwna poranna panika, pomyślała.

Ciekawe, kogo też przyprowadzi ze sobą James Grant...

2

Restauracja Mogador była małym, dość staroświeckim lokalem, w którym podawano dobre jedzenie i jeszcze lepsze wino i w którym panowała spokojna, niespieszna atmosfera.

Ann przybyła pierwsza z całego towarzystwa i zastała pułkownika Granta w barze recepcyjnym, niecierpliwie otwierającego i zamykającego kopertę zegarka.

— Och, Ann, jesteś — poderwał się na powitanie. Jego oczy z aprobatą spoczęły na czarnej, wieczorowej sukni i na pojedynczym sznurze pereł. — Punktualność u pięknej kobiety to rzecz godna odnotowania.

— Spóźniłam się trzy minuty, nie więcej — powiedziała Ann z uśmiechem.

James Grant był wysokim mężczyzną o sztywnej, żołnierskiej postawie; miał krótko ostrzyżone siwe włosy i wydatny podbródek.

Jeszcze raz spojrzał na zegarek.

— Dlaczego tych ludzi jeszcze nie ma? Nasz stół będzie gotowy piętnaście po ósmej, a najpierw powinniśmy się czegoś napić. Dla ciebie sherry? To znaczy koktajl z sherry, prawda?

— Tak, James, poproszę. A kim są ci ludzie?

— Massinghamowie. Znasz ich?

— Oczywiście.

— I Jennifer Graham. To moja cioteczna siostra, choć nie wiem, czy miałaś okazję ją poznać.

— Owszem, chyba tak. Widziałam ją raz w twoim towarzystwie.

— Przyjdzie także Richard Cauldfield. Wpadłem na niego parę dni temu; nie widzieliśmy się od lat. Richard większość życia spędził w Birmie, toteż teraz, po powrocie do kraju, wygląda na nieco zagubionego.

— Tak, to zrozumiałe.

— Sympatyczny gość, choć towarzyszy mu smutna historia. Jego żona, poza którą świata nie widział, zmarła przy pierwszym porodzie. Przez długi czas nie mógł się z tym pogodzić. W końcu, uciekając przed wspomnieniami, wyładował w Birmie.

— A dziecko?

— Też zmarło.

— Boże, jakie to smutne.

— Ach, oto i państwo Massinghamowie.

Pani Massingham, zawsze wspominana przez Sarah jako *mem sahib*, porażała wszystkich imponującym błyskiem zębów. Była chudą, żylastą kobietą, o skórze wysuszonej i wyblakłej przez lata pobytu w Indiach. Jej mąż, niski i baryłkowaty, mówił tak, jakby rąbał pojedyncze słowa.

— Jak to miło znów panią widzieć — powiedziała pani Massingham, ściskając dłoń Ann. — I jak to uroczko widzieć kogoś ubranego odpowiednio do sytuacji. Jeśli o mnie chodzi, raczej nie zakładam wieczorowej sukni. Zwykle słyszę od męża: „Nie przebieraj się”. Naprawdę uważam, że życie w dzisiejszych czasach jest bezbarwne i monotonne, każdy musi sobie radzić po swojemu! Mnie, doprawdy, powoli opuszczają siły. Chyba nie zabawimy tu długo. Poważnie myślimy o wyjeździe do Kenii.

— Masa ludzi wyjeżdża — dodał jej mąż. — Mają dość. Zatracony rząd.

— Ach, oto i Jennifer — powiedział pułkownik Grant — i Cauldfield.

Jennifer Graham była wysoką, trzydziestopięcioletnią, kobietą o końskiej twarzy. Jej śmiech przypominał rżenie. Jeśli chodzi o Richarda Cauldfielda, był to mężczyzna w średnim wieku, o zbrązowiałym od słońca obliczu. To on usiadł obok Ann. Zaczęła się banalna wymiana zdań. Czy od dawna przebywa w Anglii? Jaki ma pogląd na obecną rzeczywistość?

Jeszcze niewiele może powiedzieć. Wszystko zmieniło się od przedwojennych czasów. Szuka pracy, ale to nie takie łatwe, przynajmniej dla mężczyzny w jego wieku.

— Rzeczywiście, chyba ma pan rację. Sprawy idą w złym kierunku.

— Tak, a przecież nie mam jeszcze pięćdziesiątki. — Uśmiechnął się rozbrawająco. — Mam pewien kapitał. Zastanawiam się nad kupnem kawałka ziemi. Może zajmę się ogrodnictwem. Albo hodowlą drobiu.

— Tylko nie to ostatnie! — zaprotestowała Ann. — Mam przyjaciół, którzy zainwestowali w kurczęta, a teraz wciąż walczą z ich chorobami.

— W istocie, chyba lepszy jest interes ogrodniczy. Może nie zbije się na nim fortuny, ale jest to niewątpliwie przyjemny sposób na życie. — Westchnął. — Cóż, kraj znajduje się w stadium przemian. Być może, gdyby zmienił się rząd...

Ann przytaknęła, acz niechętnie. Zmiana rządu to typowe panaceum na wszelkie zło.

— Trudno przewidzieć, co nas czeka w najbliższej przyszłości — stwierdziła wymijająco. — Pewnie same kłopoty.

— Och, jestem daleki od pesymizmu. Jeśli człowiek wierzy w samego siebie i wie, czego chce, poradzi sobie z wszelkimi kłopotami.

Zabrzmiało to jak dogmat.

— Tak pan myśli?

— Oczywiście. Jak najbardziej. Nie znoszę ludzi, którzy wciąż użalają się na zły los.

— Z tym się zgodzę! — zawołała Ann z takim przejęciem, że Richard Cauldfield uniósł pytająco brwi.

— Czyżby doświadczyła pani czegoś podobnego?

— I owszem. Jeden z przyjaciół mojej córki, ilekroć nas odwiedza, nie potrafi mówić o niczym innym, jak tylko o własnym pechu. Początkowo nawet mu współczułam, lecz teraz ani mi to w głowie. Ten chłopak jest po prostu nudny.

— Pechowe historie zawsze są nudne — zauważyła pani Massingham, siedząca po drugiej stronie stołu.

— O kim mówisz, Ann? — zainteresował się pułkownik Grant. — O młodym Geraldzie Lloydzie? Masz rację, prochu to on nie wymyśli.

Richard Cauldfield ponownie zwrócił się do swojej sąsiadki:

— A zatem ma pani córkę. I, jak wnoszę, pewnie już dorosłą, skoro odwiedzają ją młodzi ludzie.

— Och, tak. Sarah skończyła dziewiętnaście lat.

— A dla pani jest wszystkim, prawda?

— Oczywiście.

Na twarzy Richarda Cauldfielda pojawił się grymas bólu. Tak, to istotnie samotny mężczyzna, pomyślała Ann, przypomniawszy sobie opowiedzianą przez pułkownika Granta historię.

Richard Cauldfield wyznał przyciszonym głosem:

— Wygląda pani zbyt młodo, by mieć dorosłą córkę...

— Tak się zwykle mówi do kobiet w moim wieku — zaśmiała, się Ann.

— Być może. Ale ja naprawdę tak uważam. Czy pani małżonek — zawahał się — nie żyje?

— Tak, i to od dawna.

— Dlaczego nie wyszła pani powtórnie za mąż?

Gdyby nie autentyczne zainteresowanie, przebijające z jego głosu, Ann potraktowałaby jego słowa jako impertynencję. Jeszcze raz pomyślała o samotności, jaką musi znośić ów człowiek. Richard Cauldfield chciał po prostu wiedzieć, dlaczego jej życie ułożyło się tak, a nie inaczej.

— Cóż, dlatego... — urwała, zamyśliła się chwilę, a potem dokończyła całkiem szczerze: — Bardzo kochałam mojego męża. Po jego śmierci nie zakochałam się w nikim innym. No i była Sarah.

— Tak — powiedział Cauldfield. — Tak, rozumiem, nie mogła pani inaczej postąpić.

Grant podniósł się i poprowadził całe towarzystwo do sali restauracyjnej. Przy okrągłym stole Ann znalazła się między gospodarzem przyjęcia a majorem Massinghamem. Nie miała już okazji, by pobyć tête-à-tête z Cauldfieldem, który tymczasem, nieco kulawo, bawił rozmową pannę Graham.

— Nie sądzisz, że pasują do siebie? — pułkownik szepnął jej do ucha. — Jemu potrzebna jest żona, to jasne.

Z jakiegoś powodu ta uwaga nie przypadła Ann do serca. Patrzcie państwo, Jennifer Graham, z tym jej donośnym głosem i śmiechem przypominającym rzenie konia! Niepodobna, by mężczyzna pokroju Cauldfielda skłonny był poślubić taką kobietę.

Podano ostrygi; goście, jedząc, rozmawiali.

— Sarah szczęśliwie odjechała?

— Tak, James. Mam nadzieję, że nacieszą się śniegiem.

— Nie za późno na śnieg? Choć tak czy inaczej powinni się niezłe bawić. Ta twoja Sarah to urodziwa dziewczyna. A przy okazji, młody Lloyd nie zabrał się z całym towarzystwem?

— Nie, właśnie podjął pracę w firmie swojego wuja. Nie może zaczynać od urlopu.

— To świetnie, Ann. Powinnaś stłumić ogień w zarodku.

— W dzisiejszych czasach matka niewiele może, James.

— Przypuśćmy. W takim razie dobrze, że przynajmniej rozdzieliliś ich na trochę.

— Istotnie, ten wyjazd może coś zmienić.

— Sądzisz, że Sarah zajmie się kimś innym?

— Ona jest jeszcze bardzo młoda, James. Zresztą nie uważam, by na serio traktowała znajomość z Gerrym Lloydem.

— Może i nie, choć kiedy ostatnio widziałem ich oboje razem, przysięgłbym, że była nim zainteresowana, i to bardzo.

— Interesowanie się bliźnimi to specjalność Sarah. Ona wie dokładnie, co każdy z jej przyjaciół powinien robić, więcej, czy to robi i czy we właściwym czasie. No i cechuje ją duża doza lojalności w stosunku do każdego z nich.

— Kochane dziecko. Wyrasta powoli na bardzo atrakcyjną pannę, choć pod tym względem nigdy nie dorówna tobie, Ann. Twoja córka jest twarda, jest silniejsza od ciebie. Jest bezwzględna, jak to się dzisiaj mówi.

Ann uśmiechnęła się.

— Nie zgodziłabym się z ostatnim określeniem. To tylko sposób bycia właściwy jej pokoleniu.

— Być może... Choć nie zaszkodziłoby niektórym dziewczętom, by nauczyły się wdzięku od swoich matek.

Widząc pełne czułości spojrzenie pułkownika, Ann pomyślała sobie: Kochany James. On rzeczywiście uważa mnie za wzór wszelkich cnót. Czy zatem postępuję mądrze, odrzucając jego matrymonialne oferty? Być kochaną, być przedmiotem czyjejś ciągłej troski...

Niefortunnie dla siebie samego pułkownik Grant zaczął snuć opowieść o jednym ze swoich podkomendnych i o żonie majora Sayce'a. Historia rozgrywała się w Indiach, była długa i Ann słyszała ją już trzy razy.

Ciepło, w jakim przez moment pławiła się jej dusza, ulotniło się bezpowrotnie. Pozornie zasluchana w słowa przyjaciela, zajęła się dyskretnym obserwowaniem Richarda Cauldfielda. Trochę zbyt pewny siebie, zbyt dogmatyczny. Nie, poprawiła się natychmiast, ależ skąd... Taki sposób bycia to po prostu pancierz, jaki Richard Cauldfield wdziewa na siebie w obliczu obcego, wrogiego świata.

Tak, ta smutna, samotna twarz...

Z pewnością Richard Cauldfield posiada mnóstwo przymiotów, myślała dalej. Z pewnością jest uprzejmy, uczciwy i szlachetny. Być może uparty, być może powoduje się uprzedzeniami. Uczulony na punkcie własnego honoru. Ale i nieskory do naigrywania się z innych. To zapewne mężczyzna, który odżyłby pod wpływem czyjegoś szczerzego uczucia.

— ...no i uwierzysz? — Pułkownik zbliżał się triumfalnie do końca opowieści. — Ten major Sayce wiedział o tym przez cały czas!

Ann, gwałtownie przywołana do rzeczywistości, roześmiała się zgodnie z oczekiwaniami swego rozmówcy.

Rozdział trzeci

1

Obudziwszy się następnego ranka, nie od razu doszła do siebie. Tak, mglisty zarys okna powinien być bardziej na prawo... Te drzwi, ta szafa...

Wtem wszystko stało się jasne. Po prostu śniła. Śniła, że jest znowu małą dziewczynką i że znajduje się w starym domu w Applestream. Była bardzo podniecona mającym nastąpić powitaniem z matką i z Edith. Biegała po ogrodzie, wydając radosne okrzyki na widok ukwieconych grządek, aż wreszcie weszła do domu. Wszystko było na swoim miejscu; mroczny hali i widoczne z niego pokryte perkalem meble w bawialni. Lecz wówczas, nieoczekiwanie, matka powiedziała: „Dzisiaj podajemy herbatę gdzie indziej” i poprowadziła ją przez kolejne drzwi do nowego, nie znanego pomieszczenia. Był to przyjemny pokój, pełen kwiatów i słonecznego blasku. Ktoś się odezwał: „Nigdy nie wiedziałas o jego istnieniu, prawda? My sami odkryliśmy go w ubiegłym roku!” Takich nowych pokoi było więcej, były też jakieś schodki na górę i dalsze pokoje, pokoje... To wszystko razem stanowiło mieszaninę radosnego podniecenia i dziwnego lęku.

Teraz, po przebudzeniu, jeszcze trwała w tamtym świecie. Jeszcze była dziewczynką, stworzeniem stojącym u progu życia. Te nie odkryte pokoje! To zabawne, przez tyle lat nic o nich nie wiedzieć! I kiedy je odnaleziono? Dni czy lata temu?

Błogie senne marzenia ustępowały z wolna miejsca dotkliwej rzeczywistości. Tak, śniła sen, bardzo szczęśliwy, a teraz musi zwalczyć w sobie ból nostalgii. Dla nikogo nie ma powrotu do tego, co minęło. Lecz jakie to dziwne, że sen o odkrywaniu dodatkowych pokoi w starym domu może spowodować tak niezwykle i tak przyjemne uniesienie. Zrobiło jej się smutno na myśl, że w rzeczywistości te pokoje nigdy nie istniały.

Ann leżała w łóżku, obserwując przez zasłony stopniowo jaśniejące okna. Pewnie jest bardzo późno; przynajmniej dziewiąta, pomyślała. Ranki wciąż jeszcze są takie ciemne. Za to Sarah, w Szwajcarii, powinna się budzić w pełnym blasku odbitych od śniegu promieni słonecznych.

Lecz w tej chwili Sarah, daleka, poza zasięgiem dotyku i spojrzenia, zdawała się mało realna.

Bardziej prawdziwy był dom w hrabstwie Cumberland, perkale, skąpane w słońcu kwiaty... i matka. A także młoda wtedy Edith, stojąca z boku w pełnej szacunku gotowości, ze zwykłym, pełnym przygany grymasem na ustach.

Ann uśmiechnęła się i zawołała:

— Edith!

Edith, jakby tylko na to czekała, wkroczyła do sypialni i rozsunęła w oknie zasłony.

— Doskonale — powiedziała z uznaniem. — Wreszcie mogła się pani wyleżeć. Ani mi w głowie było wczesne budzenie. Bo i po co w taki mglisty dzień.

Świat za oknem nie przedstawiał się imponująco. Niewiele go zresztą było widać poprzez żółte opary mgły, co zresztą nie miało żadnego wpływu na dobre samopoczucie Ann. Leniwie uśmiechnęła się do swoich myśli.

— Śniadanie gotowe. Zaraz je przyniosę.

Edith, wychodząc, obrzuciła Ann zaciekawionym spojrzeniem.

— Wygląda mi pani na uradowaną, nie powiem. Widać, dobrze się pani bawiła.

— Wieczorem? — Ann zastanowiła się przez chwilę. — Och, tak, oczywiście. Bawiłam się bardzo dobrze. Ale wiesz, Edith, śniło mi się, że znów byłam w Cumberland. Z tobą i z matką, i było lato, a w domu pełno było nie znanych nam dotychczas pokoi.

— Jeszcze by tego brakowało — powiedziała Edith. — I tak miałam dość roboty. Stara, zagracona chałupa. A ta kuchnia! I te piece pożerające tony węgla! Na szczęście opał był wtedy tani.

— Edith, posłuchaj, znów byłaś młoda. Ja zresztą też.

— Och, co też pani mówi, nikt nie cofnie swojego zegara! Nam też się to nie uda. Tamte czasy odeszły na zawsze. Nie ma co rozgrzebywać popiołów.

— Tak, to prawda — zgodziła się Ann.

— To nie znaczy, że nie jestem zadowolona z tego, co mam. Nie brakuje mi zdrowia i siły, chociaż powiadają, że w średnim wieku jest się najbardziej podatnym na raka. Ostatnio chodzą mi po głowie różne myśli.

— Jestem pewna, Edith, że tobie nic się takiego nie przydarzy.

— A bo to wiadomo? Niewiele trzeba, by powieźli człowieka do szpitala i pokrajali wzdłuż i wszerz, choć na ogół za późno na ratunek. — I z tymi ponurymi słowami na ustach Edith opuściła pokój.

Wróciła po kilku minutach, wnosząc na tacy poranną kawę i grzanki.

— Śniadanie, proszę pani. Proszę usiąść, podłożę pod plecy poduszkę.

Ann popatrzyła na służącą i powiedziała impulsywnie:

— Jaka ty jesteś dla mnie dobra, Edith.

Służąca spłonęła rumieńcem.

— Znam swoje obowiązki, to wszystko. Zresztą, ktoś musi o panią dbać. Pani nie jest z tych dzisiejszych, pewnych siebie, przemądrzałych kobiet. Pani przyjaciółka, to i owszem. Jej to nawet sam papież musiałby ustąpić.

— Laura Whitstable, moja Edith, dama Orderu Imperium Brytyjskiego, jest wielką osobowością.

— Wiadomo, a jakże. Słyszałam ją przez radio. Człowiek raz na nią spojrzy, a już wie, z kim ma do czynienia. Nawet mężem rządziła, tak mówią. A co ich rozłączyło: śmierć czy rozwód?

— Och, jej mąż umarł.

— Niech mu ziemia lekka będzie. Nic lepszego nie mogło mu się przytrafić. Biedaczysko, miał za żonę herod-babę. Choć teraz, nie powiem, trafiają się i tacy mężowie, co to wolą, by żona nosiła spodnie. — Edith skierowała się ku drzwiom, zauważając po drodze: — Nie trzeba się śpieszyć ze wstawaniem, skarbie. Trzeba się wyleżeć w łóżku i nacieszyć miłymi myślami i odpoczynkiem. Te dni to pani wakacje.

Wakacje, pomyślała Ann, rozbawiona. Czyż to do mnie podobne, mieć wakacje?

A jednak Edith była bliska prawdy. W dotychczasowym, tkanym według jednego szablonu, życiu Ann dni bez Sarah mogły być wreszcie dniami bezkrólewia. Przebywanie z dzieckiem, które się kocha, jest, chcąc nie chcąc, nieustannie zaprawione lekkim niepokojem, spychanym gdzieś na dno świadomości. Czy moje dziecko jest szczęśliwe? Czy X lub Y są dla niego dobrymi przyjaciółmi? Coś musiało pójść nie tak na wczorajszej zabawie. Ciekawe co?

Ann nigdy nie mieszała się do spraw córki ani nie zadawała zbędnych pytań. Sarah, według niej, powinna czuć się wolna, powinna sama wybierać między milczeniem a zwierzeniami, między tymi a tamtymi przyjaciółmi. Jej mentorem powinno być przede wszystkim życie. Lecz cóż, jeśli się kogoś kocha, nie można nie zauważać problemów, z którymi ten ktoś się boryka. No i należy być blisko, aby w razie czego pośpieszyć z pomocą. Jeśli Sarah zwróciłaby się do matki, licząc na jej współczucie lub na praktyczną pomoc, matka powinna być pod ręką, powinna służyć tak jednym, jak drugim.

Czasami Ann mówiła sobie w duchu: Muszę być przygotowana na to, że pewnego dnia Sarah będzie nieszczęśliwa, lecz nawet wówczas powinnam zachować dyskretne milczenie, chyba że sama zechce posłuchać mojej rady.

Ostatnimi czasy gnębiło ją pojawienie się tego zgorzkniałego i gderliwego młodzieńca, Geralda Lloyda, i rosnące zaabsorbowanie córki jego osobą. Toteż mogła teraz odechnąć z ulgą, wiedząc, że młodzi rozstali się na co najmniej trzy tygodnie i że Sarah w tym czasie będzie miała mnóstwo okazji do nawiązania nowych znajomości.

Tak, podczas pobytu córki w Szwajcarii, ona może pozwolić sobie na luksus niemyślenia o Geraldzie Lloydzie. Może się zrelaksować, choćby tak jak w tej chwili, oddając się leniwemu planowaniu reszty dnia. Świetnie bawiła się minionego wieczoru. Drogi James, tak miły, a jednocześnie tak nudny, biedaczysko! Te jego nie kończące się opowieści! Doprawdy, mężczyźni, z chwilą kiedy przekroczą czterdziestkę, powinni powstrzymywać się od opowiadania jakichkolwiek historii czy anegdot. Czyż nie potrafiały sobie wyobrazić, jak cierpią ich przyjaciele, słysząc nieodmienne: „Nie wiem, czy opowiadałem wam o tym, co przydarzyło mi się...” i tak dalej, i tak dalej.

Oczywiście, przyjaciele mogliby odpowiedzieć: „Ależ tak, James, słyszeliśmy to już co najmniej trzy razy”. Lecz czyż James, biedaczysko, nie poczułby się dotknięty? Nie, nikt nigdy by się tak nie zachował. Nie wobec Jamesa.

A tamten drugi mężczyzna, Richard Cauldfield? Na razie trudno mu coś zarzucić, bo też daleko mu jeszcze do wieku pułkownika, lecz prawdopodobnie i on pewnego dnia zacznie powtarzać w kółko te same nudne historie...

Ann zastanowiła się nad czymś. Być może... Nie, jednak chyba nie. Nie, ponieważ Richard Cauldfield sprawia wrażenie człowieka apodyktycznego. Kogoś, kto poucza innych. Kogoś z uprzedzeniami. Kogoś z urobionymi opiniami na każdy temat. Drażliwego. Niedorzecznego... Tak, to prawda, lecz poza tym... Poza tym... To taki samotny mężczyzna, bardzo samotny...

Ann rozczuliła się. Jej serce wezbrało współczuciem. Richard Cauldfield z pewnością nie radzi sobie w powojennym, sfrustrowanym Londynie. Ma kłopoty ze znalezieniem pracy. Przecież trudno jest teraz o jakąkolwiek, nie tylko o dobrą. Cóż, należy się spodziewać, że jednak kupi sobie farmę lub zajmie się ogrodnictwem i osiadzie na wsi.

Czy spotka go jeszcze kiedyś? Któregoś wieczoru mogłaby zaprosić Jamesa na kolację i zasugerować mu, by przyprowadził ze sobą Richarda Cauldfielda. Zaprosiłaby także jedną ze swoich znajomych i we czwórkę wybrałyby się do teatru.

Nasłuchując dobiegających zza ściany sypialni łoskotów i huków, a także wysokich tonów włączanego co chwila odkurzacza, pomyślała, że jej służąca jest wreszcie w swoim żywiole i że takiej pracowitości mogłaby jej pozazdrościć cała armia wynajętych do przeprowadzki mężczyzn.

Niebawem Edith zaczęła krążyć wokół drzwi sypialni. Z głową owiniętą chustką, z wyrazem skupienia i egzaltacji na twarzy, przypominała kapłankę, oddającą się rytualnej orgii.

— Jak przypuszczam, nie wychodzi pani na lunch? Choć co do tej mgły, to się myliłam; przejaśnia się, będzie ładny dzień. Tylko niech się pani nie zdaje, że zapomniałam o płastudze. Nie, nie zapomniałam. No, ale jak dotrzymała do teraz, to może poleżeć i do wieczora. Nie powiem, tym lodówkom trudno coś zarzucić, poza tym, że wyciągają z jedzenia cały smak. Ot co.

Ann z rozbawieniem popatrzyła na służącą.

— W porządku, w porządku, Edith, zaraz wychodzę. Nie będę na lunchu.

— Jak pani woli, mnie tam nic do tego.

— Już dobrze, Edith, tylko się nie zamęcz, bo widzę, że chcesz przewrócić do góry nogami cały dom, od sufitu do podłogi. — Może jednak weźmiesz sobie do pomocy panią Hopper? Co ty na to?

— Pani Hopper, pani Hopper! Jeszcze czego! Ostatnim razem poleciłam jej doczyścić mosiężną kratę przed kominkiem, tę ładną, po paninej mamusi. Te kobiety są dobre

tylko do mycia linoleum, a to każdy głupi potrafi. Pamięta pani stalową rzeźbioną kratę i ruszt, te, które mieliśmy w Applestream? Wymagały trochę zachodu, ale byłam z nich dumna, i to jak. No, ale i tutaj ma pani trochę ładnych mebli, trzeba tylko o nie dbać. Szkoda, że cała reszta jest wbudowana w ściany.

— Dzięki temu jest mniej sprzątanina.

— Jak na mój rozum takie coś nadaje się do hotelu, nie do mieszkania. No to wychodzi pani? Tak? W takim razie zabieram się do dywanów.

— A czy wolno mi wrócić na noc? Może powinnam przenocować w hotelu?

— Dosyć, panienko Ann, tylko bez żartów. Przy okazji, ten rondel z podwójnym dnem, który pani kupiła w domu towarowym, nie jest wiele wart. Za duży, jak na pojedyncze danie, i niewygodnie się w nim miesza. Przydałby mi się taki sam jak nasz stary.

— Obawiam się, że teraz takich się nie robi, Edith.

— Wszystko przez ten rząd — podsumowała Edith zdegustowana. — A co z porcelanowymi półmiskami do sufletów, o które nie mogę się doprosić? Panienska Sarah lubi, jak się na nich podaje.

— Ach, na śmierć zapomniałam. Rozejrzę się za nimi dzisiaj.

— No to proszę to zrobić. W sam raz zajęcie dla pani.

— Doprawdy, Edith. — zirytowała się Ann. — Czuję się jak mała dziewczynka, która przeszkadza służbie i którą wyprasza się z domu na dwór, żeby sobie poskakała przez skakankę.

— Muszę przyznać, że kiedy nie ma panienski Sarah, pani rzeczywiście wygląda mi na dziewczynkę. Ale gdzieżbym ja panią wyrzucała. — Edith wyprostowała się dumnie i powiedziała kwaśno: — Chodzi o to, że gdyby pani przypadkiem znalazła się w pobliżu sklepu wojskowego czy koło Barkera...

— Rozumiem, Edith. Idź i baw się swoją skakanką w salonie.

— No wie pani... — powiedziała Edith obrażona, zamykając za sobą drzwi.

Do stuków i huków dołączył się teraz inny dźwięk, a mianowicie cienki, niemelodyczny głos Edith, wyśpiewujący słowa smętnego hymnu:

*Ta ziemia bólem tchnie i płaczem
Ni słońca na niej, ni radości.
Swą krwią nas obmyj, dzieci twe tułacze
Panie, największa ma miłości.*

Ann przechadzała się wzdłuż rzędu półek z naczyniami w sklepie wojskowym, z ulgą odnotowując fakt, iż w dzisiejszych czasach, kiedy rynek był zalewany różnego rodzaju tandetą, w kraju nie ustała produkcja dobrej porcelany, szkła i fajansu.

Zniechęcający napis „Tylko na eksport” nie psuł jej uznania dla połyskującego w równych rzędach kruchego towaru. Zmierzała do lady, eksponującej odrzuty z eksportu, gdzie zwykle uwijały się klientki, polujące na co atrakcyjniejsze sztuki.

Tego dnia i jej się poszczęściło. Na ladzie stał prawie kompletny fajansowy serwis śniadaniowy. Ładna, brązowa glazura i przyjemny deseń na naczyniach przyciągały wzrok. Cena nie była zbyt wygórowana i Ann zdecydowała się na kupno we właściwym momencie, bo kiedy podawała swój adres zbliżyła się inna klientka i powiedziała pod-ekscytowana:

— Biorę go.

— Przykro mi, proszę pani, jest sprzedany — powiedziała sprzedawczyni.

— Przykro mi — powtórzyła Ann nieszczerze i oddaliła się, rada z odniesionego sukcesu. Powiodło jej się także z półmiskami do sufletów i choć były szklane, nie porcelanowe, to miała nadzieję, że Edith nie będzie na nie zbyt wybrzydzać.

Opuściwszy dział porcelany, przeszła na drugą stronę ulicy do działu ogrodniczego; jej skrzynka na kwiaty we frontowym oknie rozsypała się już doszczętnie, więc należało zamówić nową:

Właśnie rozmawiała o tym ze sprzedawcą, kiedy usłyszała za plecami czyjś głos:

— Dzień dobry, pani Prentice.

Odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z Richardem Cauldfieldem. Jego nie ukrywana radość z przypadkowego spotkania lekko połechtła kobiecą próżność Ann.

— Co za miłe spotkanie. I jaki niezwykły zbieg okoliczności. Choć przyznam szczerze, że właśnie o pani myślałem. Wczoraj wieczorem miałem ochotę zapytać panią o adres i, za pozwoleniem, wprosić się na wizytę. Lecz ostatecznie obleciał mnie strach, że zostanie mi to poczytane za swego rodzaju impertynencję. Pani z pewnością ma wielu przyjaciół, podczas gdy...

Ann nie pozwoliła mu dokończyć:

— Ależ tak. Musi pan koniecznie mnie odwiedzić. Ja z kolei myślałam o zaproszeniu na obiad pułkownika Granta i zasugerowaniu mu, by przyprowadził ze sobą pana.

— Naprawdę? Naprawdę tak pani myślała?

Zapał i jawne zadowolenie Richarda Cauldfielda spowodowały, że serce Ann drgnęło współczuciem. Jakież to okropnie samotny mężczyzna, pomyślała. No i ten jego chłopięcy, szczęśliwy uśmiech...

— Zamawiałam nową skrzynkę na kwiaty. Tylko na taki ogród możemy sobie w naszym mieszkaniu pozwolić.

— Cóż, to Londyn.

— A co pan tu porabia?

— Rozglądam się za inkubatorami...

— A więc zdecydował się pan na hodowlę drobiu.

— Mniej więcej. Interesuje mnie najnowsze wyposażenie kurników. Rozumiem, że te wszystkie urządzenia elektryczne to ostatni krzyk mody.

Razem ruszyli ku wyjściu. Richard Cauldfield powiedział z nagłym pośpiechem:

— Jeśli wolno zapytać, choć zdaję sobie sprawę, że być może jest już pani umówiona lub ma inne plany... otóż, jeśli wolno zapytać, czy nie zechciałaby pani zjeść ze mną lunchu?

— Dziękuję. Z wielką ochotą. W istocie moja służąca, Edith, wpadła w szal wiosennych porządków i stanowczo zabroniła mi zjawiać się w domu w porze lunchu.

Richard Cauldfield nie wyglądał na rozbawionego.

— Czyż to nie jest zbyt daleko idąca arbitralność?

— Edith ma w moim domu szczególne przywileje.

— Jeśli nawet, to i tak nie należy rozpuszczać służby.

On mnie strofuje, pomyślała Ann, śmiejąc się w głębi duszy.

— Nie mam wiele służby do rozpuszczania. A poza tym Edith jest bardziej przyjaciółką niż służącą. Jest u mnie od niepamiętnych czasów.

— Ach tak, rozumiem. — Tym razem Richard Cauldfield poczuł się z lekka skarcony, choć nie uważał, by ta urocza, łagodna kobieta miała rację. Z pewnością pozwala się tyranizować służącej, pomyślał. Z pewnością nie potrafi występować we własnej obronie. Jest zbyt łagodna i zbyt ustępliwa. — Wiosenne porządki? — zapytał niepewnie. — Czy aby służącej nie pomyliły się pory roku?

— Ma pan rację. Powinno się je zrobić w marcu. Ale moja córka wyjechała na kilka tygodni do Szwajcarii, nadarza się więc okazja do generalnego sprzątnia. Kiedy Sarah jest w domu, wciąż jesteśmy czymś zajęte.

— Pewnie tęskni pani za nią?

— Tak, to oczywiste.

— Młode dziewczyny nie znadto lubią dzisiaj przesiadywać z rodzicami. Tak mi się przynajmniej zdaje. Rwą się do życia na własny rachunek.

— Och, wcale nie tak bardzo. Próbują, i owszem, ale na szczęście swoboda w tym wieku szybko staje się uciążliwa.

— No cóż. Ładny mamy dzień, nieprawda? Czy ma pani ochotę na spacer przez park, czy może będzie to zbyt męczące?

— Nie, skądże. Sama chciałam to panu zaproponować.

Przebiegli Victoria Street i zagłębili się w wąską uliczkę, która wyprowadziła ich na stację metra St James's Park. Cauldfield popatrzył na zdobiącą fasadę budynku rzeźby Epsteina.

— Czy tego rodzaju sztuka przemawia do pani? Albo raczej czy to „coś” można nazwać sztuką?

— Och, dlaczego nie?

— Nie wierzę, by pani była zwolenniczką takiej awangardy.

— Nie, ja nie. Ja z racji swojej staroświeckości pozostanę duchem przy klasycznej rzeźbie i rzeczach, które nauczono mnie podziwiać od dziecka. Ale to nie znaczy, że mam dobry gust. Zapewne są ludzie, którzy cenią sobie nowe formy sztuki. Tak samo jest przecież z muzyką.

— Z muzyką! Chyba nie określi pani tym słowem wypocin dzisiejszych kompozytorów?!

— Panie Cauldfield, czy nie sądzi pan, że brakuje panu szerszego spojrzenia na świat?

Richard Cauldfield popatrzył przenikliwie na swoją towarzyszkę. Ta splonęła rumieńcem, lecz nie odwróciła wzroku.

— Czyżby? — zapytał. — No, być może. Wie pani, kiedy się długo przebywa poza krajem, po powrocie trudno jest odnaleźć swoje miejsce, trudno zaakceptować zmiany. Chciałoby się zastać wszystko po staremu. — Uśmiechnął się nieoczekiwanie. — Musi się pani mną zająć.

Ann pośpieszyła z wyjaśnieniami:

— Jestem okropnie niedzisiejsza. Sarah często mnie wyśmiewa. Ale proszę mi wierzyć, to straszna szkoda, kiedy ktoś zamyka się przed światem w miarę... jakby to powiedzieć... w miarę starzenia się. Przede wszystkim dlatego, że taki ktoś staje się dość nudny, lecz także i z tego powodu, że może stracić coś, co życie ma mu jeszcze do zaoferowania.

Zapadła cisza, którą po jakimś czasie przerwał Richard.

— To absurdalne, kiedy pani mówi o starzeniu się. Dawno nie spotkałem kogoś tak młodego jak pani. O wiele młodszego od tych wszystkich epatujących swoją młodością dziewczyn. One mnie po prostu przerażają.

— Mnie też, trochę. Choć uważam, że są w porządku.

Doszli wreszcie do St James's Park. Słońce stało wysoko na niebie i dzień był prawie ciepły.

— Dokąd pójdziemy?

— Pójdziemy popatrzeć na pelikany.

Przyglądając się z przyjemnością ptakom, rozmawiali o różnych gatunkach wodnego ptactwa. Richard Cauldfield, zrelaksowany i w beztroskim nastroju, był wprost czarujący. Obojgu zresztą nie zbywało na humorze i oboje cieszyli się nawzajem własnym towarzystwem.

Niebawem Richard Cauldfield rzekł:

— Czy nie posiedzielibyśmy trochę na słońcu? Nie zmarznie pani?

— Nie, jest mi całkiem ciepło.

Usiedli i zapatrzili się w wodę. Jej barwa, rozrzedzona., nierzeczywista, przywodziła na myśl japońskie sztychy.

Ann powiedziała w zadumie:

— Jakże piękny może być Londyn. Nie zawsze zdajemy sobie z tego sprawę.

— Rzeczywiście. Dla mnie to prawie odkrycie.

Siedzieli w milczeniu minutę czy dwie, po czym Richard Cauldfield powiedział:

— Moja żona zwykle mówiła, że Londyn jest jedynym miejscem, w którym należy witać wiosnę. Uważała, że zielone pąki, migdałowce i kwitnące bzy bardziej są widoczne na tle cegieł i murów. Uważała, że na wsi roślinność jest zbyt bujna i wszystko dzieje się w zbyt wielkim zamieszaniu, by można było zauważyć każdy szczegół we właściwym świetle. Ogrody podmiejskie rozkwitają w ciągu jednej nocy.

— Pańska żona chyba miała rację.

Richard Cauldfield rzekł z niejakim wysiłkiem, nie patrząc na Ann:

— Ona nie żyje... i to od dawna.

— Wiem. Wiem o tym od pułkownika Granta.

— A to, w jaki sposób umarła, też pani wie?

— Tak.

— Moja pamięć chyba się nigdy nie potrafi wyzwolić od tego wspomnienia. Do dziś czuję się tak, jakbym to ja ją zabił.

Ann namyślała się chwilę nad odpowiedzią.

— Wyobrażam sobie, co pan czuje. Na pana miejscu zareagowałabym podobnie. Ale sam pan wie, że to nieprawda.

— Ależ prawda.

— Nie. Nie z kobiecego punktu widzenia. Kobieta zawsze jest gotowa podjąć takie ryzyko. Jest ono częścią jej miłości. Kobieta z racji samej kobiecej natury pragnie dziecka, proszę o tym pamiętać. Pana żona też pragnęła, prawda?

— Och, i to bardzo. Oczekując go, oboje przepojeni byliśmy szczęściem. Moja żona miała silny, zdrowy organizm. Nic nie zapowiadało nieszczęścia.

Znów zapadło milczenie.

Wreszcie odezwała się Ann:

— Tak mi przykro. Tak bardzo mi przykro.

— To już tyle lat...

— Dziecko umarło także?

— Tak. I wie pani, w pewien sposób nawet się z tego cieszę. Chyba miałbym do niego żal, gdyby przeżyło. Zawsze pamiętałbym cenę, jaką żona zapłaciła za jego istnienie.

— Proszę opowiedzieć mi o swojej żonie.

Siedząc z obcą kobietą, w bladym zimowym słońcu Richard Cauldfield snuł dawną opowieść o Aline. O jej urodzie i jej radości życia. I o nieoczekiwanych chwilach zamyśleń, podczas których oddalała się od niego, a on nie wiedział, czy wolno mu wdzierać się w jej wewnętrzny świat.

W pewnej chwili rzekł, dziwiąc się samemu sobie:

— Nie rozmawiałem o niej z nikim całe lata.

— Proszę mówić dalej — powiedziała Ann.

Wszystko trwało krótko, zbyt krótko. Trzymiesięczne zaręczyny, małżeństwo — „właściwie ni stąd, ni zowąd, nam obojgu wcale się nie śpieszyło, to jej matka nalegała”. Potem miesiąc miodowy, spędzony na zwiedzaniu Francji, zwłaszcza zamków nad Loarą.

— Aline bała się jazdy samochodem. Trzymała dłoń na moim kolanie, co dodawało jej odwagi. — Doprawdy nie wiem, dlaczego była tak nerwowa, przecież nigdy nie zdarzył jej się żaden wypadek. Czasami, kiedy już było po wszystkim, kiedy jeździłem po Birmie, zdarzało mi się czuć jej rękę na swojej nodze. Jej nagłe odejście, nagłe zniknięcie z mojego życia nie mieściło się w moim pojmowaniu świata.

Tak, pomyślała Ann, śmierć nie mieści się w niczym pojmowaniu świata. Ona także nie mogła uwierzyć w odejście Patricka. Zdawało jej się, że on musi być gdzieś w pobliżu. Że na pewno da jej odczuć swoją obecność. Nie mógł przecież tak po prostu przestać istnieć, nie pozostawiając po sobie żadnego śladu. Ta przerażająca przepaść między śmiercią a życiem!

Richard Cauldfield mówił dalej. Opowiadał o małym domku, który znaleźli z żoną w pewnym zaułku; domku, przy którym rosła grusza i krzewił się bez. Potem, kiedy głosem szorstkim i zdławionym dociągnął smutną opowieść do końca, powiedział raz jeszcze:

— Nie zwierzałem się dotychczas nikomu. Doprawdy nie wiem, dlaczego robię to teraz, wobec pani...

Lecz to nie była prawda, Richard Cauldfield dobrze wiedział, dlaczego. Wiedział, pytając Ann, trochę niespokojnie, czy zgodzi się zjeść lunch w jego klubie — „Mają tam przyjemny kącik dla pań. A może woli pani pójść do restauracji?” — wiedział, słysząc odpowiedź, że ona woli klub, wiedział, kiedy podnieśli się z ławki i ruszyli w stronę Pall Mall; ta wiedza, jeśli nawet nie do końca rozpoznana, tkwiła w nim głęboko.

Tak wyglądało pożegnanie Aline, po wielu latach, w chłodnej, nieziemsko pięknej zimowej scenerii parku.

Zostawił ją tutaj, nad brzegiem stawu, pod nagimi gałęziami drzew, kreślącymi splątane wzory na bladej kopule nieba.

Przywołał ją do życia, taką, jaka była, młoda i silna, przywołał żal po jej stracie po raz ostatni. To był lament, egzekwie, hymn pochwalny — wszystko razem po trochu.

Ale to był także pogrzeb.

Zostawił Aline tam, w głębi parku, i wyszedł na ulice Londynu z Ann.

Rozdział czwarty

— Czy zastałam panią Prentice? — zapytała Laura Whitstable.

— Nie, proszę pani, lecz powinna nadejść lada moment. Czy nie zechciałaby pani wejść i poczekać?

Edith odsunęła się z szacunkiem na bok i wpuściła gościa do środka.

Laura Whitstable raczyła powiedzieć:

— Poczekam kwadrans. Dość dawno u niej nie byłam.

— Tak, proszę pani.

Edith wprowadziła ją do salonu i przyklękła, by zapalić elektryczny kominek. Dama Orderu Imperium Brytyjskiego rozejrzała się i wykrzyknęła:

— Poprzestawiano meble, jak widzę. Biurko stało zwykle w rogu. Sofa też gdzie indziej.

— Pani Prentice uważa, że warto od czasu do czasu zmienić coś w mieszkaniu — powiedziała Edith. — Wchodzę ci ja tutaj kiedyś, a ona nic tylko pcha i przeciąga wszystko po kolei. „Och, Edith, powiada, nie sądzisz, że salon nabrał przyjemniejszego wyglądu? I że zrobiło się przestronniej?” Cóż, ja tam nie zauważyłam niczego szczególnego, lecz naturalnie powstrzymałam się od uwag. Panie miewają różne widzimisię. Powiedziałam tylko: „Na pani miejscu nie przemęczałabym się tak. Dźwiganie ciężarów to najgorsza rzecz dla wnętrzości; raz naderwane, niełatwo wracają na swoje miejsce”. Już ja tam swoje wiem. To zdarzyło się mojej bratowej, kiedy szarpała się z oknem. Uparła się, żeby je podciągnąć, no i ma za swoje; do końca życia musi leżeć na sofie.

— I pewnie całkiem niepotrzebnie — stwierdziła Laura Whitstable. — Dzięki Bogu odchodzi się od przekonania, że leżenie na sofie jest panaceum na każdą chorobę.

— A jakże. Teraz nawet położnica nie może wyleżeć się w łóżku tyle, ile trzeba — zauważyła z przekąsem Edith. — Moja siostrzenica, biedactwo, musiała chodzić już piętego dnia.

— Jesteśmy teraz o wiele zdrowszą nacją, niż byliśmy kiedyś.

— I owszem, czemu nie — powiedziała ponuro Edith. — Byłam przeraźliwie delikatnym dzieckiem. Nikomu nie przychodziło do głowy, że się uchowam. Wciąż tylko mdlałam i mdlałam. Albo i dostawałam spazmów. Znowu zimą to robiłam się całkiem sina. No to mam na starość reumatyzm.

Laura Whitstable, nie zainteresowana dawnymi ani obecnymi dolegliwościami Edith, dokonywała dalszego przeglądu przemeblowanego salonu.

— Chyba rzeczywiście jest tu teraz ładniej — przyznała. — Pani Prentice ma rację. Powinna była wcześniej na to wpaść.

— To się nazywa wicie gniazda — mruknęła pod nosem Edith.

— Jak?

— Wicie gniazda, proszę łaskawej pani. Widzę tu już ptasią parę, jak się uwija z gałązkami w dzióbkach.

— Och.

Dwie kobiety spojrzały na siebie znacząco; nie potrzebowały słów, by się zrozumieć. Laura Whitstable spytała bezceremonialnie:

— Często tu bywa pułkownik Grant?

Edith pokręciła przecząco głową.

— Biedaczysko — powiedziała, wzdychając. — Jak chce pani wiedzieć, to według mnie dostał jakiegoś tam węgorza, jak mówią Francuzi, chociaż francuski to nie moja specjalność — dodała, usprawiedliwiając się.

— Hm. Chodzi ci zapewne o *congé**; nasz węgorz brzmi trochę podobnie. Rozumiem.

— To był prawdziwy dżentelmen — stwierdziła Edith tonem, jakim na pogrzebie wygłasza się stosowne epitafium. — No, na mnie już pora. — Wychodząc z salonu, powiedziała jeszcze: — Nie każdemu podoba się to przemeblowanie. Panienska Sarah nie lubi żadnych zmian.

Laura Whitstable uniosła w zdziwieniu krzaczaste brwi. Następnie sięgnęła po stojącą na półce książkę i zaczęła bezmyślnie przewracać jej strony.

W tej samej chwili ktoś otworzył zamek w drzwiach wejściowych i jednocześnie w ciasnym hallu dały się słyszeć dwa radosne głosy: Ann i towarzyszącego jej mężczyzny.

— Och, poczta. Dostałam list od Sarah — ucieszyła się Ann.

Weszła wprost do salonu, obracając w dłoni kopertę, a widząc przyjaciółkę, zatrzymała się zmieszana.

— Laura? Jak to miło cię widzieć. — Odwróciła się do mężczyzny, który szedł za nią krok w krok. — Pan Cauldfield, dama Orderu Imperium Brytyjskiego, Laura Whitstable.

**congé* (franc.) – wymówienie, *conger* (ang.) – węgorz morski (przyp. red)

Laura Whitstable dokonała pobieżnej oceny przybysza.

Typ przeciętnego mężczyzny. Prawdopodobnie uparty. Uczciwy. O dobrym sercu. Bez poczucia humoru. Prawdopodobnie drażliwy. Albo czuły. Bardzo zakochany w Ann.

Zaczęła rozmawiać z nim w charakterystyczny dla siebie, szorstki sposób.

Ann, pod pretekstem udania się do kuchni, wymknęła się z salonu.

— Nie zamierzam pić herbaty — zawołała za nią Laura. — Jest już prawie szósta.

— W takim razie napijemy się oboje z Richardem; wracamy z koncertu. A ty na co masz ochotę, Lauro?

— Proszę o brandy z wodą sodową.

— Oczywiście.

— Lubi pan muzykę, panie Cauldfield? — spytała Laura Whitstable.

— Tak. Szczególnie Beethovena.

— Wszyscy Anglicy lubią Beethovena. Ja natomiast, przykro mi się przyznać, zasypiam przy nim. Cóż, nie jestem zbyt muzykalna.

— Papierosa, pani Lauro? — zaproponował Cauldfield, podsuwając papierośnicę.

— Nie, dziękuję. Palę wyłącznie cygara. — Przyglądając mu się badawczo, dodała: — A więc jest pan typem, który o szóstej po południu woli herbatę niż koktajl lub sherry?

— Nie, raczej nie. Nie przepadam za herbatą. Ale myślę, że Ann ją lubi... Ach, proszę mi wybaczyć, to, co mówię, brzmi absurdalnie.

— Ani trochę. Pańskie postępowanie nacechowane jest przenikliwością. Nie sądzę, by Ann nie gustowała w koktajlach lub sherry, pija je, to oczywiste ale ona należy do tego rodzaju kobiet, które najkorzystniej wyglądają przy stoliku zastawionym kompletem do herbaty — tacą, na której połyskuje stare georgiańskie srebro i na której wdziczą się filiżanki i talerzyki z najcieńszej porcelany.

Richard był uszczęśliwiony.

— Ma pani absolutną rację! — wykrzyknął.

— Znam Ann od dawna. I bardzo ją lubię.

— Wiem o tym. Ona mi często o pani mówi. Że nie wspomnę, iż głośno o pani w całym Londynie.

Laura Whitstable uśmiechnęła się ujmująco.

— Och, tak. Jestem jedną z najbardziej znanych kobiet w Anglii. Zwykle uczestniczę w różnych konferencjach, wygłaszam swoje poglądy przez radio albo wyjaśniam, co w świetle prawa jest dobre dla ludzkości. Jednakowoż, tak naprawdę, zajmuję się tym samym co wszyscy, to znaczy usiłuję przejść przez życie, a do tego nie trzeba wybitnego intelektu.

— Och, proszę tak nie mówić — zaprotestował Richard. — Dojście do takiej konkluzji musi działać na człowieka przygnębiająco.

— Nic podobnego. Pokora powinna cechować każdego.

— Przyznaję, że trudno mi się z panią zgodzić.

— A to dlaczego?

— Otóż ja uważam, że jeśli mężczyzna (lub kobieta, to jasne), ma kiedykolwiek przedsięwziąć coś godnego uwagi, musi najpierw uwierzyć w siebie.

— A niby dlaczego?

— Proszę tylko posłuchać, pani Lauro...

— O nie. Ja jestem staroświecka. Wolę, żeby człowiek miał odpowiednią wiedzę; wierzyć powinien tylko w Boga.

— Wiedza i wiara, czyż to nie to samo?

— Przepraszam, lecz według mnie nie. Jedną z wypieszczonych przeze mnie teorii (tchnąca całkowitą utopią, oczywiście; wszak utopia to najprzyjemniejszy składnik teorii) głosi, że każdy powinien spędzić jeden miesiąc w roku w samym sercu pustyni, obijając przy źródle i jedząc jedynie daktyl lub coś, co rodzi pustynia.

— To mogłoby być dość przyjemne. — Richard uśmiechnął się z uznaniem. — Lecz jeśli o mnie chodzi, zażądałbym ponadto kilku światowych bestsellerów.

— Co to, to nie. Żadnych książek. Książki to narkotyk, który kształtuje nasze obyczaje. Mieć dość jedzenia i picia i nic, absolutnie nic, do roboty; dopiero wtedy można zmierzyć się z samym sobą. Wtedy naprawdę można siebie poznać.

Richard uśmiechnął się niedowierzająco.

— Czy nie sądzi pani, że większość z nas zna siebie całkiem nieźle?

— Ja z pewnością nie. Dzisiaj, z braku czasu, poprzestaje się na ogół na pobieżnym poznawaniu jedynie co przyjemniejszych cech charakteru.

— Czegóż to dotyczy tak zażarta dyskusja, jeśli wolno wiedzieć? — zapytała Ann, wchodząc do salonu ze szklanką w ręku. — Oto twoja brandy z wodą sodową, Lauro. Edith za chwilę przyniesie herbatę.

— Głoszę swoją teorię pustynnych medytacji — odparła Laura.

— Ach tak — zaśmiała się pani domu. — Otóż widzisz, Richardzie, możesz siedzieć sobie na pustyni i nic nie robić, bylebyś doszedł do wniosku, ile to w tobie tkwi wszelkiego zła i okropieństwa. Ulubiony przez Laurę sposób spędzania czasu.

— Czy każdy musi być z gruntu złym człowiekiem? — zapytał oschle Richard.

— Wiem, że psychologowie tak uważają, lecz niechże mi ktoś powie, dlaczego.

— Ano dlatego, że jeśli człowiek ma czas poznać jedynie małą cząstkę swojej osobowości, woli poprzestać na tej lepszej, do gorszej raczej nie sięgnie — powiedziała Laura bez wahania.

— To wszystko jest bardzo piękne, Lauro — zauważyła Ann — lecz co dalej? Co dalej po medytacjach na pustyni i po dojściu do wniosku, że się jest okropnym człowiekiem? Czy to wystarczy, by się zmienić?

— Skłonna jestem przypuszczać, że nie, ale takie medytacje i taka świadomość dają człowiekowi rozeznanie, jak może się zachować w pewnych okolicznościach, a co ważniejsze, dlaczego postąpi tak, a nie inaczej.

— Ale czy nie jest się zdolnym wyobrazić sobie całkiem dobrze swoich przyszłych reakcji i poczynań w normalnych warunkach? To znaczy, czy wyobraźnia pracuje tylko na pustyni?

— Och, Ann, Ann! Pomyśl o kimś pierwszym lepszym, o kimś, kto uczy się na pamięć, co ma powiedzieć podczas rozmowy z szefem, z dziewczyną, z sąsiadem zza płotu. Ma to wszystko w jednym palcu, a potem, we właściwym momencie albo płacze mu się język, albo mówi coś zupełnie odmiennego! Ludzie, którzy w skrytości ducha uważają, że potrafią stawić czoło każdemu niebezpieczeństwu, pierwsi tracą kompletnie głowę w krytycznej sytuacji, podczas gdy wychodzą z niej zwycięsko, ku własnemu zaskoczeniu, ci z natury lękliwi.

— Masz na myśli, jak rozumiem, to, że ludzie przepowiadają sobie wymaginowane rozmowy i odtwarzają w wyobraźni pewne działania w sposób życzeniowy. Cóż, robiąc to, prawdopodobnie są świadomi, iż rzeczywistość będzie inna. Ja jednak upierałabym się przy tym, że zasadniczo każdy zna własne reakcje, jak również własny charakter.

— Och, moje drogie dziecko. — Laura Whitstable uniosła w górę ręce. — A więc uważasz, że znasz Ann Prentice. Ciekawe.

Weszła Edith z herbatą.

— No więc, nie sądzę, bym była szczególnie miła — powiedziała Ann, uśmiechając się.

— Proszę, oto list od panienki Sarah. Zostawiła go pani w sypialni.

— Och, dziękuję, Edith.

Przenikliwym oczom Laury nie umknął fakt, że list od córki, nadal nie otwarty, spoczął obok nakrycia Ann.

Richard Cauldfield wypił herbatę i bez zbytniego ociągania pożegnał obie panie.

— Jest taktowny — stwierdziła Ann. — Nie chciał nam przeszkadzać w rozmowie.

Laura Whitstable popatrzyła na przyjaciółkę uważnie. Była zaskoczona zmianą, jaka się w niej dokonała: z sympatycznej, przyjemnie wyglądającej kobiety, Ann przeistoczyła się niemal w piękność. Laura Whitstable widziała już takie przypadki, i знаła ich przyczyny. Ten blask, to przepełnione szczęściem spojrzenie mogły oznaczać jedno — Ann jest zakochana. Jakże to niesprawiedliwe, pomyślała, że zakochane kobiety wyglądają tak pięknie, a zakochany mężczyzna przypomina skołowaciałą, błędną owcę.

— Co ostatnio porabiałaś, Ann?

— Och, nic szczególnego, sama nie wiem. Bywałam tu i ówdzie.

— Richard Cauldfield to twój nowy przyjaciel, prawda?

— Tak. Znam go dopiero od dziesięciu dni. Spotkaliśmy się w restauracji, do której i mnie, i jego zaprosił James Grant.

Powiedziała przyjaciółce kilka słów na jego temat, kończąc naiwnym pytaniem:

— Polubiłaś go, prawda?

Laura, która jeszcze do końca nie wiedziała, co ma sądzić o Richardzie Cauldfieldzie, nie zwlekała z odpowiedzią.

— Tak, bardzo.

— Jestem przekonana, że Richard miał smutne życie.

Tego rodzaju stwierdzenia Laura słyszała bardzo często. Powściągnęła jednak po-
błąźliwy uśmiech i zapytała:

— Co słyhać u Sarah?

Twarz Ann pojaśniała.

— Och, Sarah bawi się znakomicie. Mają wspaniały śnieg i chyba nikt się jeszcze nie
połamał.

Laura Whitstable zauważyła z poważną miną że Edith będzie rozczarowana. Obie
kobiety roześmiały się.

— To list od Sarah. Czy mogłabym go teraz otworzyć?

— Ależ oczywiście.

Ann rozerwała kopertę i zaczęła czytać. Jej twarz rozjaśniła się w pełnym tkiwości
uśmiechu. Podała list Laurze.

Ukochana mamo,

*Śnieg jest wspaniały. Mówi się tutaj, że to najlepszy sezon od niepamiętnych czasów. Lou
nie udało się zdać egzaminu. Roger występuje w roli mojego, trenera — to niesamowicie
miło z jego strony, bo wiesz, on jest w narciarskich kręgach strasznie grubą rybą. Jane mówi,
że dostał bzika na moim punkcie, ale ja tak nie uważam. Chodzi raczej o sadystyczną przy-
jemność, jaką sprawia mu moja niezgrabność i lądowanie głową w śniegowych zaspach.
Jest tutaj lady Cronsham z tym strasznym typem z Ameryki Południowej. Oni rzeczywiście
są zbyt, ale to zbyt krzykliwi. Ja raczej palę się do jednego z instruktorów (niewiarygodnie
przystojny). Niestety, do niego pali się każda, więc nie mam żadnych szans. Dobrze, że przy-
najmniej nauczył mnie tańczyć walca na lodzie.*

*Co u Ciebie, mój skarbie? Mam nadzieję, że nie siedzisz w domu. Tylko nie pozwalaj
sobie za bardzo ze starym pułkownikiem; on miewa czasami diabelskie błyski w oku! A jak
się ma profesor? Czy opowiadał ci coś nowego o ślubnych obrzędach u dzikusów? Wkrótce
się zobaczymy, uściski,*

Sarah

Laura zwróciła list przyjaciółce.

— Wygląda na to, że Sarah rzeczywiście dobrze się bawi... Ten profesor to twój przy-
jaciół archeolog, jak sądzę?

— Tak, Sarah zawsze mi dokucza z jego powodu. W istocie nosiłam się z myślą, by zaprosić go na lunch, ale wciąż brakuje mi czasu.

— To prawda, wyglądasz na dość zajęta.

Ann nerwowo składała i rozkładała list od córki. Wreszcie westchnęła:

— Wielki Boże.

— Dlaczego wzywasz Boga, Ann?

— Cóż, chyba nie zaszkodzi, jak ci powiem. I tak pewnie wszystkiego się domyślasz.

Richard Cauldfield poprosił mnie o rękę.

— A to kiedy?

— Och, dopiero dzisiaj.

— I co? Wyjdiesz za niego?

— Chyba tak... Zresztą... żadne „chyba”. Oczywiście, że wyjdę.

— Jesteś prędką, Ann!

— Chcesz powiedzieć, że znam go za krótko? Może i tak, lecz oboje jesteśmy zdecydowani.

— A ty wiesz o nim sporo od pułkownika Granta. Cieszę się za ciebie, moja droga. Wyglądasz na bardzo szczęśliwą.

— Być może zabrzmi to głupio, Lauro, lecz ja naprawdę go kocham.

— To widać, moja droga.

— A on kocha mnie.

— Tego także nie da się ukryć. Jeszcze nigdy nie widziałam mężczyzny bardziej podobnego do błędnej owcy.

— Richard nie wygląda jak żadna owca!

— Zakochany mężczyzna zawsze przypomina skołowaną owcę. Takie już jest chyba prawo natury.

— Lecz ty go polubiłaś, Lauro, prawda? — Ann powtórzyła zadane kilka chwil wcześniej pytanie.

Tym razem Laura Whitstable zastanowiła się nad odpowiedzią.

— Richarda Cauldfielda łatwo daje się rozgryźć. Nie ma zbyt skomplikowanej natury.

— Tak mówisz? Możliwe. Ale czyż nie można mu tego zaliczyć na plus?

— Nie byłabym pewna. No i jest drażliwy. Przesadnie drażliwy.

— Podziwiam cię, Lauro, że potrafisz to wszystko dostrzec. Nie wszyscy są tak bystrzy jak ty.

— Ja należę do wyjątków — stwierdziła Laura, a po chwili wahania spytała: — Sarah już wie?

— Nie, oczywiście, że nie. Przecież dopiero dzisiaj sprawy przybrały obrót, jaki przybrały.

— Ale chyba wspomniałaś jej o nim w liście. Przetarłaś, jak to się mówi, szlak.

— Nie, jeszcze nie. Choć muszę to zrobić.

— No właśnie.

Ann zapytała niepewnie:

— Jak uważasz, jaka będzie reakcja Sarah?

— Trudno powiedzieć.

— Sarah jest dla mnie taka dobra. Nikt poza mną nie wie, ile w niej słodyczy. Oczywiście, zdaję sobie sprawę... — Ann popatrzyła błagalnie na przyjaciółkę. — Cóż, Sarah może określić to, co się stało, jednym słowem: zabawne.

— Całkiem możliwe. Czyżbyś się tym przejmowała?

— Och, ja nie. Myślę o Richardzie.

— Twój przysły małż, chcąc nie chcąc, przełknij każdą uwagę Sarah. Lecz radzę ci, nie zwlekaj z zawiadomieniem córki. Trzeba jej dać trochę czasu na przyzwyczajenie się do nowych okoliczności. A przy okazji, na kiedy planujecie ślub?

— Richard życzy sobie, by się odbył jak najprędzej. Istotnie, w naszym wypadku zwłoka nie jest potrzebna. Prawda?

— Absolutnie się zgadzam. Im prędzej wyjdiesz za mąż, tym lepiej dla ciebie.

— Wszystko dobrze się układa. Richard właśnie dostał pracę u Hellnerów. Poznał w czasie wojny, w Birmie, młodszego z braci. To szczęśliwy zbieg okoliczności, prawda?

— Moja kochana, wszystko zdaje się obracać na dobre. Cieszę się za ciebie, Ann, i to bardzo — powiedziawszy to, Laura podniosła się i ucałowała Ann na pożegnanie. — No więc skąd to zmarszczone czoło?

— Z powodu Sarah. Oby nie miała nic przeciwko mojemu małżeństwu.

— Droga Ann, powiedz mi, proszę, czyje życie przeżywasz, swoje czy córki?

— Moje, to jasne, lecz...

— Jeśli Sarah to się nie spodoba, nie przejmuj się. Powoli się przyzwyczai do nowej sytuacji. Przecież cię kocha, Ann.

— Wiem, oczywiście.

— Być kochaną to bardzo kłopotliwa sprawa. Prawie każdy dochodzi kiedyś do takiego przekonania. Nie wcześniej, to później. Im mniej ludzi cię kocha, tym mniej będziesz cierpieć. Mam szczęście, że większość bliźnich serdecznie mnie nie lubi, a skromnej reszcie jestem prawie obojętna.

— Lauro, to nieprawda. Ja...

— Do zobaczenia, Ann. I nie zmuszaj Richarda do mówienia, że mnie lubi. Dopiero co poczuł do mnie gwałtowną niechęć. Oby skończyło się tylko na niechęci.

Tego wieczoru, podczas oficjalnej kolacji, pewien uczony mąż, siedzący obok Laury Whitstable, zmartwił się, widząc wbite w siebie puste spojrzenie. Właśnie kończył wywód na temat rewolucyjnych innowacji w terapii szokowej.

- Wcale mnie nie słuchasz — wykrzyknął z wyrzutem.
- Przepraszam, Davidzie. Rozmyślałam nad pewną matką i jej córką.
- Ach, swoisty przypadek. Ciekawe, ciekawe.
- Nie, to nie przypadek. To moja przyjaciółka.
- Jedna z tych zaborczych matek, jak sądzę?
- Nie. Tym razem jedna z zaborczych córek.

Rozdział piąty

1

— Cóż, Ann, moja miła — rzekł Geoffrey Fane. — Gratuluję ci, chyba tak się mówi w podobnych sytuacjach. Hm... hm. Pan Cauldfield jest bardzo szczęśliwym mężczyzną, tak, bardzo szczęśliwym. Nigdy się z nim nie zetknąłem, o ile mnie pamięć nie myli, nic mi też nie mówi jego nazwisko.

— Och, ja sama poznałam go zaledwie kilka tygodni temu.

Profesor Fane, jak to było w jego zwyczaju, patrzył na nią łagodnie spod okularów.

— Moja droga — powiedział tonem dezaprobaty — czy w takim razie nie postępujesz zbyt pochopnie?

— Nie sądzę.

— U Matawajalów okres zalotów trwa przynajmniej półtora roku...

— W takim razie to bardzo rozważni ludzie. A zawsze mi się zdawało, że dzikusami powodują pierwotne instynkty.

— Matawajalowie nie są wcale tacy dzicy — obruszył się Geoffrey Fane. — Wykształcili bardzo charakterystyczną kulturę. Ich rytuały zaślubin są nad wyraz skomplikowane. W wigilię ceremonii przyjaciółki panny młodej... hm... hm... może lepiej będzie nie wdawać się w szczegóły. Ale to naprawdę bardzo interesujące, a ponadto zdaje się sugerować, że ongiś święty rytuał małżeński najważniejszej spośród kapłanek... nie, nie powinienem mówić dalej. Przejdźmy do prezentów ślubnych. Co byś chciała ode mnie dostać, Ann?

— Doprawdy, daj sobie spokój.

— Coś ze sreber, zgoda? Może srebrny kubek? Ach nie, nie, to się darowuje na chrzciny. W takim razie może łyżki? A może stojak na grzanki? O, już wiem! Wazon na róże. Ann, kochana, ale czy ty rzeczywiście wiesz coś o tym człowieku? To znaczy, czy opierasz swoją wiedzę wyłącznie na tym, co mówią wasi wspólni przyjaciele? Powinnaś uważać, zwłaszcza w dzisiejszych czasach, kiedy to codziennie się słyszy różne nieciekawe historie.

— To nie jest znajomość zawarta na plaży, a ja nie zdaję się na jego łaskę czy niechęć.

Geoffrey Fane, zaniepokojony, nadal wpatrywał się w Ann. Dopiero kiedy ta się roześmiała, odetchnął z ulgą.

— No to w porządku, w porządku. Obawiam się, że cię zanudziłem. Ale nigdy za dużo ostrożności, moja droga, nigdy za dużo. A jak przyjęła to twoja mała dziewczynka?

Twarz Ann zachmurzyła się na moment.

— Napisałam do Sarah; jest w Szwajcarii, chyba wiesz. Niestety, jeszcze nie otrzymałam odpowiedzi. Oczywiście, nie musi się śpieszyć, choć tak naprawdę... — zawiesiła głos.

— Zawsze są kłopoty z odpisywaniem na listy. I to coraz większe. Wiesz, poproszono mnie, bym wygłosił w marcu w Oslo serię odczytów. Miałem dać odpowiedź. Zupełnie zapomniałem. I popatrz, wczoraj znajduję tamten list w kieszeni starego płaszcza.

— No to jeszcze masz sporo czasu — Ann pocieszyła przyjaciela.

Łagodne, niebieskie oczy Geoffreya popatrzyły na Ann ze smutkiem.

— Niestety, to zaproszenie dotyczyło marca w ubiegłym roku, moja droga przyjaciółko.

— O nieba! Geoffrey, powiedz mi, jak to się dzieje, że list może tak długo tkwić w kieszeni płaszcza? Nigdy do niej nie zaglądasz?

— To był bardzo stary płaszcz, z naderwanym rękawem. Niewygodnie się go nosiło. Ja... hm... hm... odwiesiłem go do szafy.

— Nie ulega wątpliwości, że ktoś powinien się o ciebie zatroszczyć, mój miły.

— Wolałbym nie. Miałem swego czasu nadmiernie gorliwą gospodynię, doskonałą kucharkę, to prawda, lecz jedną z takich, co to muszą mieć wszystko na swoim miejscu. Wyrzuciła moje zapiski o zaklinaczach deszczu ze szczepu Buljano. Niepowetowana strata. Tłumaczyła się tym, że leżały w wiadrze na węgiel. Ja na to: „Wiadro na węgiel nie jest koszem na zużyte papiery, pani... pani...”, no właśnie, nigdy nie mogłem przypomnieć sobie w porę jej nazwiska. Kobiety, obawiam się, nie mają wycucia proporcji. Przywiązują wprost absurdalną wagę do sprzątanía, jak gdyby było ono jakimś rytualnym aktem.

— Są ludzie, którzy uważają, że tak jest w rzeczywistości. Laura Whitstable, znasz ją przecież, zdumiewa mnie, przypisując tym, którzy myją szyję dwa razy dziennie, jakieś nieczne praktyki.

— Popatrz, popatrz! No cóż, na mnie już czas — westchnął. — Będzie mi ciebie brakowało, Ann. Będzie mi brakowało bardziej, niż potrafię to wyrazić słowami.

— Ależ wcale mnie nie stracisz, Geoffrey, nigdzie nie wyjeżdżam. Richard znalazł pracę w Londynie. Jestem przekonana, że go polubisz.

Geoffrey Fane westchnął raz jeszcze.

— To już nie będzie to samo. Kiedy piękna kobieta poślubia innego mężczyznę...
— Ścisnął jej rękę. — Dużo dla mnie znaczyłaś, Ann. Byłem bliski nadziei... ale nie, nie, to się nie mogło zdarzyć. Nie takiemu staremu piernikowi jak ja. Zanudziłabyś się ze mną. Mimo to jestem ci bardzo oddany i z całego serca życzę ci szczęścia. Czy wiesz, co mi się przypomina, kiedy patrzę na ciebie? Pewne strofy z Homera.

Tu profesor Geoffrey Fane popisał się swoją greką, recytując dość długi wiersz w oryginale.

— Proszę, to na twoją cześć — powiedział, promieniejąc zadowoleniem.

— Dziękuję ci, Geoffrey. Co prawda nic nie zrozumiałam...

— Już ci tłumaczę...

— Nie, nie rób tego. Może po angielsku Homer nie zabrzmiałby tak pięknie. Grecki bardzo mi się podoba. Żegnaj, mój drogi, i dziękuję... Nie zapomnij kapelusza... nie, to nie jest twój parasol, to parasolka Sarah... zaczekaj, nie odchodź, zostawiłeś teczkę.

Kiedy zamknęła wreszcie za profesorem frontowe drzwi, Edith natychmiast wystawiła głowę z kuchni.

— Bezradny jak niemowlę, prawda? — stwierdziła z przekonaniem. — A przecież jeszcze nie zdążył zramoleć. Zdaje się, że jedyne, co potrafi, to siedzieć w książkach i papierzykach. Choć powiedziałabym, że tym jego plemionom, którymi tak się przejmuje, tylko świństwa i inne sprośności w głowie. Tę drewnianą figurkę, co to pani od niego dostała, włożyłam na tył komody z bielizną. Przydałby się jej biustonosz i listek figowy. Dobrze, że sam profesor nie ma sprośnych myśli. W końcu nie jest jeszcze taki stary.

— Ma czterdzieści pięć lat.

— A widzi pani. To z tej całej nauki tak wyłysiał. Mój bratanek był łysy jak kolano; stracił włosy od gorączki, choć potem znów mu odrosły. Przyszły do pani dwa listy.

Ann wzięła je do ręki.

— To jest zwrot, Edith. — Zmieniła się na twarzy. — To mój list do Sarah. Ależ jestem niemądra. W adresie podałam tylko nazwę hotelu, bez miejscowości. Nie mam pojęcia, co się ze mną w tych dniach dzieje.

— Za to ja mam — Edith powiedziała z naciskiem.

— Robię najgłupsze rzeczy... Ten drugi przyszedł od Laury... och, to miło... Już do niej dzwonię. — Weszła do salonu i wykręciła numer. — Laura? Właśnie dostałam twój list. To naprawdę miło z twojej strony. Nic mi się tak nie podoba jak Picasso. Zawsze chciałam mieć jego obraz na własność. Powieszę go nad biurkiem. Jesteś dla mnie taka dobra. Och, Lauro, żebyś wiedziała, jaka ze mnie idiotka! Napisałam list do Sarah z najświeższą wiadomością i wyobraź sobie, przyszedł z powrotem. Napisałam tylko: „Hotel Alpejski, Szwajcaria”. Przedstaw sobie zatem mój obecny stan.

— Hm, interesujące — zabrzmiał w słuchawce głęboki głos Laury Whitstable.

— Co rozumiesz przez „interesujące”?

— To, co powiedziałam.

— Dobrze znam ten ton twojego głosu. Chcesz mi dać do zrozumienia, że nie wierysz w moje dobre intencje. Pewnie myślisz, że tego listu ani nie wysłałam, ani nawet nie napisałam. To ta twoja irytująca teoria, z której wynika, że człowiek popełnia błędy rozmyślnie.

— Niezupełnie moja.

— Wszystko jedno, ale zarzucasz mi nieprawdę! Przecież Sarah wraca już pojutrze, nie wiedząc o niczym, i teraz muszę wyznać jej wszystko, słowo po słowie, a to będzie znacznie bardziej kłopotliwe niż napisanie listu. Nawet nie wiem, od czego zacząć!

— Sama jesteś sobie winna, Ann.

— Lecz ja naprawdę chciałam, by ten list do niej dotarł. Nie dokuczaj mi już. — Słyszac zduszony śmiech przyjaciółki, dodała gniewnie: — A poza tym twoja teoria jest śmiechu warta. Właśnie był u mnie Geoffrey Fane. Zimą zeszłego roku dostał zaproszenie na wykłady w Oslo, na marzec. Zapomniał o nim. Chyba nie powiesz, że celowo?

— A czy chciał tam pojechać? Zależało mu na tych wykładach?

— Chyba tak. Choć... czy ja wiem?

— Interesujące.

2

Richard Cauldfield kupił w kwaciarni na rogu pęk żonkili.

Był w radosnym nastroju. Po pierwszych wątpliwościach i niepokojach, jakie zwykle ogarniają każdego w nowym miejscu pracy, zdążył już popaść w rutynę. Merrick Hellner okazał się sympatycznym szefem, a przyjaźń, która połączyła obu mężczyzn w Birmie, przeszła pomyślnie próbę czasu. Od Richarda nie wymagano fachowości; była to zwykła administracyjna praca, w której doświadczenia nabyte wcześniej w Birmie i w ogóle na Wschodzie okazały się bardzo przydatne. Richard Cauldfield nie był błyskotliwym człowiekiem, lecz na swoją korzyść mógł zaliczyć takie pozytywne cechy charakteru, jak sumienność, pracowitość i mnóstwo zdrowego rozsądku.

Zapomniał już o przygnębieniu i zniechęceniu, jakie ogarnęły go tuż po powrocie do Anglii. Teraz czuł się tak, jakby zaczynał nowe życie i jakby miało go ono obdarzyć wszystkimi swoimi łaskami. Stosowna praca, przyjazny, życzliwy pracodawca i niedaleka przyszłość z kobietą, którą pokochał.

Każdego dnia na nowo zachwycał się tym, że Ann wybrała właśnie jego. Tak pociągająca, tak atrakcyjna, a poza tym, myślał, ileż w niej słodyczy, ile łagodności. Choć, co

prawda, wystarczyło, by usiłował przeforsować swoje zdanie w sposób zbyt autorytatywny, a ta łagodna Ann potrafiła go nieźle wykić. Początkowo nie był pewien, czy mu się to podoba — dotychczas rzadko zdarzały się sytuacje, w których ktoś z niego kpił — lecz ostatecznie doszedł do wniosku, że ze strony tej kobiety zniesie wszystko, i to z radością. Kiedy więc mówiła: „Czy nie jesteśmy zbyt pompatyczni, kochanie?”, najpierw marszczył czoło, a potem śmiał się razem z nią, mówiąc: „Powiedzmy, że trochę przesadziłem”.

— Jesteś dla mnie niezwykle dobra, Ann. To dzięki tobie stałem się bardziej ludzki — wyznał jej pewnego razu.

Ann odpowiedziała bez namysłu:

— Oboje jesteśmy dla siebie dobrzy.

— Niewiele mogę dla ciebie zrobić, nie licząc opieki i troski.

— Nie opiekuj się mną za bardzo. Nie dodawaj odwagi moim słabostkom.

— Twoim słabostkom? Ależ, kochana, nie masz ani jednej.

— Mam, Richardzie. Schlebia mi, kiedy ludzie są ze mnie zadowoleni. Irytują mnie pochlebstwa. Źle znoszę kłótnie i awantury.

— Chwała niebiosom za takie słabostki! Nie zniósłbym kłótniwej czy gderliwej żony. Widziałem takie, wierz mi! Najbardziej podziwiam w tobie, Ann, delikatność i łagodne usposobienie. Najdroższa, będziemy bardzo, ale to bardzo szczęśliwi.

— Ja też tak myślę — przytaknęła Ann.

Richard, według niej, bardzo się zmienił od chwili, kiedy go pierwszy raz ujrzała. Pozbył się tej odrobiny agresji, tak charakterystycznej dla mężczyzn niepewnych siebie. Stał się, jak to sam określił, bardziej ludzki. Uwierzył w siebie, a co za tym idzie, przybyło mu tolerancji i przyjaznych uczuć dla świata.

Richard, ściskając w dłoni bukiet żonkili, zbliżył się do znanego mu już domu. Mieszkanie Ann znajdowało się na drugim piętrze. Portier, który zdążył się już przyzwyczaić do jego widoku, pozdrowił go i uprzejmym gestem wskazał windę.

Drzwi otworzyła Edith, lecz zza załomu korytarza dolatywał nieco zadyszany głos Ann:

— Edith, Edith, gdzie jest moja torebka? Przecież kładłam ją tu przed chwilą.

— Dzień dobry, Edith — powiedział, wchodząc do środka.

Nigdy nie czuł się swobodnie w obecności służącej Ann. Próbował to zamaskować jowialnym sposobem bycia, ale łatwo można się było zorientować, że jego zachowanie nie jest całkiem naturalne.

— Dzień dobry panu — odparła z szacunkiem Edith.

— Edith... — głos Ann, tym razem dobiegający z sypialni, zdążył już nabrać wysokich tonów zniecierpliwienia. — Czyżbyś mnie nie słyszała? Przyjdźże tu wreszcie!

— Przyszedł pan Cauldfield, proszę pani.

— Richard? — Ann pokazała się na korytarzu. Wyglądała na zdziwioną. Wprowadziła go do salonu, rzucając za siebie: — Edith, koniecznie musisz znaleźć tę torebkę. Zajrzyj do pokoju Sarah, może tam ją zostawiłam.

— Następnym razem zgubi pani głowę, nie inaczej — powiedziała Edith.

Richard zmarszczył czoło. Nieskrępowane wypowiedzi Edith drażniły go. Piętnaście lat temu żadna służąca nie odważyłaby się w ten sposób odpowiadać swojej chlebodawczyni.

— Richardzie, nie spodziewałam się dzisiaj ciebie. Myślałam, że umówiliśmy się na lunch dopiero jutro.

— Do jutra jeszcze tyle godzin, kochanie, a czas bez ciebie bardzo mi się dłuży — odparł, uśmiechając się. — Tylko popatrz, co ci przyniosłem.

Wręczając jej żonkile, zauważył w pokoju całą masę kwiatów. Na małym stoliku obok kominka stał wazonik z hiacyntami, a obok niego dzbany pełne wczesnych tulipanów i narcyzów...

— Wyglądasz bardzo odświeżenie — powiedział.

— Oczywiście; dzisiaj przyjeżdża Sarah.

— Ach tak, zupełnie o tym zapomniałem.

— Jak mogłeś, Richardzie — powiedziała z wyrzutem.

To była prawda. Zapomniał. Znał doskonale datę przyjazdu córki Ann, a nawet przy-
stał poprzedniego wieczoru, w teatrze, na to, by w tym dniu Sarah miała Ann tylko dla siebie; on miał poznać przyszłą pasierbicę nazajutrz, w czasie lunchu.

— Przepraszam cię, Ann. Naprawdę zapomniałem. Wyglądasz na bardzo przejętą — dodał z lekką przyganą.

— Powroty do domu zawsze mają specjalny posmak dla obu stron, nie uważasz?

— Owszem, chyba tak.

— Właśnie wychodzę po nią na dworzec. — Rzuciła okiem na zegarek. — W porządku, zdążę. A poza tym można się spodziewać, że pociąg, który odbiera pasażerów ze statku, pewnie będzie spóźniony. To normalne.

Do salonu wmaszerowała Edith, niosąc torebkę Ann.

— Znalazłam ją w bielizniarce.

— Ależ tak. Szukałam przecież powłoczek na poduszki. Czy położyłaś Sarah jej zielone prześcieradła? Nie zapomniałaś o tym? Na pewno?

— Wypraszam sobie! A bo to ja zapominam o czymkolwiek?

— Pamiętałaś o papierosach?

— Tak.

— A o ukochanym Toby?

— Tak, nawet i o Jumbo.

Kiwając pobłaźliwie głową, Edith zmierzała ku drzwiom salonu, kiedy Ann zawołała za nią:

— Edith, weź te żonkile i wstaw je do wazonu.

— Chyba już wszystkie zajęte, proszę pani. Ale jakoś sobie poradzę. — Wzięła kwiaty z rąk Ann i wyszła.

— Moja droga, jesteś podniecona jak mała dziewczynka — powiedział Richard.

— Ciesz mnie sama myśl o powrocie Sarah.

— Jak długo jej nie widziałaś? Całe trzy tygodnie? — zapytał uszczypliwie.

— Wiem, według ciebie zachowuję się śmiesznie. — Ann uśmiechnęła się rozbijając. — Lecz ja naprawdę bardzo kocham swoją córkę. Chyba nie chciałbyś, żeby było inaczej?

— Oczywiście, że nie. Ann, ja również cieszę się z jej powrotu. Chciałbym ją jak najprędzej poznać.

— Jest bardzo impulsywna i jednocześnie czuła. Jestem przekonana, że polubicie się oboje.

— Ja również w to wierzę. — Po chwili dodał przymilnie: — To przecież twoja córka. Choćby z tego powodu jest niewątpliwie bardzo uroczą osobą.

— Jesteś kochany, Richardzie. — Ann położyła dłonie na jego ramionach i spojrzała mu w oczy. — Mój drogi — szepnęła, całując go. — Obiecujesz, że będziesz cierpliwy? Widzisz, lękam się, że nasze plany małżeńskie mogą ją w pierwszej chwili zszokować. Dlaczego tak pokpiłam sprawę z tamtym listem?

— Przestań się zadrezczać, najdroższa; więcej wiary we mnie. Powinniśmy zrozumieć racje Sarah i sprawić, by nie czuła się zagrożona. Zapewniam cię, że zniosę ze stoickim spokojem każde jej słowo.

— Och, Sarah nic nie powie. Jest dobrze wychowana; ona po prostu nie cierpi żadnych zmian.

— Już dobrze, kochanie. Głowa do góry. Mimo wszystko Sarah nie może zgłosić przeszkody do zawarcia ślubu, nieprawdaż?

Ann nie zareagowała na jego żart. Nadal obnosiła się ze zmartwioną miną.

— Gdybym tylko od razu napisała...

Richard roześmiał się.

— Wyglądasz jak mała dziewczynka, którą przyłapano w spiżarni na wyjadaniu konfitur. Wszystko będzie dobrze, kochanie. Zanim się obejrzysz, Sarah i ja zostaniemy przyjaciółmi.

Ann popatrzyła na niego powątpiewająco. Zamiast radosnej pewności siebie wolałaby ujrzeć na jego twarzy odrobinę niepokoju.

Richard parł do przodu:

— Kochanie, naprawdę powinnaś wziąć się w garść!

— Nie potrafię.

— Ale musisz. Jesteś roztrzęsiona, podczas gdy cała sprawa jest absolutnie prosta i uczciwa.

— Nic nie poradzę na swoje lęki. Nie mam pojęcia, jak się zachować ani co powiedzieć.

— Powiesz, ni mniej, ni więcej, tylko tak: „Sarah, kochanie, przedstawiam ci Richarda Cauldfielda. Za trzy tygodnie wychodzę za niego za mąż”.

— Tak otwarcie? Bez ogródek? — Mimo woli uśmiechnęła się.

Richard odwzajemnił jej uśmiech.

— A czyż to nie najlepszy sposób?

— Być może. — Zawahała się. — Ty jednak nie zdajesz sobie sprawy, jak mi jest głupio.

— Głupio?

— No bo jak inaczej może czuć się matka, mówiąc dorosłej córce, że wychodzi za mąż?

— A to dlaczego?

— Dlatego, że młodzi ludzie nie dopuszczają do siebie myśli, że w naszym wieku można zajmować się takimi rzeczami. Jesteśmy dla nich po prostu starzy. Miłość, według nich, to przywilej młodości. To, że ludzie w wieku średnim zakochują się w sobie i pobierają, może ich wyłącznie śmieszyć.

— Nie ma w tym nic śmiesznego — powiedział ostro Richard.

— Dla nas, oczywiście.

Richard zachmurzył się. Jego głos zabrzmiał cierpko.

— Posłuchaj mnie, Ann. Wiem, że ty i Sarah jesteście sobie bardzo oddane. Rozumiem, że dziewczyna może być trochę skwaszona i trochę zazdrosna o mnie. To całkiem naturalne i biorę to pod uwagę. Rozumiem, że nie pokocha mnie od pierwszej chwili, lecz śmiem twierdzić, że po pewnym czasie wszystko się dobrze ułoży. Ty natomiast nie możesz zapominać, że przeżywasz własne życie i że masz prawo do osobistego szczęścia.

Policzki Ann zabarwił lekki rumieniec.

— Sarah nie będzie zazdrosna o moje „osobiste szczęście”, że użyję twojego określenia — powiedziała. — Nie jest małostkowa. Moja córka to najszlachetniejsza istota na ziemi.

— Prawda jest taka, Ann, że ty sama wywołujesz burzę w szklance wody. Przecież nawet nie dopuszczasz do siebie myśli, że Sarah może być całkiem rada z twojego zamążpójścia, bo dzięki niemu będzie mogła wyfrunąć spod twych opiekuńczych skrzydeł.

— Wyfrunąć spod moich skrzydeł! Ależ Richardzie, brzmi to tak, jakbyś cytował jakąś wiktoriańską powieść.

— Prawda jest taka, że wy, matki, chciałybyście, by wasze pisklęta nigdy nie opuszczały gniazd.

— Mylisz się, Richardzie. Mylisz się absolutnie.

— Nie chciałym cię zirytować, kochanie, lecz zdaj sobie sprawę, że nie należy przesadzać ze swymi uczuciami. A to się zdarza nawet najbardziej oddanej matce. Pamiętam dobrze czasy własnej młodości. Wprost uwielbiałem swoich rodziców, lecz życie pod jednym dachem stawało się powoli czystym szaleństwem. Te ciągłe pytania dokąd idę i jak późno zamierzam wrócić. „Tylko nie zapomnij klucza”. „Postaraj się nie robić w nocy hałasu”. „Co takiego? Znowu wychodzisz? Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiliśmy, w ogóle o nas nie dbasz”. — Westchnął ciężko. — Ależ tak, dbałem o nich, dbałem o dom, lecz, na Boga, jak bardzo pragnąłem się od nich i od niego uwolnić.

— Rozumiem to, oczywiście.

— Ty także zapewne poczułabyś się dotknięta, gdyby się okazało, że Sarah marzy o życiu na własny rachunek, i to bardziej niż myślisz. A pamiętaj, w dzisiejszych czasach dziewczęta szybko robią karierę, i to w wielu dziedzinach życia.

— Sarah nie jest typem karierowiczki.

— To ty tak mówisz, ale większość z nich pracuje, i to na serio.

— Praca kobiet zawsze jest wymuszana względami ekonomicznymi.

— Co przez to rozumiesz?

— Otóż nie nadażasz za rzeczywistością, Richardzie. Jakies piętnaście lat temu było modne, i owszem, „prowadzenie własnego życia” i „wchodzenie w świat”. Dziewczęta nadal ulegają tej modzie, ale już bez większego rozgłosu. Biorąc pod uwagę obciążenia podatkami od dochodów, od spadków i Bóg jeden wie od czego jeszcze, dziewczyna zaczyna się rozglądać za dodatkowym źródłem dochodu. Sarah nie przejawia żadnych szczególnych zainteresowań. Zapaliła się jedynie do języków obcych i ma za sobą kurs układania bukietów. Pracuje w kwiaciarni, którą prowadzi jedna z naszych przyjaciółek. Chyba jest zadowolona; ale poza tym, że zarabia pieniądze, nie widzę powodu do wzniosłych rozważań o tak zwanej „niezależności”. Moja córka kocha swój dom i czuje się w nim absolutnie szczęśliwa.

— Przykro mi, Ann, że wyprowadziłem cię z równowagi, jednak... — przerwał, gdyż w tym samym momencie uchyliły się drzwi salonu i pojawiła się w nich głowa Edith.

— Nie chciałym przeszkadzać, ale czy pani przypadkiem nie zamierzała dokądś wyjść? — powiedziała z niewinną miną służąca.

Ann spojrzała na zegarek.

— Mam jeszcze całą masę czasu. O Boże, chyba wskazówki stoją w miejscu. — Przystawiła zegarek do ucha. — Istotnie, nie chodzi. Edith, która godzina?!

— Dwadzieścia po czwartej.

— Wielkie nieba! Jak nic, minę się z nią. Miejmy nadzieję, że pociąg się spóźni. Gdzie moja torebka? Ach, jest. Na szczęście w Londynie jest dużo taksówek. Nie, Richardzie, nie jedź ze mną. Wiesz co, zostań tutaj, później razem wypijemy herbatę. Naprawdę wiem, co mówię. Tak chyba będzie najlepiej. A więc pędzę.

Wybiegła w pośpiechu z pokoju. Kiedy trzasnęły frontowe drzwi, Edith podniosła z podłogi dwa tulipany, które wypadły z wazonu, zaczeplone połą futra. Wkładając je na powrót do bukietu, powiedziała:

— To ukochane kwiaty panienki Sarah, lubi je od zawsze, zwłaszcza blad różowe.

— Coś mi się zdaje, że tutaj wszystko obraca się wokół panienki Sarah — zauważył lekko poirytowany Richard.

Edith spojrzała na niego ukradkiem. Na jej twarzy malował się, jak zwykle, niewzruszony wyraz dezaprobaty. Powiedziała apatycznym, pozbawionym emocji głosem:

— Ach, panie Cauldfield, jeszcze jak. Szkoda słów. Ale jedno panu powiem: są młode panny, które rozruczają wszędzie swoje rzeczy i po których wszystko trzeba naprawiać, trzeba schodzić nogi przy ciągłym sprzątanu, a mimo to człowiek duszę by oddał, by im dogodzić! Są też takie, z którymi nie ma kłopotu, wszystko czyściutkie, wszystko na swoim miejscu, żadnej dodatkowej roboty dla służby, no i proszę popatrzeć, a bo to takie dadzą się lubić? Może pan mówić, co się panu żywnie podoba, wiem swoje, nie ma sprawiedliwości na tym świecie. Sprawiedliwość to czysty wymysł zwariowanych polityków. Jeden dorobi się pałacu, a drugi odcisków na rękach; tak było i tak zawsze będzie.

Mówiąc, kręciła się po salonie, to przestawiając na właściwe miejsce ten i ów przedmiot, to wygładzając którąś z poduszek.

Richard zapalił papierosa i rzekł grzecznym tonem:

— Jesteś u pani Prentice od dawna, jeśli się nie mylę.

— A tak, ponad dwadzieścia lat. Dokładnie dwadzieścia dwa. Nastałam na służbę do starszej pani, zanim panienka Ann wyszła za mąż za pana Prentice'a. To ci dopiero był prawdziwy dżentelmen, nie ma co mówić.

Richard zmierzył ją ostrym wzrokiem. Poczł się lekko dotknięty.

— Czy pani Prentice powiedziała ci, że zamierzamy się wkrótce pobrać?

Edith kiwnęła głową.

— A bo to musiała? Ja i tak swoje wiem.

— No cóż, Edith, w takim razie mam nadzieję, że zostaniemy dobrymi przyjaciółmi.

— Wypowiedziane w dobrej intencji zdanie, zabrzmiało wyniośle.

— Ja też mam nadzieję, proszę pana — odparła dość posępnie Edith.

Richard mówił dalej, wciąż nie mogąc się wyzbyć pewnej sztywności.

— Przypuszczam, że przeze mnie będziesz miała więcej pracy, lecz postaramy się za-trudnić kogoś do pomocy...

— Nie znoszę tych kobiet na przychodne. Kiedy jestem sama, wiem, na czym stoję. Pewnie, przy mężczyźnie dom musi się zmienić. Wystarczy powiedzieć o posiłkach.

— Mogę cię już teraz zapewnić, że nie jestem żarłokiem.

— Chodzi o rodzaj jedzenia. Mężczyznom nic po samych grzankach i kawie.

- Kobietom też to na zdrowie nie wychodzi.
- Może i tak — przyznała Edith. Popadając w szczególnie żałobny ton, dodała:
- Nie powiem, przy mężczyźnie wszystko w domu idzie lepiej.
- Serce Richarda zaczęło topnieć.
- To bardzo ładnie, że tak uważasz — powiedział ciepło.
- O tak, może pan na mnie polegać, proszę pana. Nie zostawię pani Prentice. Nie zostawiłabym jej nigdy i za nic. Tak czy owak, to do mnie niepodobne odchodzić, kiedy zanosi się na kłopoty.
- Kłopoty? Co przez to rozumiesz?
- Nawałnice. Gradobicie.
- Nawałnice? Gradobicie? — Richard powtórzył, nic nie rozumiejąc.
- Edith zachowywała stoicki spokój.
- Nikt nie pytał mnie o radę — rzekła. — A ja nie jestem z tych, co to mówią nie proszeni. Ale teraz to już powiem. Pewnie byłoby lepiej, gdyby panią Sarah po powrocie do domu zastała was już po ślubie; gdyby nic nie dało się już odwrócić. Rozumie pan, co mam na myśli?
- Właśnie w tej chwili zadzwieczał dzwonek przy frontowych drzwiach; prawie natychmiast zadzwonił ponownie.
- Jak nic, panią Sarah — powiedziała Edith i wyszła do hallu. Richard usłyszał po chwili dwa śmiejące się, radosne głosy; jeden męski, drugi kobiecy.
- Edith, moja kochana staruszko — powiedziała kobieta ciepłym kontraltem.
- Gdzie mama? Chodź, Gerry. Rzuć te deski w kuchni.
- Tylko nie w mojej kuchni, wypraszam sobie.
- Gdzie mama? — powtórzyła Sarah, wchodząc do salonu.
- Sarah Prentice była wysoką, ciemnowłosą dziewczyną, Richard Cauldfield widział ją już na domowych fotografiach. To, co go w niej zaskoczyło, to żywiołowy temperament. Spodziewał się stanąć twarzą w twarz z młodszym wydaniem Ann — wydaniem twardszym, dostosowanym do obecnych czasów, to prawda, jednak stanowiącym wierną kopię matki. Lecz Sarah Prentice przypominała swojego wesołego, czarującego ojca: ruchliwa, o niepowtarzalnym, egzotycznym wdzięku, samą swoją obecnością potrafiła w jednej chwili zmienić atmosferę całego mieszkania.
- Ach, jakie śliczne tulipany — wykrzyknęła, nachylając się nad wazonem. — I jak zawsze pachną słodką lemoniadą. Absolutnie mamy wiosnę. Ja...
- Jej oczy rozszerzyły się ze zdziwienia, kiedy prostując się, zobaczyła nie znanego sobie mężczyznę. Ów podszedł do niej ze słowami:
- Nazywam się Richard Cauldfield.
- Sarah grzecznie uścisnęła wyciągniętą dłoń i zapytała uprzejmie:
- Czekają pan na moją mamę?

— Przykro mi, lecz pani mama właśnie wyszła na dworzec. — Spojrzał na zegarek.

— Pięć minut temu.

— Ależ to idiotyczne ze strony kochanej mamy! Dlaczego Edith nie wyprawiła jej o właściwej porze?

— Zegarek pani mamy przestał chodzić.

— Ach, te mamine zegarki... Gerry... Gdzie się podziewasz? Gerry!

Młody mężczyzna, o twarzy urodziwej, choć skrzywionej grymasem niezadowolenia, pojawił się za chwilę w drzwiach, dźwigając w każdej ręce po walizce.

— Jestem Gerry, ludzki robot — rzucił pogodnie. — Gdzie mam je postawić, Sarah? Dlaczego w tym domu nie ma tragarzy?

— Ależ są, tyle że zapadają się pod ziemię, kiedy zjawiasz się z bagażem. Zanieś walizki do mojego pokoju. Och, przepraszam, to jest pan Lloyd. A to pan... hm... pan...

— Cauldfield — dodał Richard.

Weszła Edith. Sarah okręciła ją wokół siebie i głośno cmoknęła w policzek.

— Edith, jak miło zobaczyć wreszcie to twoje kochane naburmuszone pyszczydło.

— Naburmuszone, też coś — obruszyła się Edith. — I wypraszam sobie całowanie, panienko Sarah. Panienka powinna znać lepiej ode mnie swoje miejsce.

— Przestań się złościć, Edith. Przecież cieszysz się, że wróciłam. Ależ tu czysto! I wszystko na swoim miejscu. I zasłony, i półka na książki mamy... O, przesunięta sofa? I biurko? Zwykle stało tam, nie tutaj.

— Mamusia panienki mówi, że w ten sposób w pokoju zrobiło się więcej miejsca.

— Nie, powinno być tak jak przedtem. Gerry... Gerry, gdzie jesteś?

— Co się dzieje? — zapytał Gerry Lloyd, stając w drzwiach.

Sarah już ciągnęła biurko. Richard pośpieszył, aby jej pomóc, lecz Gerry rzekł pogodnie:

— Proszę się nie przejmować, proszę pana, ja to zrobię. Gdzie ma stać, Sarah?

— Tam gdzie zawsze. O, w tamtym rogu. Kiedy przestawili biurko i sofę na dawne miejsce, Sarah westchnęła z uznaniem:

— Tak jest lepiej.

Gerry odstąpił krok do tyłu i obrzucił pokój krytycznym spojrzeniem.

— Jesteś pewna?

— Jak najbardziej. Lubię, jak wszystko jest po staremu. Inaczej dom nie byłby domem. Gdzie ta poduszka z wyhaftowanymi ptakami, Edith?

— W czyszczeniu.

— W porządku. Idę obejrzeć mój pokój. — Zatrzymała się w drzwiach, by wydać polecenie Gerry'emu. — Zrób koktajle, Gerry. I podaj jeden panu Cauldfieldowi. Wiesz, jak tu się poruszać, prawda?

— Jasne. — Gerry zwrócił się do Richarda: — Na co ma pan ochotę? Martini, dżin i sok pomarańczowy? Różowy dżin?

Richard ruszył z miejsca, w którym stał, z nagłą decyzją.

— Nie, dziękuję. Proszę się nie fatygować. Ja już wychodzę.

— Czy nie zaczeka pan na panią Prentice? — Gerry był zdecydowanie sympatyczny w obejściu. — Wróci niebawem. Kiedy tylko się zorientuje, że pociąg już przyjechał.

— Nie, na mnie czas. Proszę powiedzieć pani Prentice, że... ehm... że jesteśmy umówieni na jutro.

Skinął głową Gerry'emu i wyszedł do hallu. Po korytarzu niesły się gwałtowne słowa Sarah, kierowane do starej służącej.

Lepiej, pomyślał, nie zostawać tu teraz. Poprzedni zamiar był słuszny. Ann powinna porozmawiać z córką w cztery oczy, a jutro, podczas lunchu, on zacznie zaprzyjaźniać się ze swoją przyszłą pasierbicą.

W głowie Richarda kotłowały się sprzeczne myśli; Sarah nie była tą dziewczyną, której obraz nakreślił w duszy. Myślał o niej, jako o dziecku, któremu matka poświęcała zbyt dużo uwagi i troski, jako o istocie uzależnionej od Ann. Uroda dziewczyny, jej żywiołowość i pewność siebie po prostu go przestraszyły.

Do tego popołudnia córka Ann była czystą abstrakcją. Teraz stała się rzeczywistością.

Rozdział szósty

Sarah wróciła do salonu, zawiązując poły brokatowego szlafroka.

— Musiałam zrzucić z siebie narciarski uniform. Marzę o kąpieli. Ależ te pociągi są brudne! Masz dla mnie koktajl, Gerry?

— Proszę.

Sarah wzięła szklanke.

— Dzięki. Czy ten mężczyzna wreszcie sobie poszedł? Dobrze się sprawiłeś, Gerry.

— Kto to taki?

— Nigdy go nie widziałam — powiedziała Sarah. Roześmiała się. — Musi to być jeden z podrywaczy mojej mamy.

Do salonu weszła Edith, aby zaciągnąć zasłony. Sarah zapytała:

— Kim jest ten mężczyzna?

— Przyjaciel pani Prentice, panienko Sarah — oznajmiła służąca, zaciągając jedną zasłonę i przechodząc do drugiego okna.

— Zjawiłam się, jak widać, w porę. Ja najlepiej dobieram mamie przyjaciół.

Edith skwitowała to krótkim „aha!” i zaciągnęła drugą zasłonę. Następnie, przewiercając Sarah wzrokiem, powiedziała:

— Nie spodobał się panience?

— Nie, ani trochę.

Edith mruknęła coś pod nosem i wyszła z pokoju.

— Co ona powiedziała, Gerry?

— Coś w rodzaju „wielka szkoda”.

— Zabawne.

— Nie, raczej tajemnicze.

— Och, znasz przecież Edith. Dlaczego mama jeszcze nie przychodzi? I dlaczego jest tak rozkojarzona?

— Twoja matka raczej nie bywa rozkojarzona. A przynajmniej ja tego nie zauważyłem.

— To ładnie z twojej strony, że wyszedłeś na dworzec, Gerry. Przepraszam że nie pisałam, ale wiesz, jak to bywa. W jaki sposób urwałeś się wcześniej z biura?

Gerry odpowiedział po krótkim namyśle.

— Och, zważywszy na okoliczności, to nie było zbyt trudne.

Sarah spojrzała na niego poruszona.

— Dalej, Gerry, mów. Co się stało?

— Nic. Poza tym, że nie wszystko mi się dobrze układa.

— No wiesz? — Głos Sarah zabrzmiał oskarżycielsko. — Miałeś przecież trzymać się w ryzach.

Gerry zachmurzył się.

— Wiem, kochanie, ale ty nie masz pojęcia, co tam się wyprawia. Dobry Boże, wrócić do domu z takiego miejsca, jak Korea, z samego piekła (choć przynajmniej większość tamtejszych chłopaków to byli przyzwoici faceci) i trafić do ciułającego grosz do grosza biura w City. Nie masz pojęcia, jaki jest stryj Luke. Tłusty, pękaty, z wiecznie świdrującymi człowieka małymi, świńskimi oczkami. „To wspaniale, że wreszcie jesteś w domu, mój chłopcze”. — Gerry był dobrym mimikiem. Mówił, sapiąc jak astmatyk. — „Ehm... uhm... mam nadzieję, że teraz, kiedy opadło z ciebie całe podniecenie, przydziesz do mnie do biura i ehm... uhm... przyłożysz się do pracy. Przyda nam się... ehm... każda para rąk... a mogę powiedzieć, że... ehm... gwarantujemy młodym ludziom niezłe widoki na przyszłość. Oczywiście, zaczniesz od podstaw. Żadnych... ehm... względów. Takie jest moje motto. Dość się już wybawiłeś. Teraz zobaczymy, co tak naprawdę potrafisz”.

Wstał i zaczął krążyć po pokoju.

— Dość się wybawiłem, ot, jak taki dekujący się tłuszczoch nazywa czynną służbę w wojsku. Jak Boga kocham! Chciałbym zobaczyć, jak jednego z drugim przytapia złotych z komunistycznej chińskiej armii. Ci bogaci skurwiele siedzą na tyłkach w swoich biurach, nie myśląc o niczym innym, jak tylko o forsie. No, a dalej...

— Och, zamknij się, Gerry — powiedziała Sarah, zniecierpliwiona. — Twojemu stryjowi po prostu brak wyobraźni. Chciałeś mieć jakąś robotę? Chciałeś zarobić parę funtów? No to ciesz się, że masz bogatego stryja w City. Niejeden dałby się pokrajać, byleby mieć w rodzinie kogoś takiego!

— A wiesz, dlaczego on jest bogaty? — pinił się dalej Gerry. — Ponieważ śpi na pieniądze, które należały się mnie. Że też mój stryjeczny dziadek Harry zostawił całą forszę jemu, zamiast mojemu ojcu, który przecież był starszym bratem...

— Nie przejmuj się — uspokajała go Sarah. — I tak ta forsa, zamiast spłynąć do twojego portfela, poszłaby na podatek od spadku.

— Tak czy inaczej, to nie było w porządku. Nie uważasz?

— A czy kiedykolwiek coś było w porządku? Nie powinno się jednak z tego powodu utyskiwać od rana do nocy. Choćby dlatego, by nie zamęczać bliźnich.

— Jak widzę, nie mam co liczyć na twoje współczucie.

— I słusznie. Uważam, że zawsze należy być absolutnie szczerym. Oto moja rada: albo powinieneś rzucić robotę, albo przestać rozczulać się nad sobą i podziękować swojej gwiazdce, że masz w City bogatego stryja. Choćby ten stryj miał nie dwoje, ale czworo świńskich oczu i nie tylko astmę, ale i podagrę. Hej, chyba słyszę mamę.

Ann właśnie otworzyła frontowe drzwi i wbiegła do salonu.

— Sarah, kochanie.

— Mamo, jesteś wreszcie. — Sarah chwyciła matkę w objęcia. — Co ty wyprawiasz?

— To przez ten zegarek. Wyobraź sobie, że stanął.

— Nie przejmuj się, wyszedł po mnie Gerry.

— Dzień dobry, Gerry. Nie zauważyłam cię.

Ann przywitała się z Gerrym uprzejmie, starając się ukryć niezadowolenie z jego obecności. Czyżby Sarah nadal była nim zainteresowana?

— Pozwól, że ci się przyjrzę, kochana — powiedziała Sarah. — No cóż, wyglądasz całkiem elegancko. Nowy kapelusz, prawda? Naprawdę dobrze wyglądasz, mamo.

— Ty również. Ach, i jaka jesteś opalona.

— Na śniegu słońce dobrze bierze. Edith jest okropnie rozczarowana, że nie wróciłam do domu cała w bandażach. Chciałabyś, bym połamała sobie parę kości, nieprawda, Edith?

Edith, która właśnie wносиła do pokoju tacę z herbatą, zignorowała pytanie.

— Przyniosłam trzy filiżanki — powiedziała — ale widzę, że panienka Sarah i pan Lloyd bardziej gustują w dzinie.

— Po co ten sarkazm, Edith? Przecież nikt tu się nie upija. Tak czy owak, zaproponowaliśmy szklaneczkę panu jak-mu-tam. Kto to był, mamo, ten Koi... Koi... Kalafior, tak?

— Pan Cauldfield powiedział, proszę pani — Edith zwróciła się do Ann — że nie może czekać. Przyjdzie jutro, tak jak to było umówione.

— Kto to jest ten Cauldfield, mamo? I po co on tu jutro przychodzi? Jestem pewna, że nikomu z nas nie jest potrzebny.

— Napiłbyś się jeszcze, Gerry? — zapytała pośpiesznie Ann.

— Nie, dziękuję, pani Prentice. Naprawdę muszę już iść. Do zobaczenia, Sarah.

Sarah odprowadziła go do hallu.

— A co z dzisiejszym wieczorem? Idziemy do kina? W Akademii idzie dobry kontynentalny film.

— Och, to świetnie. Ale chyba będzie lepiej, jak zostanę w domu. W końcu to mój pierwszy wieczór po powrocie; powinnam spędzić go z mamą. Staruszka byłaby zawiedziona, gdybym od razu gdzieś popędziła.

— Ależ z ciebie niesamowicie dobra córka, Sarah.

— No wiesz, to moja mama jest przemiła.

— Zdążyłem zauważyć.

— Oczywiście zadaje za dużo pytań. Z kim się człowiek spotyka, co robi i takie tam inne. No wiesz. Ale tak w ogóle, jak na matkę, jest całkiem sensowna. Powiem ci coś, Gerry. Jak wszystko dobrze pójdzie, może niedługo zadzwonię.

Gerry wyszedł, a Sarah wróciła do salonu i zaczęła podjadać ciasteczka.

— Specjalność Edith — zauważyła. — Niesamowicie tłuste. Nie mam pojęcia, gdzie ona zdobywa tyle produktów. Czy bywałaś gdzieś z pułkownikiem Grantem i całą resztą twoich panów, mamó? Dobrze się bawiłaś?

— Nie, to znaczy tak, w pewien sposób...

Ann urwała w pół słowa.

— Czy coś się stało, mamó?

— Nie, nic, kochanie. Dlaczego pytasz?

— Dziwnie wyglądasz.

— Naprawdę?

— Mamó, coś tu nie gra. Jesteś szalenie zmieszana. No więc... dalej, śmiało; mów, jaki to numer wykreśliłaś.

— Doprawdy, nic takiego. Och, Sarah, kochanie, musisz mi wierzyć, że nic się w domu nie zmieni. Wszystko będzie tak, jak było, jedynie...

Głos Ann załamał się. Ależ ze mnie tchórz, pomyślała w duchu. Niby dlaczego aż tak się boję własnej córki?

Na twarzy Sarah, przyglądającej się matce badawczo, nagle rozkwitł szeroki, przyjazny uśmiech.

— No, mamó, przyznaj się. Chcesz mnie oględnie zawiadomić, że będę miała ojczy-
ma, tak?

— Och, Sarah. — Ann odetchnęła z ulgą. — Jak zgadłaś?

— W prosty sposób. Jeszcze nigdy nie byłaś tak roztrzęsiona. Myślałaś, że będę się sprzeciwiać?

— Chyba rzeczywiście tak myślałam. A nie będziesz? Naprawdę?

— Nie — odparła poważnie Sarah — i co więcej, uważam, że słusznie postępujesz. Jakkolwiek na to patrzeć, mój ojciec nie żyje od szesnastu lat. Powinnaś mieć jakieś intymne życie, nim będzie za późno. Jesteś, jak to się mówi, w niebezpiecznym wieku. No a na romans moja mateczka jest zbyt staroświecka.

Ann popatrzyła na córkę bezradnie. Nie przewidywała, że rozmowa przyjmie taki obrót.

— Ta-ak — powiedziała Sarah, przeciągając sylabę. — A za kogo chcesz się wydać, mamó?

Kochane, głupiutkie dziecko, pomyślała Ann.

— Wyglądasz jeszcze wcale nieźle — ciągnęła Sarah z okrutną, właściwą młodym ludziom szczerością. — To dzięki dobrej cerze. Ale wyglądałabyś ładniej, gdybyś wysku-
bała sobie brwi.

— Podobają mi się takie, jakie są — spokojnie stwierdziła Ann.

— Doprawdy, skarbie, kiedy tak ci się przyglądam, muszę stwierdzić, że jesteś nie-
samowicie atrakcyjna. Aż dziw bierze, że dotychczas się nie wydałaś. A tak przy okazji:
kim jest ten szczęśliwiec? Zgaduję do trzech. Pułkownik Grant, profesor Fane, no i ów
melancholijny Polak o niewymawialnym nazwisku. Ale wiem z góry, że to pułkownik;
pracuje nad tobą od lat.

Ann wyrzuciła z siebie odpowiedź jednym tchem:

— To nie jest James Grant. To... to Richard Cauldfield.

— A któż to taki, ten Richard Cauld... Mamo, to niemożliwe... Chyba nie ten mężczy-
zna, który był tutaj przed kwadransem?

Ann skinęła głową.

— Ależ nie zrobisz tego, mamó. On jest strasznie pompatyczny! On jest przerażająco
okropny!

— Richard Cauldfield nie jest okropny ani trochę — rzuciła Ann szorstko.

— Doprawdy, mamó, stać cię na kogoś lepszego.

— Sarah, sama nie wiesz, co mówisz. Ja... mnie... Cóż, powiem wprost: zależy mi na
nim. I to bardzo.

— Mam rozumieć, że jesteś w nim zakochana? — Sarah najwyraźniej niedowierzała
słowom matki. — I że on wzbudza w tobie namiętność?

Ann potaknęła raz jeszcze.

— No wiesz — prychnęła pogardliwie Sarah — to przechodzi moje pojęcie.

Ann wyprostowała ramiona.

— Widziałaś Richarda zaledwie kilka minut — powiedziała. — Kiedy poznasz go bli-
żej, na pewno ci się spodoba, jestem przekonana.

— Ależ on jest agresywny, mamó.

— Ludzie, którzy czują niepewny grunt pod nogami, często uciekają się do agresji.

— Nie ma sprawy — powiedziała Sarah, cedząc słowa. — W końcu to twoje zmar-
twienie, nie moje.

Matka i córka siedziały w milczeniu przez dobrych parę chwil. Obie były jednakowo
zmieszane.

— Wiesz, mamó — odezwała się wreszcie Sarah — ty rzeczywiście potrzebujesz
kogoś, kto by się tobą opiekował. Wystarczy, bym wyjechała z domu zaledwie na kilka
tygodni, a moja mamusia już szaleje.

— Sarah! — W Ann się zagotowało. — Jesteś niezwykle niegrzeczna.

— Przepraszam, skarbie, ale ja hołduję zasadzie absolutnej szczerości.

— Cóż, ja wprost przeciwnie.

— Jak długo to już trwa? — zapytała Sarah.

Ann roześmiała się wbrew samej sobie.

— Doprawdy, Sarah, zachowujesz się niby srogi ojciec w jakiejś sztuce z epoki królowej Wiktorii. Jednak odpowiem ci: poznałam Richarda trzy tygodnie temu.

— Gdzie?

— Na kolacji, na którą oboje byliśmy zaproszeni przez Jamesa Granta. James zna go od lat. Richard niedawno wrócił z Birmy.

— Czy ma jakieś większe pieniądze?

Ann poczuła się dotknięta i jednocześnie zirytowana. Jak śmieszne jest to jej dziecko. Skąd w tak młodym wieku takie pytania? Powstrzymując gniew, powiedziała oschle:

— Tak, ma. Ma niezależne dochody i jest w stanie mnie utrzymać. Pracuje w dużej firmie Hellner i Bracia, w City. Sarah, gdyby ktoś nas podsłuchał, mógłby odnieść wrażenie, że nasze role się odwróciły i że to ty jesteś matką, a ja córką.

Sarah nie dawała za wygraną.

— Jeszcze raz mówię, że ktoś musi się tobą opiekować, mamó. Sama byś na pewno zginęła. Uwielbiam cię; dlatego nie życzę sobie żadnych głupstw. Czy ten pan to kawaler, rozwodnik czy wdowiec?

— Richard stracił żonę wiele lat temu. Umarła przy pierwszym porodzie, razem z dzieckiem.

Sarah westchnęła, potrząsając głową.

— Rozumiem. Wszystko rozumiem. A więc tak cię podszedł. Zawsze pociągały cię smutne historie.

— Przestań wygadywać głupstwa, Sarah!

— Czy pan Cauldfield ma jakieś siostry, matkę lub kogoś w tym rodzaju?

— Myślę, że nie ma nikogo z bliskich krewnych.

— Bogu niech będą dzięki i za to. Ma dom? Gdzie zamierzacie mieszkać?

— Tutaj, oczywiście. Mamy mnóstwo pokoi, no, a on pracuje w Londynie. Chyba nie będziesz miała nic przeciwko temu, Sarah?

— Och, tu nie chodzi o mnie. Chodzi o ciebie, mamó. Jeśli się kimś martwię, to wyłącznie tobą.

— Kochanie, jak to ładnie z twojej strony. Jednak ja sama wiem, co dla mnie jest najlepsze. Jestem pewna, że Richard i ja będziemy razem bardzo szczęśliwi.

— Kiedy zamierzacie się pobrać?

— Za trzy tygodnie.

— Za trzy tygodnie?! Och, doprawdy, nie powinnaś tak się śpieszyć.

— Nie widzę żadnego sensu w jakiegokolwiek zwłóce.

— Mamó, tak bardzo cię proszę, odłóż to na trochę. Daj mi odrobinę czasu, bym przyzwyczała się do twoich zwariowanych pomysłów. Proszę, mamó...

— Sama nie wiem... Musimy oboje się zastanowić...

— Sześć tygodni. Pobierzecie się za sześć tygodni.

— Właściwie to jeszcze nic nie jest postanowione. Richard przychodzi jutro na lunch. Mam nadzieję, że będziesz dla niego miła, prawda?

— Ależ tak, oczywiście. Co też ty sobie wyobrażasz?

— Dziękuję, mój skarbie.

— Rozchmurz się mamo, nie ma czym się martwić:

— Jestem pewna, że oboje bardzo się polubicie — powiedziała pojednawczo Ann, lecz, nie słysząc żadnego zapewnienia ze strony córki, raz jeszcze zapłonęła gniewem.

— Przynajmniej mogłabyś spróbować...

— Powiedziałam ci już, żebyś się nie martwiła.

W salonie znów zaległa cisza. Po dłuższej chwili Sarah zapytała:

— Przypuszczam, że wolałabyś, bym została wieczorem w domu. Prawda?

— Dlaczego pytasz? Czy chcesz gdzieś wyjść?

— A mogłabym? Nie będzie ci smutno samej?

Ann uśmiechnęła się do córki, jakby nic się nie wydarzyło.

— Och, nie przejmuj się. W istocie Laura zaprosiła mnie na jakiś wykład.

— Jak się miewa nasza stara aktywistka? Jak zwykle niezmordowana?

— O tak, jak zwykle. Co prawda odmówiłam przyjscia, ale nic trudnego zadzwonić do niej raz jeszcze.

Mogłaby też zadzwonić do Richarda... Uznała jednak, że przez rozsądek należy odmówić sobie tej przyjemności i poczekać do momentu, kiedy spotkają się oboje z Sarah. Do jutra...

— A zatem w porządku — wyrwał ją z zamyślenia głos Sarah. — Dzwonię do Gerry'ego.

— Och, to właśnie z nim zamierzasz spędzić dzisiejszy wieczór?

— Tak. A dlaczego by nie?

W głosie córki zabrzmiała nuta buntu. Ann nie podjęła jednak wyzwania. Powiedziała łagodnie:

— Spytałam, ot tak sobie...

Rozdział siódmy

1

— Gerry?

— Tak, Sarah?

— Tak naprawdę to nie mam ochoty na ten film. Wolałabym porozmawiać.

— Jak sobie życzysz. Pójdziemy coś zjeść?

— Och, nic z tego. Edith nafaszerowała mnie do granic możliwości.

— Zatem chodźmy gdzieś się napić.

Gerry od jakiegoś czasu rzucał na Sarah ukradkowe spojrzenia, zastanawiając się nad przyczyną jej zdenerwowania. Gdy pojawiły się przed nimi kieliszki z alkoholem, dziewczyna wyrzuciła z siebie:

— Posłuchaj tylko! Moja matka znów wychodzi za mąż.

— Fiu! Fiu! — Gerry był szczerze zdziwiony. — Nie wiedziałaś o tym wcześniej?

— A niby jak? Poznała go, kiedy byłam w Szwajcarii.

— Proszę, proszę, ale tempo.

— O wiele za duże. Mama chyba sama nie wie, co robi!

— A kim jest ów szczęśliwiec?

— Mężczyzna, którego zastaliśmy w domu po przyjeździe z dworca. Nazywa się Kalafior lub coś w tym stylu.

— Ach, ten. No, no.

— Co znaczy to twoje „no, no”? Nie uważasz, że jest nie do zniesienia?

— Nie przyjrzałem mu się za bardzo — wybrnął taktownie Gerry — choć wyglądał mi na normalnego gościa.

— On się absolutnie nie nadaje dla mamy.

— Przypuszczam, że twoja mama wie, co robi.

— Nie, właśnie że nie wie. Kłopot z mamą polega na jej słabości. Za bardzo przejmują się innymi ludźmi. Szczerze mówiąc, potrzebuje kogoś, kto by się nią opiekował.

Gerry roześmiał się.

— Najwidoczniej jej myśli biegną podobnym torem.

— Nie śmiejesz się, Gerry, to poważna sprawa. Kalafior nie jest dla niej odpowiednim typem mężczyzny.

— No wiesz! To nie twój interes.

— Tak uważasz? A niby kto się o nią troszczy od zawsze? Wiem o życiu znacznie więcej niż ona, choć jestem dwa razy młodsza.

Gerry nie zaprzeczył; przyznawał w duchu, że dziewczyna ma poniekąd rację, lecz mimo to czuł się zakłopotany.

— Sarah — zaczął oględnie — jeśli twoja matka chce powtórnie wyjść za mąż...

— Wiem, wiem. — Sarah zniecierpliwiła się. — Przecież nie mówię nie. Wprost przeciwnie, uważam, że powinna. Sama jej to powiedziałam. Ona łaknie normalnego życia z mężczyzną. Łaknie seksu. Ale z Kalafiosem?!

— Nie sądzisz... — Gerry zatrzymał się, jakby szukając właściwych słów.

— Czego znów miałabym „nie sądzić”?

— Nie sądzisz, Sarah, że tak samo podsumujesz każdego następnego mężczyznę przy najbliższej okazji? — Jego głos zdradzał lekkie zdenerwowanie, lecz chłopak najwidoczniej chciał postawić sprawę jasno. — Skąd możesz wiedzieć, że ten cały Kalafior, jak go uparcie nazywasz, jest dla twojej matki niewłaściwym mężczyzną? Zamieniłaś z nim za ledwie kilka słów. Tak naprawdę, Sarah, czy ty... — zaczerpnął tchu, jakby dla dodania sobie odwagi — nie jesteś po prostu zazdrosna?

Sarah ruszyła do ataku jak burza.

— Zazdrosna? Ja? O jakiegoś głupiego ojczyma? Mój drogi Gerry! Czyż nie mówiłam ci, jeszcze na długo przed wyjazdem do Szwajcarii, że moja matka powinna wyjść za mąż?

— Tak. Ale to co innego. Co innego mówić, ot tak sobie, a co innego stawić czoło rzeczywistości.

— Zazdrość i ja nie chodzimy ze sobą w parze — oznajmiła wyniośle Sarah.
— Chodzi mi tylko o szczęście własnej matki.

— Będąc tobą, nie mieszałbym się w nie swoje życie.

— Ale to moja matka. Rodzona.

— I co z tego? Twoja matka niechybnie wie, co dla niej najlepsze.

— Już ci to powiedziałam: moja matka jest słaba.

— Tak czy owak — uznał Gerry — nic nie możesz zrobić, jeśli chodzi o tę całą sprawę.

Pomyślał sobie, że Sarah robi burzę w szklance wody. Miał dość Ann Prentice i jej spraw i chciał wreszcie porozmawiać z dziewczyną o sobie samym.

— Zamierzam się zmyć — powiedział ni stąd, ni zowąd.

— Zmyć z biura stryja? Och, Gerry.

— Nie wytrzymam ani chwili dłużej. Mówię ci. Wystarczy, bym spóźnił się piętnaście minut, a już robią mi piekło.

— Nie sądzisz, że do biura należy przychodzić punktualnie?

— Biuro, też mi coś! Przekładanie papierów, grzebanie w segregatorach, no i myślenie, myślenie, myślenie o forsie. Rano, w południe i w nocy.

— Ależ, Gerry, co będziesz robił, jeśli rzucisz tę pracę?

— Nie martw się, coś sobie znajdę — powiedział beztrzesko.

— Jesteś pewien? Próbowaleś już tego i owego. Bez większego skutku.

— Chcesz powiedzieć, że zawsze kończyło się wylaniem, tak? No to teraz nie będę czekał. Sam odejdę.

— Ależ, Gerry, uważasz, że postępujesz mądrze? — Sarah przyglądała mu się prawie z matczyną troskliwością. — Zrozum, to przecież twój stryj i niemal jedyny krewny, a sam mówiłeś, że śpi na pieniądzach.

— No więc, jak będę grzeczny, zostawi mi całą forszę, tak? To chcesz powiedzieć?

— Godzinę temu sam miałeś pretensję do stryjecznego dziadka, jak-mu-tam, że nie zostawił tej forsy twojemu ojcu.

— Jasne. Gdyby miał odrobinę sentymentu dla własnej rodziny i był przyzwoitym facetem, nie musiałbym teraz płaszczyć się przed jakimś cholernym magnatem z City. Co tam dziadek, według mnie ten cały kraj jest przegniły do szpiku kości. Korci mnie, żeby spłynąć stąd na dobre.

— Gdzieś za granicę?

— Tak. Gdzieś, gdzie człowiek miałby prawdziwe możliwości.

Oboje zamilkli, zatopieni w myślach o innym świecie, innym życiu i prawdziwych możliwościach.

Sarah, bardziej realistycznie patrząca na życie, zauważyła przezornie:

— Czy poradzisz sobie, nie mając żadnego kapitału? O ile wiem, nie masz funta w kieszeni.

— I co z tego? Myślę, że nie do każdej roboty potrzebny jest kapitał.

— A tutaj i teraz? Co mógłbyś robić, ot tak, od ręki?

— Sarah, co cię napadło? Nie widzisz, że jestem cholernie przygnębiony?

— Wybacz. Chodzi mi tylko o to, że nie masz żadnego konkretnego zawodu.

— Tak, ale umiem sobie radzić z ludźmi i lubię pracę na świeżym powietrzu. Nie nadaję się do biurowej ciasnoty.

— Och, Gerry — westchnęła Sarah.

— Znow coś nie tak?

— Sama nie wiem. Życie zdaje się chwilami nie do zniesienia. Ta cała wojna tak bardzo zachwiała zwykłym porządkiem rzeczy.

Młodzi zgodnie zapatrzili się przed siebie. W końcu Gerry stwierdził wielkodusznie, że da stryjowi jeszcze jedną szansę, czemu Sarah ochocho przyklasnęła.

— Chyba pójdę do domu. Mama zaraz wróci z wykładu.

— Na jaki temat?

— Nie wiem. „Dokąd zmierzamy i dlaczego” albo coś w tym rodzaju. — Podniosła się od stolika. — Dzięki, Gerry. Podtrzymałeś mnie na duchu.

— Postaraj się wyzbyć uprzedzeń, Sarah. Najważniejsze, że twoja matka lubi tego gościa i uważa, że będzie z nim szczęśliwa.

— Masz rację. Jeśli mama tak uważa, to wszystko w porządku.

— A poza tym, Sarah, ty też wyjdiesz za mąż... I to pewnie niedługo...

Gerry, mówiąc to, odwrócił wzrok od dziewczyny. Ta zaś wpatrywała się z uwagą we własną torebkę.

— Kiedyś pewnie tak, chodź nie bardzo mi się śpieszy.

Między dwojgiem młodych, zawisło coś na kształt przyjemnego zakłopotania.

2

Trwał lunch. Ann powoli zaczynała uwalniać się od wewnętrznego napięcia, a jej matczyne serce pęczniało z dumy. Jak na razie nie miała córce nic do zarzucenia: Sarah przywitała się uprzejmie z Richardem i nie uchylała się od rozmowy. Wiedziała, że można polegać na Sarah. Sarah nigdy jej nie zawiedzie.

Oby tylko Richard stanął na wysokości zadania.

Niestety, w przypadku Richarda sprawy miały się zgoła inaczej. Zbyt usilne starania, aby wyrzucić na obu kobietach jak najlepsze wrażenie, obróciły się przeciwko niemu. Na nic zdała się udawana swoboda; kategoryczny w swych osądach, napuszony, narzucający ton rozmowie, łatwo poszedł na lep pochlebczego respektu Sarah. O tym, że pod maską pewności siebie kryje się wrodzona nieśmiałość, wiedziała tylko Ann.

Lecz jak Sarah odbiera przyszęłego ojczyrna? Ann z chwili na chwilę czuła się coraz bardziej nieswojo, co zresztą nie uszło uwagi Richarda. Sytuacja stawała się kłopotliwa.

Kiedy po skończonym posiłku podano kawę, Ann pod pretekstem odbycia telefonicznej rozmowy wyszła do swojej sypialni. Miała nadzieję, że pod jej nieobecność Richard uwolni się od napięcia i że dwoje bliskich jej ludzi dojdzie w jakiś sposób do porozumienia.

Tymczasem Sarah podała Richardowi filiżankę kawy, rzuciła od niechcienia kilka grzecznych słówek i na tym rozmowa się urwała.

Richard postanowił wziąć się w garść. Szczerść, pomyślał, tylko szczerść. Nie ma lepszej broni od szczerści. Szczerść i zrozumienie. W końcu to przez niego ta młoda dziewczyna znalazła się w kłopotliwej dla siebie sytuacji. Przed przyjściem na lunch powtarzał sobie kilkakrotnie całe kwestie, jakie zamierzał wygłosić na dobry początek.

Lecz jak większość powtarzanych w myślach słów, tak i te, które wypowiedział teraz, zabrzmiały płasko i sztucznie. Żeby się rozluźnić, uderzył w ton poufałej jowialności, która nijak się miała do stanu bolesnego onieśmienia, w jakim właśnie się znajdował.

— Posłuchaj, młoda panno, oto kilka spraw, o których mam zamiar z tobą porozmawiać.

— Tak? — Sarah zwróciła ku niemu pociągającą twarz, pozbawioną w tej chwili jakiegokolwiek wyrazu. Czekwała grzecznie, gdy tymczasem Richard stawał się coraz bardziej nerwowy.

— Otóż chcę powiedzieć, że całkowicie rozumiem twoje uczucia. Ostatnie wydarzenia z pewnością były dla ciebie sporym wstrząsem psychicznym. Ty i twoja matka zawsze byliście ze sobą bardzo zżyte. Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że jesteś niechętna komuś, kto chce wejść w jej życie. Albo że odczuwasz odrobinę lęku i zazdrości.

Sarah pośpieszyła z uprzejmą, zdawkową odpowiedzią:

— Nie, ależ skąd, zapewniam pana.

Richard niebacznie wziął jej słowa za dobrą monetę, nie zdając sobie sprawy, że w istocie stanowiły rodzaj pewnego ostrzeżenia.

Niezdarnie brnął dalej:

— No więc, gotów jestem uznać twoje zachowanie za całkiem naturalne. Nie chcę cię też ponaglać do okazywania mi szczególnych względów. Możesz zachować dystans, proszę bardzo. Kiedy zdecydujesz się przyjąć moją przyjaźń, wyjdę ci naprzeciw. I pomyśl o szczęściu matki.

— Zapewniam pana, że właśnie ono leży mi na sercu.

— Do tej pory wszystko, co twoja matka robiła, robiła wyłącznie dla twojego dobra. Teraz z kolei ona potrzebuje czyjejś troski i opieki. Jestem przekonany, że pragniesz jej szczęścia. Lecz zapamiętaj jedno: masz do przeżycia własne życie, które jest jeszcze przed tobą. Masz własnych przyjaciół, własne nadzieje i ambicje. Jeśli wyjdiesz za mąż lub podejmiesz jakąś pracę, twoja matka zostanie sama, a to znaczy, że będzie musiała zmierzyć się z okrutną samotnością. Teraz nadchodzi moment, byś jej pragnienia uznała za ważniejsze od własnych.

Zrobił przerwę. Już zdawało mu się, że jego argumenty trafiły na podatny grunt, kiedy z przepastnej głębi samozadowolenia przywołał go do rzeczywistości głos Sarah — grzeczny, aczkolwiek podszyty ledwo wyczuwalną nutą impertynencji.

— Czy pan często wygłasza publiczne przemówienia?

— Dlaczego pytasz?

— Zdaje mi się, że jest pan w tym niezły — burknęła w odpowiedzi i rozparta na krześle, zajęła się podziwianiem pomalowanych paznokci.

Ich jaskrawa czerwień (moda, której wyjątkowo nie znosił) jeszcze bardziej go rozdrażniła. Richard Cauldfield zaczął rozumieć, że dziewczyna nie ukrywa swojej wrogości.

Mój Boże, pozwól mi zachować zimną krew, pomyślał, po czym natychmiast uderzył w protekcjonalny ton.

— Może masz rację. Może to, co miałem do powiedzenia, zabrzmiało jak nudny wykład. Moją intencją było jednak, byś zwróciła uwagę na kilka spraw, które chyba do tej pory za bardzo cię nie obchodziły. Ja ze swej strony pragnę cię zapewnić, że wchodząc w związek ze mną, twoja matka nie zamierza troszczyć się o ciebie ani odrobinę mniej.

— Doprawdy? Miło mi, że słyszę to właśnie od pana.

Tak, żadnych wątpliwości. Spotyka go tu jawna wrogość.

Gdyby Richard wyszedł z okopów, gdyby powiedział najzwyczajniej w świecie: „Narobiłem mnóstwo zamieszania, Sarah. Wygaduję tyle niezdarnych, niepotrzebnych słów tylko dlatego, że mnie onieśmielasz, że się ciebie boję. Lecz zrozum dziewczyno: okropnie mi zależy na twojej matce, no i na tym, żebyś mnie w miarę możliwości polubiła”, wówczas prawdopodobnie opór Sarah załamałby się, gdyż z natury córka Ann była szlachetną istotą.

Niestety, Richard okopywał się coraz bardziej.

— Młodzi ludzie — zauważył — mają skłonność do egoizmu. Na ogół nie myślą o nikim innym poza sobą. Ty jednak powinnaś pomyśleć o szczęściu własnej matki. Ona ma prawo do własnego życia i szczęścia. Poza tym twoja matka potrzebuje kogoś, kto by się o nią troszczył i kto by ją ochraniał.

Sarah uniosła wzrok ku górze i spojrzała mu prosto w twarz. W jej oczach było widać nieustępliwość i wyrachowanie.

— Nie mogę się z panem zgodzić w żadnej kwestii — powiedziała nieoczekiwanie.

W tej samej chwili do salonu powróciła Ann.

— Zostało trochę kawy? — zapytała.

Sarah podała matce filiżankę z ostentacyjną troskliwością.

— Proszę, mamó — powiedziała. — Wróciłaś w samą porę. Właśnie odbyliśmy pewną rozmowę.

Kiedy córka wyszła z pokoju, Ann popatrzyła niespokojnie na purpurową twarz Richarda.

— Twoja córka — oznajmił — postanowiła, że nie będzie mnie lubić.

— Cierpliwości, Richardzie, proszę...

— Nie martw się, Ann, uzbroiłem się w nią, i to dobrze.

— Postaraj się też zrozumieć, że Sarah od wczoraj jest w szoku.

— Chyba tak.

— Ona w istocie ma czułe serce. To takie kochane dziecko.

Richard nie odpowiedział. W jego mniemaniu Sarah była odpychającą młodą kobietą, lecz wolał nie zdradzać się ze swymi myślami, by nie ranić matczynego serca.

— Wszystko się jeszcze zdąży ułożyć, Ann — powiedział uspokajająco.

— Jestem przekonana. Zostawmy to czasowi.
Oboje byli nieszczęśliwi. Obojgu brakło właściwych słów.

3

Sarah skryła się w swojej sypialni. Machinalnie wyjęła z szafy parę sztuk garderoby i rozłożyła je na łóżku.

Weszła Edith.

— Co panienka robi, panienko Sarah?

— Och, nic takiego, przeglądam swoje rzeczy. Zdaje mi się, że należałoby je wyczyścić. Albo pocerować. Sama nie wiem.

— Wszystko tu sprawdziłam przed panienki przyjazdem. Proszę się o nic nie martwić.

Nie słysząc żadnej odpowiedzi, Edith obrzuciła Sarah krótkim spojrzeniem; do oczu dziewczyny napływały łzy.

— No, no, panienko, niechże się panienka tak nie przejmuj.

— On jest wstrętny, Edith. Wstrętny! Słyszysz!? Jak mama mogła mi coś takiego zrobić!? Och, wszystko przepadło, wszystko poszło na marne. Już nigdy nie będzie tak jak przedtem!

— No, no, panienko Sarah, nie wolno panience doprowadzać się do takiego stanu. Szkoda zdrowia. Głową muru nie przebijesz.

Sarah roześmiała się nerwowo.

— Zaszuj dziurkę póki mała! Toczący się kamień nie porasta mchem! No, dalej, Edith, dalej! Wysł swój koncept, jeśli ci się zdaje, że mnie tym pocieszysz!

Edith potrząsnęła głową współczująco i wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi.

Sarah zanosła się nieutulonym płaczem. Targała nią rozpacz. Jak małe, przerażone dziecko widziała wokół siebie niczym nie rozjaśnioną ciemność.

Zaszlochała bez tchu: „Mamo moja, mamo, mamo...”

Rozdział ósmy

1

— Och, Lauro, jak to miło znów cię widzieć.

Laura Whitstable usiadła wyprostowana w fotelu. Ta kobieta nigdy nie pozwalała sobie na niedbałe pozy.

— A zatem, jak idzie?

Ann westchnęła.

— Sarah przysparza mi kłopotów. Niestety.

— Cóż, to było do przewidzenia. — Laura Whitstable mówiła ze zwykłą pogodą ducha, mimo to popatrywała na Ann z pewnym niepokojem. — Nie wyglądasz najlepiej, moja droga.

— Wiem. To dlatego, że źle sypiam i że wciąż boli mnie głowa.

— Nie bierz życia aż tak serio.

— Łatwo ci mówić, Lauro, bo nie masz pojęcia, co tu się dzieje — uzalała się Ann.

— Kiedy tylko zostaną sami, Richard i Sarah, od razu wybucha kłótnia.

— Sarah jest zazdrosna, to oczywiste.

— Niestety, chyba tak.

— Cóż, powtarzam, że to było do przewidzenia. Sarah w dużej mierze jest jeszcze dzieckiem; wszystkie dzieci obrażają się na matki, kiedy te poświęcają czas i uwagę komuś poza nimi. Chyba byłaś na to przygotowana, moja droga?

— Tak, do pewnego stopnia. Co prawda liczyłam na to, że Sarah, jako dorosła osoba, potrafi zachować bezstronność. Mimo to mogłam się spodziewać po niej takiej, a nie innej reakcji. To, co mnie zaskakuje, to zazdrość tej drugiej strony; zazdrość Richarda o uczucie, jakim darzę własną córkę.

— Zdawało ci się, że Sarah może pozwolić sobie na błazenadę, lecz oczekiwałaś, że Richard wykaże więcej rozsądku, prawda?

— Tak.

— Richard to mężczyzna, któremu brak wiary we własne siły. Ktoś bardziej pewny siebie po prostu by ją wyśmiał i kazał iść do diabła.

Ann pocierała niecierpliwie czoło.

— Doprawdy, Lauro, nie masz najmniejszego pojęcia, jak to wszystko wygląda. Oboje spierają się o najgłupszą rzecz, byle tylko zobaczyć, po czyjej stronie.

— Bardzo interesujące.

— Bardzo interesujące dla ciebie, lecz mało zabawne dla mnie.

— No więc, za kim na ogół się opowiadasz?

— Na ogół za nikim, na ogół staram się zachować neutralność. Lecz czasami...

— Słucham Ann, słucham...

Ann wyznała z ociąganiem:

— Widzisz, Lauro, w tym wszystkim Sarah potrafi zachować zimną krew i jest bystrzejsza od Richarda.

— Co masz na myśli?

— Widzisz, jej zachowanie zawsze jest poprawne; na pozór. Sarah jest grzeczna, uprzejma i tak dalej. Ale z drugiej strony doskonale wie, jak zalać Richardowi sadła za skórę. Znęca się nad nim. Ten w pewnej chwili wybucha i staje się całkiem niedorzeczny. Och, dlaczego tych dwoje nie potrafi się polubić?

— Ano dlatego, że czują do siebie naturalną niechęć. Tak przynajmniej przypuszczam. A co ty na to? Myślisz, że chodzi tu tylko o zazdrość związaną z twoją osobą?

— Obawiam się, że masz rację, Lauro.

— Co jest najczęściej przedmiotem ich sporów?

— Same głupstwa. Na przykład, przypominasz sobie chyba, że zmieniałam w salonie ustawienie biurka i sofy. Otóż pierwszego popołudnia po powrocie ze Szwajcarii Sarah przesunęła jedno i drugie na stare miejsce, ponieważ nie lubi żadnych zmian... I tylko popatrz: pewnego dnia, ni stąd, ni zowąd, Richard powiada: „Myślałem, że wolałaś, jak biurko stało tam, Ann”. Odparłam, że i owszem, bo przy takim ustawieniu chyba robi się w salonie luźniej. Na to Sarah: „Może, ale mnie się podoba tak, jak było tutaj od zawsze”. Richard, jakby tylko na to czekał, wpada w ten swój typowy dla kłopotliwych sytuacji ton: „Tu nie chodzi o to, co ty, Sarah, lubisz. Liczą się gusta mamy. Ustawimy wszystko tak, jak jej się podoba. I to zaraz”. I tak jak powiedział, zabrał się natychmiast do przestawiania biurka, po czym zwrócił się do mnie: „Teraz jest tak, jak chciałaś, prawda?” No więc ja, chcąc nie chcąc, zmuszona byłam przytaknąć. Wtedy on powiedział do Sarah: „Żadnych sprzeciwów, młoda damo?” Sarah popatrzyła na niego całkiem spokojnie i z niewinną miną odpowiedziała: „Och, skądże znowu. Zresztą, proszę zapytać mamę. Ja się nie liczę”. I wiesz, Lauro, chociaż wsparłam Richarda, w głębi duszy byłam po stronie Sarah. Ona jest przywiązana do domu takiego, jaki zna od dziecka, czego Richard nie jest w stanie w ogóle zrozumieć. Och, kochana, doprawdy nie wiem, co będzie dalej.

— Istotnie, stanęłaś przed ciężką próbą.

— Czy potrafię sobie z tym poradzić? Jak uważasz? — W oczach Ann malowała się bezradność.

— Nie liczyłabym na to.

— Lauro, nie chcesz mi dodać odwagi?!

— Moja miła, czy ty nadal wierzysz w bajki?

— No cóż, trzeba przyznać, że obojgu nie zbywa na uprzejmości. Powinni zdawać sobie sprawę, że jestem przez nich nieszczęśliwa. Jeszcze trochę, a wpadnę w chorobę. Nie żartuję.

— Rozczulanie się nad sobą nic ci nie da, Ann. To nikomu nie pomaga.

— Och, ale ja naprawdę jestem nieszczęśliwa.

— Podobnie jak i oni, moja kochana. Przelej swój żal na nich. Sarah, biedne dziecko, jest godna litości. A nie wątpię, że Richard też.

— Kochana moja, byliśmy tacy szczęśliwi, kiedy Sarah nie było w domu.

Laura Whitstable uniosła z lekka brwi. Milczała chwilę.

— No więc kiedy zamierzacie się pobrać?

— Trzynastego marca.

— Prawie za dwa tygodnie. Zatem przełożyłaś datę ślubu. Dlaczego?

— Prosiła mnie o to Sarah. Chciała mieć czas, aby wszystko przetrwać. Nalegała tak długo, aż się poddałam.

— Sarah... Tak, rozumiem. A co na to Richard?

— Oczywiście nie cieszył się zbytnio. Mówiąc szczerze, był bardzo zły. Nie przestaje powtarzać, że rozpuszczam Sarah. Lauro, czy to prawda?

— Nie, nie sądzę. Mimo całej twojej miłości do Sarah, nigdy jej zbytnio nie pobłażałaś. I aż do dzisiaj Sarah okazywała ci zawsze właściwy szacunek; oczywiście w granicach rozsądku i stosownie do możliwości tych młodych, egoistycznych stworzeń.

— Lauro, czy uważasz, że powinnam...

Zawahała się.

— Co powinnaś?

— Och, nic takiego. Aczkolwiek czasami bywam u kresu wytrzymałości.

W drzwiach frontowych szczęknął zamek i po chwili do salonu weszła Sarah. Widok Laury Whitstable wyraźnie ją ucieszył.

— Laura? Nie wiedziałam, że przyszłaś.

— Co słyszeć, moja chrzestna córko?

Sarah podeszła do Laury i pocałowała ją. Chłodny policzek dziewczyny tchnął świeżością.

— Wszystko w porządku.

Ann bąknęła coś pod nosem i wyszła z salonu. Sarah odprowadziła matkę wzrokiem, następnie zwróciła spojrzenie ku Laurze. Jej twarz spłonęła rumieńcem zmieszania.

Laura Whitstable pokiwała energicznie głową.

— Tak, tak, twoja matka płakała.

Sarah natychmiast się zjeżyła.

— Nie ma w tym mojej winy. Ani trochę.

— Czyżby? Jesteś przywiązana do swojej matki, prawda?

— Uwielbiam ją. A ty świetnie o tym wiesz.

— To dlaczego przysparzasz jej kłopotów?

— Ależ skąd. Naprawdę nie robię nic złego.

— Wystarczy, że kłócisz się z Richardem.

— Och, o to chodzi! Ależ na to nie ma rady! On jest niemożliwy! Gdyby tylko mama zdała sobie z tego sprawę! Choć myślę, że któregoś dnia wreszcie i ona przejrzy na oczy.

— Czy ty musisz urządzać innym ich własne życie, Sarah? W czasach mojej młodości to rodziców oskarżano, że decydują o przyszłości dzieci. Dzisiaj, coś mi się zdaje, jest na odwrót.

Sarah przysiadła na poręczu fotela Laury Whitstable. Zachowywała się poufale.

— Wszystko dlatego, moja najdroższa, że się nią zamartwiam — wyznała. — Nie będzie z nim szczęśliwa. Wspomnisz moje słowa.

— To nie twój interes, Sarah.

— Ale ja nie potrafię przejść nad tym do porządku dziennego. Nie chcę, by moja matka była nieszczęśliwa. A będzie, na to się przecież zanosi. Mama jest tak... tak bezbronna i bezradna. Potrzebuje opieki.

Laura Whitstable uwięziła w swoich dłoniach dwie opalone ręce Sarah, po czym odezwała się z niezwykłą, nawet jak na nią, mocą. Dziewczynę ogarnął lekki niepokój.

— A teraz posłuchaj, moje dziecko. Posłuchaj mnie uważnie. Bądź ostrożna. I to bardzo.

— Co to ma znaczyć, Lauro?

Laura kładła nacisk na każde słowo:

— Bądź bardzo ostrożna i nie pozwól, by twoja matka zrobiła coś, czego będzie żałować przez całe życie.

— Właśnie próbuję...

Laura nie dała jej dokończyć.

— Ostrzegam cię. Ja, Laura Whitstable. Nikt inny by się nie poważył. — Laura Whitstable ostentacyjnie wciągnęła nosem duży haust powietrza. — Czuję coś wokół siebie, Sarah, i powiem ci, co to jest. To zapach całopalnej ofiary, a ja nie lubię całopalnych ofiar. Wierz mi.

Nim któraś z nich zdążyła się odezwać, otworzyły się drzwi i Edith zapowiedziała:

— Pan Lloyd.

Sarah poderwała się.

— Cześć, Gerry — powitała chłopaka, po czym zwróciła się do Laury Whitstable:

— To jest Gerry Lloyd. Moja chrzestna matka, dama Orderu Imperium Brytyjskiego, Laura Whitstable.

Gerry przywitał się i powiedział:

— Jestem przekonany, że minionej nocy to właśnie panią słyszałem przez radio.

— Miło, że mi to mówisz, Gerry.

— Brała pani udział w rozmowie z serii: „Jak żyć w dzisiejszych czasach”. Zrobiła na mnie duże wrażenie.

— Dość tego zuchwalstwa — zachnęła się Laura Whitstable, gwałtownie mrugając oczami.

— Ależ naprawdę, proszę mi wierzyć. Pani zdawała się znać odpowiedzi na wszystkie pytania.

Laura Whitstable prychnęła lekceważąco.

— Zawsze jest łatwiej poradzić komuś, jak upiec ciasto, niż zrobić to samemu. Udzielanie rad sprawia dużo satysfakcji, choć, z drugiej strony, deformuje charakter. Jestem absolutnie świadoma, że dziwaczeję z dnia na dzień.

— Och, nie mów tak, Lauro — zaprotestowała Sarah.

— Tak, dziwaczeję, moje dziecko. A także dochodzę do przekonania, że dawanie ludziom dobrych rad to niewybaczalny grzech. A teraz udaję się na poszukiwania twojej matki, Sarah.

2

— Wyjeżdżam z kraju, Sarah — powiedział Gerry, kiedy za Laurą Whitstable zamknęły się drzwi.

Sarah popatrzyła na niego zdumiona.

— Och, Gerry. Kiedy?

— Właściwie to już; w najbliższy wtorek.

— Dokąd?

— Do Afryki Południowej.

— Na drugi koniec świata!

— Prawie.

— Nie będzie cię tu całe wieki!

— Prawdopodobnie.

— Co tam będziesz robił?

— Będę uprawiał gaje pomarańczowe. Wchodzę w interes z kilkoma kumplami. To powinno być zabawne.

— Och, Gerry, naprawdę musisz jechać?

— Przejadła mi się ojczyzna. Za nudno tu i za drobnomieszczańsko. Nie mam pożytku z tego kraju; zresztą, on ze mnie też.

— A co ze stryjem?

— Och, przestaliśmy się do siebie odzywać; choć przyznam, że stryjenka Lena była całkiem miła. Dała mi na drogę czek i kilka cennych rad.

Uśmiechnął się szeroko.

— Gerry, przecież ty nie masz zielonego pojęcia o uprawianiu gajów pomarańczowych.

— Ani ciut, ciut. Fakt. Ale prędko się w tym połapię. Zobaczysz.

Sarah westchnęła.

— Będę za tobą tęsknić...

— Nie sądzę; przynajmniej nie długo — Gerry mówił dość burkliwie, unikając przy tym wzroku dziewczyny. — Jeśli ktoś znika na drugim końcu świata, na ogół szybko się o nim zapomina.

— Nie, nie zawsze...

— Tak uważasz? — Mówiąc to, spojrzał na nią z ukosa.

Sarah przytaknęła skinieniem głowy. Popatrzyli na siebie, oboje zmieszani.

— To by było zabawne, wybrać się tam razem — powiedział chłopak.

— Tak...

— Ludzie czasami nieźle wychodzą na pomarańczach.

— Spodziewam się.

Dobierając ostrożnie słowa, Gerry powiedział:

— Jestem przekonany, że kobiecie też mogłoby się tam spodobać. Dobry klimat... całe zastępy służących... no i takie tam różne...

— Tak...

— Ty pewnie niedługo poślubisz jakiegoś faceta...

— Och, nie. — Sarah potrząsnęła przecząco głową. — To wielki błąd, wychodzić za mąż w zbyt młodym wieku. Nie zamierzam tego zrobić w najbliższych latach.

— Tak ci się tylko zdaje. Zobaczysz, że jakieś bydlę raz dwa zamiesza ci w głowie — powiedział posępnie Gerry.

— Jestem z natury bardzo oziębła — uspokoiła go Sarah.

Stali zakłopotani, unikając swych spojrzeń. W końcu Gerry nie wytrzymał. Z nagle pobladłą twarzą wyznał:

— Sarah, kochanie, szaleję za tobą.

— Szalejesz? Naprawdę?

Powoli, bezwiednie, zbliżyli się do siebie. Gerry otoczył dziewczynę ramieniem i nieśmiało ją pocałował.

Że też idzie mu to tak niezgrabnie. Przy jego doświadczeniu z dziewczynami! Ale tym razem to nie była pierwsza lepsza dziewczyna, to była jego własna, kochana Sarah...

— Gerry.

— Sarah...

Pocałował ją raz jeszcze.

— Nie zapomnisz o mnie, kochanie, obiecujesz? Nie zapomnisz o tym, co nas łączyło? O wszystkim?

— Oczywiście, że nie zapomnę.

— Będziesz do mnie pisać?

— O nie, nie znoszę pisania listów.

— Ale do mnie napiszesz. Proszę, kochanie. Będę tak bardzo samotny...

Sarah odsunęła się od niego z niezbyt pewną miną.

— Ty i samotność. Będziesz miał tam na pewno całe zastępy dziewczyn.

— Jeśli jakieś będą, to z pewnością okropne. Choć coś mi się zdaje, że poza pomarańczami nic mnie tam nie czeka.

— Nie byłoby to takie głupie, gdybyś przysłał mi skrzynkę od czasu do czasu.

— Jasne. Przyślę ci. Och, Sarah, dla ciebie zrobiłbym wszystko.

— Wystarczy, że będziesz ciężko pracował. Oby ci się powiodło.

— Powiedzie mi się. Przysięgam.

Sarah westchnęła.

— Żałuję, że musisz tak prędko wyjeżdżać — wyznała. — Byłoby tak przyjemnie móc z tobą o tym wszystkim porozmawiać.

— A co słyhać u Kalafiora? Polubiłaś go choć trochę?

— Nie, i nie polubię. Nigdy nie przestaniemy się kłócić. Ale wiesz co, chyba jestem bliska zwycięstwa.

Gerry popatrzył na nią zaniepokojony.

— Masz na myśli, że twoja matka...

Sarah triumfalnie pokiwała głową.

— Zdaje mi się, że moja matka zaczyna dostrzegać, co to za typ.

— Sarah, wolałbym, żebyś, jeśli to możliwe...

— Żeby nie toczyła bojów z Kalafiozem? Będę z nim walczyć, i to zawzięcie! Nie poddam się. Uratuję moją matkę.

— Wolałbym, żebyś się nie mieszała, Sarah. Twoja matka to mądra kobieta, sama potrafi o siebie zadbać.

— Już ci to mówiłam: moja matka jest słaba. Nie zna się na ludziach. Uratuję ją przed nieszczęśliwym małżeństwem.

Gerry zebrał się na odwagę:

— Cóż, nadal uważam, że jesteś po prostu zazdrosna.

Sarah obrzuciła go wściekłym spojrzeniem.

— Tak właśnie uważasz? A zatem w porządku. Możesz sobie jechać, choćby w tej chwili.

— W tej chwili, powiedziałbym, ty zachowujesz się tak, jakbyś oszalała. Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

— Oczywiście, zawsze wiem, co robię.

3

Laura Whitstable zastała Ann w jej sypialni, przed toaletką.

— Lepiej się czujesz, moja droga?

— Tak. Poniosły mnie nerwy, ale już się uspokoiłam.

— Właśnie przyszedł pewien młody mężczyzna. Gerald Lloyd. Czy to ten...

— Tak. I co o nim myślisz?

— Powiem jedno. Sarah jest w nim zakochana.

— Boże, chciałabym wierzyć, że nie — jęknęła Ann.

— Nic tu po twojej wierze.

— Tego mi tylko brakowało.

— On jest absolutnie nie do przyjęcia, jak rozumiem. Tak?

Ann westchnęła.

— A co innego można powiedzieć o kimś, kto w żadnej pracy nie zagrzewa miejsca? Gerry da się lubić, to prawda, i jest atrakcyjnym mężczyzną, lecz...

— Nigdy do niczego nie dojdzie, to chciałaś powiedzieć?

— Nigdy i nigdzie. Sarah co prawda uważa, że ten chłopak ma po prostu pecha, ale nie sądzę, by miała rację. Zresztą to nie jedyny przyjaciel mojej córki; Sarah zna wielu innych, i to wartościowych mężczyzn.

— I uważa, jak śmiem sądzić, że są nudni. Miłe, inteligentne dziewczyny, a Sarah naprawdę nie brakuje inteligencji, zawsze wynajdują najmniej pożądanym kandydatów na męża. Takie chyba jest prawo natury. A jeśli chodzi o tego młodego człowieka, pociąga nawet mnie, nie tylko Sarah.

— Ciebie, Lauro?

— Mam swoje kobiece słabości, Ann. Dobranoc, moja droga. I życzę szczęścia.

Ann miała zjeść kolację z Richardem w domu, podczas gdy Sarah wybierała się do restauracji na dansing. Kiedy tuż przed ósmą zjawił się Richard, jego przyszła pasierbica siedziała w przesyconym ostrym zapachem lakieru salonie, malując paznokcie. Uniósł wzrok, rzuciła krótkie: „Cześć, Richard”, i wróciła do swojego zajęcia. Richard obserwował ją z irytacją. Od pewnego czasu sam był przerażony narastającą w nim niechęcią do córki Ann, początkowo bowiem widział siebie jako przyjaznego, pobłażliwego i oddanego pasierbicy ojczyma. Owszem, myślał na samym początku, dziewczyna może być nieufna, lecz przy dobrej woli z mojej strony, uda mi się łatwo pokonać dziecinne uprzedzenia.

Cóż, wyglądało na to, że to Sarah, a nie on, zaczyna panować nad sytuacją. Jej chłodna pogarda i niechęć przenikały w głąb męskiej duszy, raniąc ją, i upokarzając. Richard nigdy nie miał o sobie najlepszego zdania, dlatego sposób, w jaki Sarah go traktowała, jedynie osłabił w nim poczucie własnej godności. Wszystkie wysiłki, początkowo zmierzające do zjednania sobie dziewczyny, a potem do zapanowania nad nią, okazały się katastrofalne w skutkach. Doszło do tego, że każde słowo, które wypowiedział, było niewłaściwe, a każde zachowanie śmieszne. Poza tym, do niechęci do Sarah dołączała narastająca z wolna irytacja z powodu takiego, a nie innego zachowania Ann. Ann powinna go wspierać. Ann powinna wskazać Sarah jej właściwe miejsce, Ann powinna być po jego stronie. Wysiłki Ann, zmierzające do odgrywania roli rozjemcy, ciągle zajmowanie przez nią pozycji neutralnej, wyprowadzały go z równowagi. To się na nic nie zdawało. Ann powinna być tego świadoma.

Sarah wyciągnęła przed siebie dłoń i, obracając nią w dół i w górę, suszyła świeży lakier.

Richard, choć doświadczenie uczyło go, że w takiej sytuacji powinien zachować powściągliwość, nie pożałował sobie uwagi:

— Wygląda to tak, jakbyś umoczyła palce we krwi. Nie rozumiem, dlaczego wy, dziewczęta, nakładacie takie obrzydlistwo na paznokcie.

— Nie rozumiesz?

Zbaczając na bezpieczniejszy temat, Richard oznajmił:

— Spotkałem przed godziną twój przyjaciel, młodego Lloyda. Powiedział mi, że wyjeżdża do Afryki Południowej.

— Wiem, we wtorek.

— Będzie musiał porządnie nagiąć karku, jeżeli marzy mu się sukces. Afryka Południowa to nie miejsce dla kogoś, kto nie ma zamiłowania do pracy.

— Przypuszczam, że wiesz wszystko o Afryce Południowej, no nie?
— Takie miejsca wszędzie są jednakowe. Tam nadaje się chłop z ikłą.
— Gerry ma jej w sam raz — obruszyła się Sarah i dodała: — Jeśli już musisz użyć takiego wyrażenia.
— A co w nim złego?
Sarah uniosła głowę i zmierzyła go zimnym wzrokiem.
— Według mnie jest dość niesmaczne, to wszystko.
Richard poczerwieniał.
— Wypada mi tylko żałować, że twoja matka nie nauczyła cię lepszych manier.
— Czy byłam nieuprzejma? — W oczach Sarah odbijała się cała niewinność świata.
— W takim razie najmocniej przepraszam.
Przesadnie brzmiące przeprosiny bynajmniej nie ugłaskały Richarda. Zapytał ostro:
— Gdzie jest twoja matka?
— Przebiera się. Będzie tu za chwilę.
Sarah otworzyła torebkę, wyjęła lusterko i, przyjrzawszy się dokładnie swojej twarzy, zaczęła poprawiać dopiero co zrobiony makijaż. Chodziło jej najwyraźniej o wyprowadzenie Richarda z równowagi. Dobrze wiedziała, że przyszły ojczym ma staroświeckie upodobania i fobie; między innymi, nie znosi zwyczaju malowania się przez kobietę w czyjejś obecności.
I rzeczywiście.
Usiłując uderzyć w żartobliwy ton, Richard powiedział:
— Przystań już, Sarah. Nie przesadzaj z tym.
Sarah opuściła lusterko na kolana i zapytała:
— Z czym, mianowicie?
— Z malowaniem i pudrowaniem. Mogę cię zapewnić, że mężczyźni nie lubią zbyt wymalowanych kobiet. Czy nie widzisz, że wyglądasz jak...
— ...jak kokota, chciałeś powiedzieć, tak?
— Tego nie powiedziałem — zachnął się Richard.
— Ale zamierzałeś. — Sarah cisnęła z impetem do torebki przybory do makijażu.
— Do diabła! Tak czy owak, to nie twój interes.
— Posłuchaj mnie, Sarah...
— To, co robię z moją twarzą, to moja własna sprawa. Powtarzam jeszcze raz: to nie twój interes, ty wścibski intruzie!
Sarah trzęsła się ze złości; była bliska płaczu. Richard przestał panować nad sobą. Krzyknął na nią:
— Nieznośna, gderliwa mała jędba! Z tobą nie da się wytrzymać! W żaden sposób!
W tym momencie drzwi się otworzyły i do salonu weszła Ann.
— O Boże! O co chodzi tym razem? — zapytała znużonym głosem.

Sarah wyskoczyła do hallu jak oparzona; tłumaczyć się musiał Richard.

— Powiedziałem jej tylko, że robi sobie zbyt mocny makijaż.

Ann westchnęła ciężko.

— Doprawdy, mój drogi, uważam, że powinienes mieć więcej rozsądku. Po co, u licha, mieszasz się w nie swoje sprawy?

— Och, w porządku. Jeśli nie przeszkadza ci, że twoja córka wychodzi z domu wymalowana jak kokota...

— Sarah nie wygląda jak kokota — osadziła go Ann. — Wygadujesz niestworzone rzeczy. Nie ma dziewczyny, która by się w obecnych czasach nie malowała. Masz przestarzałe poglądy, Richardzie.

— Przestarzałe! Niedzisiejsze! Naprawdę tak o mnie myślisz, Ann?

— Och, Richardzie, czy musimy się kłócić? Czy nie zdajesz sobie sprawy, że krytykując Sarah, w rzeczywistości krytykujesz mnie?

— Nie mogę przyznać, iżbym uważał cię za szczególnie rozsądną matkę. Sarah jest ewidentnym przykładem złego wychowywania dzieci.

— To okrutne, co mówisz, i to nieprawda. Sarah wcale nie jest źle wychowana.

Richard opadł na sofę.

— Niech Bóg wspomaga mężczyznę, żeniącego się z kobietą, która ma jedynaczkę. W oczach Ann zabłysły łzy.

— Kiedy mi się oświadczałeś, nie kryłam, że mam Sarah. Ani tego jak bardzo ją kocham, ani że córka jest dla mnie wszystkim.

— Ale nie wiedziałem, że jesteś absolutnie zwariowana na jej punkcie! Od rana do wieczora słyszę tylko Sarah, Sarah, Sarah!

— Och, kochanie. — Ann podeszła do niego i usiadła obok. — Proszę cię, postaraj się być rozsądny. Przypuszczałam, i owszem, że Sarah może być zazdrosna o ciebie, lecz że ty o nią? Taka myśl nigdy nie powstała w mojej głowie.

— Nie jestem zazdrosny o Sarah — mruknął nadąsany Richard.

— Ależ jesteś, kochanie.

— Zawsze ją stawiasz na pierwszym miejscu.

— O nieba! — Ann odchyliła się na oparcie sofy i zamknęła oczy. — Doprawdy, nie wiem, co robić.

— A ja z kolei nie widzę tu dla siebie miejsca. Ty najnormalniej w świecie nie liczysz się ze mną. Odłożyłaś nasz ślub tylko dlatego, że Sarah to na tobie wymogła...

— Chciałam dać jej odrobinę więcej czasu, by przyzwyczaiła się do nowej sytuacji.

— I czy tak się stało? Otóż nie, tak się nie stało. Sarah po prostu wykorzystuje go, przyznam, że skutecznie, na wyprowadzanie mnie z równowagi.

— Wiem, że potrafi być trudna, lecz posłuchaj, Richardzie, ty chyba naprawdę wyolbrzymiasz cały problem. Biedna Sarah nie może otworzyć ust, byś ty od razu nie unosił się gniewem.

— Biedna Sarah. Biedna Sarah. A widzisz? Tylko na to cię stać. Na współczucie dla swojej córki. Nie dla mnie.

— No wiesz. W końcu to prawie dziecko. Należałoby o tym pamiętać. Ty zaś jesteś dojrzałym mężczyzną.

— To wszystko dlatego, że cię kocham, Ann — padło rozbijające wyznanie.

— Och, kochany.

— Byliśmy tak szczęśliwi we dwoje przed jej powrotem.

— Wiem...

— A wiesz, jaka myśl dręczy mnie po nocach? Że powoli cię tracę...

— Ależ to nieprawda, Richardzie.

— Ann, jedyna, nadal mnie kochasz?

Ann odpowiedziała z niezwykłą namiętnością:

— Kocham cię. Kocham cię jeszcze bardziej niż przedtem.

5

Kolacja była wyśmienita. Sprawily to kulinarne zdolności Edith, a poza tym mieszkanie, bez iskrzenia, jakie zwykle powodowała sama obecność Sarah, stało się raz jeszcze przytulnym gniazdkiem dla zakochanej pary.

Richard i Ann odnajdywali siebie w każdym słowie, spojrzeniu i uśmiechu. Dla nich obojga tych kilka wieczornych godzin zamieniło się w jedną chwilę niezmaconego szczęścia.

Kiedy wrócili do salonu i dopijali kawę z kieliszkiem likieru, Richard powiedział:

— To był cudowny wieczór. I jakże spokojny. Ann, najdroższa, pragnąłbym, żeby tak było zawsze, do końca życia.

— Tak będzie, Richardzie, zapewniam cię.

— Sama nie wierzysz we własne słowa. Przemyślałem wszystko spokojnie. Prawda nie jest najprzyjemniejszą rzeczą, lecz czasami trzeba stawić jej czoło. Otóż obawiam się, że Sarah i ja nigdy nie dojdziemy do porozumienia. Jeżeli zdecydujemy się na mieszkanie ze sobą pod jednym dachem we trójkę, życie stanie się nie do zniesienia. W istocie pozostaje nam tylko jedno.

— To znaczy?

— Stawiając sprawę jasno, myślę, że Sarah powinna się wyprowadzić.

— Nie, Richardzie. To niemożliwe.

— Kiedy dziewczęta przestają być szczęśliwe we własnym domu, opuszczają go i żyją własnym życiem.

- Sarah ma dopiero dziewiętnaście lat, pamiętaj o tym.
- Są odpowiednie miejsca i dla tak młodych panienek. Internaty lub pokoje do wynajęcia przy przyzwoitej rodzinie.
- Ann potrząsnęła przecząco głową.
- Chyba nie wiesz, co mówisz, Richardzie. Dlatego że chcę wyjść za mąż, miałabym wyrzucić córkę z domu? To niesłychane.
- Dziewczęta lubią niezależność i życie na własny rachunek.
- Sarah nie lubi. I nie o to chodzi, czy chce żyć po swojemu, czy nie. Chodzi o to, że to jest jej dom, Richardzie.
- Cóż. Ja jednak upierałbym się, że to niezły pomysł. Przeznaczmy dla niej przyzwoitą sumę, z moim osobistym wkładem, oczywiście. Sarah nie powinna sobie niczego odmawiać. Zobaczysz, ona będzie szczęśliwa na swoim, a my na swoim. Widzisz w tym coś niewłaściwego?
- Może tak, a może i nie. Chciałabym jednak wiedzieć, dlaczegóż to jesteś taki pewien, że Sarah będzie szczęśliwa, jak to określasz, „na swoim”.
- Dlatego że wszystkie młode panny lubią niezależność.
- Nie wiesz wszystkiego o młodych pannach, Richardzie. A już na pewno nie o wszystkich. Ty tylko dostosowujesz ich obraz do swoich wyobrażeń.
- Próbuję jedynie podsunąć ci dość rozsądne rozwiązanie tej kłopotliwej sytuacji.
- Posłuchaj mój drogi — zaczęła Ann, dobitnie wymawiając słowo po słowie.
- Przed kolacją powiedziałeś, że stawiam Sarah na pierwszym miejscu. W pewnym sensie, Richardzie, to prawda... Nie chodzi bowiem o to, które z was bardziej kocham. Chodzi o to, że kiedy biorę pod uwagę was oboje jednocześnie, wówczas jestem absolutnie przekonana, że twoje interesy powinny ustąpić interesom Sarah. A to dlatego, że za nią odpowiadam. I nie zrzucę z siebie odpowiedzialności za własną córkę aż do momentu, w którym stanie się ona w pełni kobietą.
- Matki nigdy nie chcą, by ich dzieci dorosły.
- Owszem, czasami tak bywa, ale ta prawda nie dotyczy mnie i Sarah. Ja widzę to, czego ty nie potrafisz w swoim zaślepieniu dostrzec. Sarah wciąż jeszcze jest bardzo młoda i bezbronna.
- Richard prychnął lekceważąco.
- Bezbronna! Też mi coś!
- Tak, to właśnie mam na myśli. Jest jeszcze niepewna siebie i niepewna życia. Kiedy będzie gotowa do wyruszenia na podbój świata, sama zechce to zrobić. I będzie mogła liczyć na pomoc z mojej strony. Ale na razie tak nie jest. O nie.
- Przypuszczam — westchnął ciężko przyszły ojczym — że dyskusowanie z matką zawsze mija się z celem.
- Ann odpowiedziała ze stanowczością, jakiej nikt by się po niej nie spodziewał:

— Nie wyrzucę rodzonej córki z domu. Nie oczekuj tego ode mnie. Gdybym to zrobiła wbrew jej woli, byłabym podła.

— No cóż, jeśli aż tak obstajesz przy swoim...

— Tak, Richardzie, obstaję. A z drugiej strony proszę cię o cierpliwość. Czy nie widzisz, że to nie ty, lecz Sarah jest tutaj tą trzecią osobą? Ona to doskonale wyczuwa. Ale jestem przekonana, że przyjdzie czas, kiedy zostaniecie przyjaciółmi. Choćby dlatego, że jej miłość do mnie nie jest udawana. No i przecież żadna rodzona córka nie chciałaby unieszczęśliwić matki.

— Moja najmilsza Ann, ależ ty jesteś nieuleczalną optymistką.

Ann poddała się jego ramionom.

— Drogi mój... Kocham cię... Gdyby nie ten okropny ból głowy...

— Przyniosę ci aspirynę...

Kiedy prosił Edith o proszki, przyszło mu na myśl, że teraz każda rozmowa z Ann kończy się zażywaniem aspiryny.

Rozdział dziewiąty

1

Przez dwa dni w domu Ann panował niezwykły spokój. Obie strony złożyły broń, Richard uzbroił się w cierpliwość, więc Ann zaczynała wierzyć, że sprawy przyjmą dobry obrót. Za tydzień powinni być po ślubie, no a potem życie znormalnieje i potoczy się własnym torem. Jej córce nie będzie już wypadało wiecznie kłócić się z ojczymem. W nowej sytuacji Sarah prawdopodobnie będzie częściej wychodzić z domu, lecz to może jej tylko wyjść na dobre.

— Dzisiaj czuję się o wiele lepiej — powiedziała do Edith.

Przy okazji przyszło jej na myśl, że dzień, w którym nie boli ją głowa, zdarza się ostatnio bardzo rzadko.

— Cisza przed burzą, jak to się mówi — zauważyła służąca. — Panienska Sarah i pan Cauldfield to jak pies z kotem. Nie inaczej, taka już ich natura.

— Nie uważasz, że Sarah trochę spuściła z tonu?

— Na pani miejscu nie byłabym taką optymistką — powiedziała posępnie Edith.

— Ale chyba taki stan nie może trwać wiecznie?

— Nie liczyłabym na to, na co pani liczy.

Ach, ta Edith, pomyślała Ann, nic tylko kracze; uwielbia przepowiadać nieszczęścia.

— Ostatnio jednak jest trochę lepiej — nie dawała za wygraną.

— To tylko dlatego, proszę pani, że pan Cauldfield bywa u nas przeważnie za dnia, kiedy panienska Sarah zajęta jest w kwiaciarni, a wieczorami to ona już ma panią dla siebie. No i po prawdzie, teraz nasza panienska zaprzęta sobie głowę panem Gerrym i tym, że pan Gerry wyjeżdża tak daleko. Ale po ślubie nie pozbędzie się pani ani jednego, ani drugiego. Wejdą pani na głowę. Rozerwą między siebie na kawałki. To do nich podobne.

— Och, Edith. — Ann ogarnęło przerażenie. Koszmarna wizja, pomyślała. Choć tak po cichu skłonna była zgodzić się z Edith. Wyznała z rozpaczą w głosie: — A mnie brakuje sił. Nienawidzę scen ani awantur.

— Właśnie, proszę pani. Wiem, co pani lubi. Pani lubi, żeby w domu było spokojnie i przytulnie jak u pana Boga za piecem. O, to mi dopiero życie dla pani.

— Więc co mam począć, Edith? Co ty byś zrobiła na moim miejscu?

Edith, jak zwykle, świetnie się czuła w roli domowego doradcy.

— Nic po narzekaniu. Wiem to od kołyski. Życie ludzkie to dolina łez.

— I to wszystko, Edith? To żadna rada! Ani tym bardziej pociecha!

— Bóg zsyła na ludzi nieszczęścia, aby ich wypróbować — Edith popadła w moralizatorski ton. — Dobrze, że z pani nie jest awanturnicą. Wiele jest takich. Jak druga żona mojego wuja, jest zła, to jakby pioruny biły o ziemię, to prawda, ale z drugiej strony, kiedy złość jej mija, nie nosi w sercu urazy i nie rozdrapuje ran. Ona tylko przewietrza dom. Oczyszcza atmosferę. No, ale jej matka pochodzi z Limerick. A irlandzka krew to irlandzka krew. Tamtejsi ludzie zawsze palą się do bitki. Bez urazy, ale sam pan Prentice był pół-Irlandczykiem, wiem to jeszcze od paninej matki, to czego można się spodziewać po paniencie Sarah? Panienska Sarah też musi się wyładować, ale nie ma na świecie młodej panny, która miałaby lepsze od niej serce. Jak chce pani wiedzieć, to dobrze się stało, że młody pan Lloyd ruszy za morze. On się nigdy nie ustatkuje. Już prędzej paniencie Sarah to się uda.

— Nie sądzisz, Edith, że ona za bardzo się w nim zadurzyła?

— Ja bym się tam nie przejmowała. „Rozłączeni kochankowie usychają z miłości”, mówi stare porzekadło, ale moja ciotka Jane dodaje zwykle: „do kogoś innego”. A ja mówię, jak chce pani wiedzieć: „Co z oczu, to z serca”. Teraz niechże pani się nie martwi ani o panienkę, ani o nikogo innego. Ma pani pod ręką książkę z biblioteki, co to tak bardzo chciała ją pani przeczytać, a ja już lecę po filiżankę kawy i po parę biskwitów. Proszę sobie odpocząć, dopóki nic się nie dzieje.

— Jesteś dla mnie wielką pociechą, Edith — powiedziała Ann, ignorując brzmącą w ostatnich słowach służącej lekko złowieszczą nutę.

Gerry Lloyd odjechał we wtorek, a jeszcze tego samego wieczoru Sarah pokłóciła się z Richardem tak jak nigdy dotąd.

Ann zostawiła ich samych w salonie i skryła się w swojej sypialni. Leżała teraz w ciemności, zaciskając pulsujące bólem skronie. Po policzkach potoczyły się pierwsze łzy.

Powtarzała w kółko: „Nie zniosę tego, nie zniosę, nie zniosę...”, kiedy dobiegły ją gniewne słowa, wykrzywane przez wypadającego z salonu, Richarda: „...dla twojej matki, jak widać, jedynym sposobem na zakończenie sporu jest ucieczka w ten jej wieczny ból głowy”.

Trzasnęły frontowe drzwi.

W korytarzu rozległy się kroki Sarah, przemykającej do swojego pokoju. Ann zawołała:

— Sarah!

Otworzyły się drzwi i Sarah, głosem zdradzającym nieczyste sumienie, zapytała:

— Nie za ciemno ci, mamó?

— Boli mnie głowa. Zapal małą lampkę w kącie pokoju.

Sarah spełniła prośbę matki i, unikając jej wzroku, zbliżyła się do łóżka. W jej postawie było coś z opuszczonego, bezbronnego dziecka, coś, co ukłuło Ann w samo serce, choć nie dalej jak pięć minut temu, z jej powodu Ann płonęła gwałtownym gniewem.

— Sarah — szepnęła. — Naprawdę musisz?

— Co muszę, mamó?

— Kłócić się z Richardem przez cały czas? Czy naprawdę nie masz dla mnie odrobiny serca? Nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo unieszczęśliwiasz własną matkę? Nie życzysz mi szczęścia?

— Ależ życzę ci, mamó. Jest jak jest, nic na to nie poradzę.

— Nie rozumiem cię. Dlaczego doprowadzasz do tego, że zaczynam się litować sama nad sobą? Wiesz, czasami odnoszę wrażenie, że dłużej nie wytrzymam. Nasz dom tak bardzo się zmienił...

— Tak, dom się zmienił i wszystko się zmieniło. On zepsuł wszystko. On chce, żebym się wyprowadziła. Ale ty chyba na to nie pozwolisz, prawda?

Ann zezłościła się.

— Oczywiście, że nie pozwolę. Kto ci to powiedział?

— On. Właśnie teraz. Przed chwilą. Ale ty tego nie chcesz, prawda? To wszystko jest niby zły sen. — Dziewczyna rozplakała się. — Wszystko obraca się na gorsze. Wszystko. Od kiedy wróciłam ze Szwajcarii. Nawet Gerry odjechał i już pewnie nigdy go nie zobaczę. A jakby tego było mało, moja rodzona matka zwraca się przeciwko mnie.

— To nieprawda! Nie wolno ci tak mówić!

Dziewczyna osunęła się na kolana i zanosła płaczem. Szlochając, powtarzała jedno jedyne słowo: mamó...

2

Następnego dnia, kiedy Ann zeszła na śniadanie, znalazła na tacy krótki list od Richarda.

Droga Ann. Tak dłużej być nie może. Musimy się na coś zdecydować. Ufam, że Sarah jest bardziej odpowiedzialna, niż myślisz. Zawsze Twój,

Richard.

Ann ściągnęła brwi. Czy Richard świadomie się oszukuje? Czy też minionego wieczoru wybuch gniewu Sarah miał w dużej mierze podłoże histeryczne? Tak, to całkiem

możliwe. Jej córka niewątpliwie cierpi z powodu niedoli, jaką niesie ze sobą cielęca miłość i pierwsze rozstanie z ukochanym. Skoro więc tak bardzo nie znosi Richarda, może czułaby się szczęśliwsza poza domem...

Odruchowo sięgnęła po telefon i wykręciła numer Laury Whitstable.

— Laura? Tu Ann.

— Witam. Hm, hm. Bardzo wczesna pora, jak na dzwonienie do kogoś.

— Jestem u kresu sił, nie pamiętam chwili bez bólu głowy, źle się czuję od rana do nocy; Lauro, mam już wszystkiego dość. Proszę, nie odmawiaj mi swojej rady.

— Nie udzielam rad. To bardzo niebezpieczna praktyka.

Ann mówiła dalej, nie zwracając uwagi na słowa przyjaciółki.

— Posłuchaj, Lauro, czy myślisz... Czy nie zdaje ci się... Lauro, nie uważasz, że być może nie byłoby źle, gdyby... gdyby Sarah zaczęła żyć własnym życiem? Gdyby, powiedzmy, zamieszkała w wynajętym mieszkaniu, z przyjaciółką?

Ann niecierpliwie wsłuchiwała się w oddech Laury, licząc na gotową odpowiedź. Miast niej, usłyszała pytanie:

— A czy ona tego chce?

— Cóż, nie. Niezupełnie. Wiesz, to tylko taki sobie pomysł.

— A kto jest jego autorem? Richard?

— Istotnie, on.

— To bardzo rozsądne.

— A więc i ty tak uważasz, Lauro? — skwapliwie podchwyciła Ann.

— Uważam to za rozsądne z punktu widzenia Richarda. Richard wie, czego chce, i wytrwale zmierza do celu.

— Lecz co ty, Lauro, na to?

— Powiedziałam ci już: nie udzielam rad. A co mówi Sarah?

Ann zawahała się.

— Cóż, jeszcze z nią tego nie przedyskutowałam.

— Ale jakiejś odpowiedzi chyba się spodziewasz. Jakiej?

— Spodziewam się, że Sarah nie ustąpi. To znaczy, nie ustąpi nikomu miejsca — wyznała niechętnie.

— Ach, tak.

— Ale, być może, powinnam nalegać. Nie uważasz?

— Po co? Żeby pozbyć się bólu głowy?

— Ależ nie, to nie tak! — zawołała Ann przerażona. — Gdybym miała nalegać, to tylko ze względu na jej szczęście.

— To zabrzmiało wspaniale! Ja zawsze podejrzewam, że ludźmi kierują wyłącznie szlachetne uczucia.

— Nie kpij ze mnie, Lauro. Po prostu dręczy mnie myśl, że być może jestem nieco zaborczą matką. A zatem, czyż wyprowadzka z domu nie zrobi dobrze mojej córce? W ten sposób rozwinie się jej własna osobowość.

— Tak, tak. To bardzo nowoczesny sposób radzenia sobie z własnym dzieckiem.

— Poza tym, rzeczywiście zaczynam się zastanawiać, czy Sarah nie zaakceptowałaby takiego pomysłu? Początkowo zdawało mi się, że nie, ale teraz... Och, Lauro, powiedz wreszcie, co o tym myślisz!

— Moja biedna Ann.

— Dlaczego mówisz „Moja biedna Ann”?

— Pytasz mnie, co myślę.

— Widzę, że nie mogę liczyć na twoją pomoc, Lauro.

— W takim sensie, jak byś chciała, rzeczywiście nie.

— Bo widzisz, nie wiesz jeszcze, że Richard zaczyna stawiać sprawę na ostrzu noża. Przed chwilą dostałam od niego coś w rodzaju ultimatum... Jeszcze trochę, a każe mi wybierać między nim a Sarah.

— No i kogo wybierzesz, jeśli wolno zapytać?

— Och, nie, Lauro. Naprawdę nie wierzę, że może do tego dojść.

— Może, Ann.

— Moja droga, ty chyba oszalałaś. I nawet nie ukrywasz tego, że nie chcesz mi pomóc.

— Mówiąc to, Ann ze złością cisnęła słuchawkę na widełki.

3

Tego samego dnia, o szóstej po południu, w domu Ann rozdzwonił się telefon. Edith podniosła słuchawkę.

— Czy zastałem panią Prentice? — zapytał Richard Cauldfield.

— Nie, proszę pana. Poszła na tę swoją konferencję do Domu Starszych Pań, czy jak mu tam. Pewno nie wróci do siódmej.

— A pannę Sarah?

— Właśnie wchodzi do domu. Chce pan z nią rozmawiać?

— Nie, przyjdę potem.

Richard przemierzał odległość między mieszkaniem służbowym a domem Ann stanowczym, równym krokiem. Był po nie przespanej nocy, spędzonej na rozmyślaniach. Ostatecznie powziął niezachwiane postanowienie.

Tak dalej być nie może. Najpierw powinna to sobie uświadomić Sarah, a następnie Ann. Ta dziewczyna zamęcza matkę napadami złego humoru i uporem! Biedna, de-

likatna Ann. Jednak jego myśli o Ann były zaprawione odrobiną goryczy. Choć sam przed sobą nie chciał się do tego przyznać, czuł do niej pewną urazę: otóż, gdy tylko wybuchała awantura, Ann robiła uniki, zasłaniając się bólem głowy, zdenerwowaniem — typowo kobiecymi sztuczkami.

Ann powinna stawić czoło sytuacji!

Te dwie kobiety... Trzeba położyć kres owym babskim nonsensom!

Energicznie zadzwonił do drzwi. Powitała go Edith i wprowadziła do salonu.

Sarah, ze szklanką w ręku, odwróciła się od kominka.

— Dobry wieczór, Richardzie.

— Dobry wieczór, Sarah.

Sarah wyznała dość powściągliwie:

— Przykro mi, Richardzie, z powodu wczorajszego wieczoru. Chyba zachowałam się niezbyt uprzejmie.

— W porządku. — Richard machnął wielkodusznie ręką. — Nie będziemy więcej o tym mówić.

— Napijesz się?

— Nie, dziękuję.

— Obawiam się, że mama jeszcze nieprędko wróci. Poszła do...

Richard nie dał jej dokończyć.

— Przyszedłem zobaczyć się z tobą.

— Ze mną? — Oczy Sarah zwęziły się. Zrobiła kilka kroków i usiadła, przyglądając mu się podejrzliwie.

— Chcę omówić z tobą pewne sprawy. Wydaje mi się, że tak dalej być nie może. Chodzi mi o ciągłe spory i kłótnie. To nie jest w porządku wobec twojej matki. A tobie, jestem pewien, zależy na jej szczęściu i spokoju.

— Naturalnie — przytaknęła Sarah spokojnie.

— A zatem, mówiąc między nami, musimy dać jej odpocząć. Za tydzień zamierzamy się pobrać. Kiedy skończy się nasz miesiąc miodowy i wrócimy do domu, jak myślisz, jak będzie wyglądało życie we troje pod jednym dachem?

— Jak prawdziwe piekło, powiedziałabym.

— No właśnie. Przyznajesz sama. Chcę od razu powiedzieć, że nie zwałam całej winy na ciebie.

— Jesteś niezwykle wspaniałomyślny, Richardzie.

Szczery i grzeczny ton jej głosu nie sugerował, że w uszach Sarah rozdzwoniły się alarmowe dzwonki.

— Niefortunnie się składa, że oboje nie potrafimy dojść do porozumienia. Powiem otwarcie, nie lubisz mnie.

— Jeśli chcesz to usłyszeć z moich ust, proszę bardzo: tak, nie lubię.

— W porządku. Jeśli o mnie chodzi, też nieszczęśliwie za tobą przepadam.

— Ty? Ty byś mnie utopił w łyżce wody — syknęła Sarah.

— Ach, daruj sobie. Tak bym tego nie określił.

— Ale ja tak.

— Dobrze, niech ci będzie. Doszliśmy na razie do tego, że oboje się nie lubimy. Dla mnie nie ma to większego znaczenia, czy ty mnie lubisz, czy nie: żenię się z twoją matką, nie z tobą. Wyciągałem do ciebie przyjazną dłoń, ale pogardziłaś nią... W takim wypadku pozostaje nam szukać innego rozwiązania. Przyznaję, ja już jedno znalazłem.

Sarah spytała nieufnie:

— A jakież to, można wiedzieć?

— Ponieważ z trudem znosisz przebywanie w tym domu, zrobię, co w mojej mocy, byś mogła prowadzić samodzielne życie; w miejscu, w którym będziesz o niebo szczęśliwsza. Z chwilą kiedy Ann zostanie moją żoną, zabezpieczę jej byt, i to całkowicie. Starczy pieniędzy, i to niemałych, również dla ciebie. Znajdziemy ci jakieś miłe mieszkanie, w którym będziesz mogła mieszkać wraz ze swoją przyjaciółką. Umeblujemy je i wyposażymy we wszystko, dokładnie tak, jak zechcesz.

Ciemne oczy dziewczyny zwęziły się w małe szparki. Powiedziała:

— Jesteś niezwykle szlachetnym człowiekiem, Richardzie.

Richard wziął jej słowa za dobrą monetę. W końcu sprawa była całkiem prosta. Dziewczyna chyba doskonale wiedziała, co się opłaci, a co nie. Wyglądało na to, że całą rzecz da się załatwić polubownie.

Uśmiechnął się do niej dobrodusznie.

— Nie lubię mieć wokół siebie nieszczęśliwych istot. I zdaję sobie sprawę z tego, w czym się różnię od twojej matki, że młodzi ludzie zawsze rwą się do samodzielności i niezależności. Będziesz o wiele szczęśliwsza na swoim niż tutaj, żyjąc ze mną jak pies z kotem.

— A więc to jest to twoje rozwiązanie, tak?

— To naprawdę bardzo dobry pomysł. W ten sposób będziemy zadowoleni wszyscy troje.

Słyszac głośny śmiech dziewczyny, Richard spojrział na nią ostro.

— Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo — spokojnie oznajmiła Sarah.

— Lecz...

— Nigdzie stąd nie pójdę. Zapewniam cię. Nie pójdę...

Ani jedno, ani drugie nie słyszało, że otworzyły się drzwi do mieszkania. Ann, wchodząc do salonu, zastała oboje stojących naprzeciw siebie, z błyskami gniewu w oczach. Sarah trzęsała się cała i powtarzała histerycznie:

— Nie pójdę... Nie pójdę... Nie pójdę...

— Sarah?

Oboje odwrócili się gwałtownie. Sarah podbiegła do matki.

— Kochana, najdroższa, nie pozwolisz mi, by mnie wyrzucił z domu, prawda? Mam podobno żyć w cudzym mieszkaniu z jakąś wymagowaną przyjaciółką. Nienawidzę przyjaciółek. Nie chcę się usamodzielniać. Chcę mieszkać z tobą. Nie wysyłaj mnie do nikąd, mamo. Nie... Proszę.

Ann pośpieszyła z kojącym zapewnieniem:

— Oczywiście, że nie. Już dobrze, córeczko. — Następnie rzuciła ostro pod adresem Richarda: — Co ty jej powiedziałaś?

— Przedstawiłem absolutnie rozsądną propozycję.

— On mnie nienawidzi, a przez niego i ty mnie znienawidzisz.

Sarah łkała rozpaczliwie jak histeryczne dziecko.

Ann powtórnie ją zapewniła:

— Och, Sarah, to jest absurd.

Spojrzała wymownie na Richarda i powiedziała:

— Porozmawiamy o tym innym razem.

— Nie, nie innym. — Richard wysunął brodę do przodu. — Porozmawiamy teraz. Wreszcie musimy pewne sprawy wyjaśnić.

— Och, proszę. — Ann, obejmując skronie, usiadła na sofie.

— Bólem głowy niczego się nie załatwi, Ann! On nie może być dla ciebie ucieczką od problemów, które niesie życie. A głównym problemem jest to, czy dla ciebie bardziej się liczę ja, czy Sarah.

— To nie jest problem.

— A ja mówię, że tak! Wszystko ma być wyjaśnione raz na zawsze. Nie zniosę dłużej ciągłej niepewności.

Podniesiony ton głosu Richarda przeszył skronie Ann ostrzem bólu. Miała za sobą trudną konferencję, wróciła do domu wykończona, a tu się okazuje, że nie jest w stanie poradzić sobie z własnym życiem.

Powiedziała słabym głosem:

— Nie mogę teraz z tobą rozmawiać, Richardzie. Naprawdę nie mogę. Po prostu opuszczają mnie siły.

— Coś tu wreszcie musi zostać wyjaśnione. Albo Sarah opuści ten dom, albo ja to zrobię.

Ciałem Sarah wstrząsnął lekki dreszcz. Wpatrzyła się w Richarda.

— Mój pomysł jest absolutnie rozsądny — powiedział Richard. — Przedstawiłem go twojej córce. Zdawało mi się, że z jej strony nie widzę żadnego sprzeciwu; aż do momentu, kiedy ty się zjawiłaś.

— Nigdzie stąd nie pójde — podjęła swój refren Sarah.

— Moja panno, możesz tu przychodzić i odwiedzać swoją matkę, kiedy tylko zechcesz. Co ty na to?

Sarah rzuciła się ku matce i opadła obok niej na sofę.

— Mamo, mamo, nie wyrzucisz mnie stąd? Nie wyrzucisz? Odezwij się, proszę. Proszę. Jesteś przecież moją matką.

Twarz Ann zakwitła purpurą. Powiedziała stanowczym głosem:

— Nie zażądam od mojej jedynej córki, by opuściła własny dom. Zrobi to, jeśli sama zechce.

— Ależ ona zrobiłaby to, i to chętnie, gdyby tylko mogła mi tym dokuczyć — krzyknął Richard.

— To ty tak myślisz! — Sarah naskoczyła na niego.

— Powściągnij swój język, moja panno!

Ann podniosła obie ręce ku głowie.

— Nie zniosę tego — powiedziała. — Ostrzegam was oboje, nie zniosę...

— Mamo! — zawołała Sarah błagalnie.

Richard zwrócił ku Ann wykrzywioną gniewem twarz.

— Nic z tego, Ann. Tym razem ci się nie uda. Nie zasłaniaj się tym swoim bólem głowy! Musisz wybierać, do cholery!

— Mamo! — Sarah już naprawdę wpadła w histerię. Przywarła do Ann jak małe, przerażone dziecko. — Nie daj się podburzyć przeciwko mnie. Mamo... nie daj się...

Ann, wciąż ściskając dłońmi skronie, powiedziała:

— Nie zniosę tego ani chwili dłużej. Lepiej będzie, jak sobie pójdiesz, Richardzie.

— Co takiego? — Richard wpatrywał się w nią tak, jakby nic nie rozumiał.

— Proszę, abyś sobie poszedł. Zapomnij o mnie. To się na nic nie zda...

Twarz Richarda ponownie przybrała gniewny wyraz. Powiedział groźnie:

— Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz?

Ann jakby nie słyszała jego pytania. Powtarzała swoje:

— Muszę mieć spokój... Nie wytrzymam dłużej...

— Mamo...

— Ann... — głos Richarda przepełniony był bólem i niedowierzaniem.

Ann krzyknęła w rozpacz:

— To się na nic nie zda... To się na nic nie zda, Richardzie.

Sarah rzuciła się na niego z furją, jak dziecko:

— Idź sobie stąd, nie jesteś nam potrzebny, słyszysz? Nie jesteś nam potrzebny!

Na jej twarzy pojawił się wyraz dziecinnego triumfu.

Richard nie zwracał na nią najmniejszej uwagi. Patrzył na Ann.

— Ann, czy wiesz, że nigdy już tu nie wrócę?

— Wiem... Nie wrócisz, Richardzie. Żegnaj... — odrzekła wyczerpana.

Powoli wyszedł z salonu. Sarah, wtulając głowę w kolana matki, zawołała:

— Najdroższa moja!

Ann pogłaskała córkę po włosach, lecz jej spojrzenie spoczywało na drzwiach, przez które wyszedł Richard.

Chwilę później do jej uszu doleciał odgłos zamykanych zdecydowaną ręką frontowych drzwi.

Poczuła w sercu znany chłód i wszechogarniającą pustkę.

Richard pewnie teraz jest już na schodach, przemierza podwórze, idzie przed siebie ulicą...

Odchodzi z jej życia...

Księga druga

Rozdział pierwszy

1

Laura Whitstable, przejęta, spoglądała przez okno autobusu linii lotniczych na znajome londyńskie ulice. Przez dłuższy czas była za granicą jako członkini królewskiej komisji, która przedsięwzięła interesującą długotrwałą podróż dookoła świata. Końcowe sesje, odbywające się na terenie Stanów Zjednoczonych, wyczerpały ją doszczętnie. Dama Orderu Imperium Brytyjskiego, Laura Whitstable, wygłaszała wykłady, przewodniczyła konferencjom, brała udział w lunchach i bankietach, i miała trudności ze znalezieniem wolnego czasu, aby odwiedzić swoich przyjaciół.

Ale wreszcie było po wszystkim. Oto znów znalazła się w ojczyźnie, z walizką wypełnioną notatkami, danymi statystycznymi i ważnymi dokumentami, a także z perspektywą dalszej wytężonej pracy, związanej z planowanymi publikacjami.

Laura Whitstable była kobietą o ogromnej żywotności i wielkiej sile fizycznej. Perspektywa pracy zawsze stanowiła dla niej większą pokusę niż możliwość leniuchowania, lecz w odróżnieniu od wielu ludzi nie wynosiła się z tego powodu, a nawet czasami zdarzało jej się rozbrajająco zauważyć, że nie miałaby za złe, gdyby ktoś jej pracowitość, miast traktować jako cnotę, położył na karb ludzkich słabostek. Praca bowiem, jej zdaniem, zawsze stanowiła, stanowi i będzie stanowić jeden z najłatwiejszych sposobów ucieczki od samego siebie. A dopiero życie z samym sobą, w pokorze i w zadowoleniu, może doprowadzić człowieka do prawdziwej harmonii.

Laura Whitstable była kobietą, która zwykle robiła tylko jedną rzecz naraz. Nigdy nie oddawała się pisaniu długich, wyczerpujących listów do przyjaciół. Kiedy była nieobecna, była nieobecna, tak ciałem, jak i myślami.

Laura Whitstable skrupulatnie wysyłała kolorowe widokówki do domowego personelu, który mógłby się poczuć dotknięty, gdyby poniechała tego zwyczaju. Lecz jej przyjaciele i bliscy byli w pełni świadomi, że natychmiast po powrocie Laury usłyszą tubalny, gburowaty głos w słuchawce telefonicznej, anonsujący, że jego właścicielka już jest w domu.

Dobrze być w domu, pomyślała Laura nieco później, rozglądając się po wygodnie urządzonej salonie i słuchając jednym uchem psiej melancholijnej litanii małych domowych katastrof, które miały miejsce podczas jej nieobecności.

Ze słowami: „Świetnie, że mi o wszystkim doniosłeś”, puściła jamnika na podłogę i zagłębiła się w obszernym, wytartym skórzanym fotelu. Na bocznym stoliku piętrzyła się sterta listów i periodyków, lecz Laura ani myślała zawracać sobie nimi głowę. Wszystkie niecierpiące zwłoki sprawy i tak załatwiał na czas jej pilny sekretarz.

Zapaliła, cygareto, położyła głowę na oparciu fotela i przymknęła oczy.

Coś się kończyło, coś się zaczynało...

Odpooczywała. Mechanizm jej mózgu powoli zwalniał obroty i przystosowywał się do nowego rytmu. Jej współpracownicy z komisji... piętrzące się problemy... spekulacje... punkty widzenia... amerykańskie osobistości... amerykańscy przyjaciele... łagodnie, nieubłaganie wszystko to oddalało się, bladło, traciło na wyrazistości...

Londyn... ludzie, z którymi należało się spotkać, grube ryby, które należało postrząsnąć, ministerstwa, którym należało się naprzykrzać, środki nacisku, które trzeba będzie zastosować, sprawozdania, które trzeba napisać... zaczęły przybierać w jej myślach realne kształty. Zbliżająca się kampania, wyczerpujące powszednie obowiązki...

Lecz to wszystko miało poprzedzić swego rodzaju interregnum: czas na osobiste związki i osobiste przyjemności; czas na odwiedzenie przyjaciół i na udział w ich kłopotach i radościach; czas na powłóczenie się po ulubionych zakątkach; czas na tysiąc i jedną rozkosz jej ukrytego przed światem, prywatnego życia. Prezenty, które przywiozła, powinny trafić do właściwych rąk... Szeroka, nieregularna twarz nabrała miękkiego wyrazu. Laura uśmiechnęła się. Przez jej głowę przemknęły imiona. Charlotte... mały David... Geraldine i jej dzieci... stary Walter Emlyn... Ann i Sarah... profesor Parkes...

Co się z nimi działo, kiedy jej tu nie było?

Pojutrze pojedzie do Geraldine, do Sussex, jeśli będzie to dla przyjaciółki odpowiedni termin. Sięgnęła po telefon, zadzwoniła i ustaliła dzień oraz godzinę. Następnie połączyła się ze starym profesorem Parkesem. Mimo że był niewidomy i prawie jak pień głuchy, wciąż wyglądał zdrowo i pogodnie i aż się palił do zażartej dysputy ze starą przyjaciółką.

Za trzecim razem wykręciła numer Ann Prentice. Słuchawkę podniosła Edith.

— A to ci niespodzianka, proszę pani. Tyle czasu. Czytałam w gazecie o pani, nie wiem, miesiąc albo i dwa temu... Nie, żałuję, proszę pani, pani Prentice wyszła. Teraz moja pani wciąż wychodzi i wychodzi, prawie każdego wieczoru... Tak, pani Sarah też nie ma... Tak, proszę pani, powtórzę, kto dzwonił, i że pani wróciła.

Powstrzymując się od uwagi, że trudno byłoby jej dzwonić, gdyby nie wróciła, Laura Whitstable odłożyła słuchawkę i wybrała kolejny numer.

Podczas następnych rozmów telefonicznych i ustalania spotkań, Laura Whitstable zepchnęła w podświadomość pewną drobną informację, którą obiecała sobie przeanalizować później.

Minęło sporo godzin i dopiero kiedy znalazła się w łóżku, jej analityczny umysł zmusił ją do zadania sobie pytania, co też takiego zaskoczyło ją podczas rozmowy z Edith. Szperała w myślach przez chwilę czy dwie, aż wreszcie przypomniała sobie. Otóż Edith powiedziała, że ostatnio Ann wciąż przebywa wieczorami poza domem.

Laura zmarszczyła czoło. Czyżby jej przyjaciółka zmieniła aż tak bardzo swoje przyzwyczajenia? Sarah to naturalne, Sarah mogła bawić się każdego wieczoru. Dziewczęta zwykle tak robią. Lecz Ann była innym typem kobiety; jakaś kolacja od czasu do czasu, kino raz czy drugi, może dla odmiany teatr, lecz cowieczorne wyjścia...?

Laura Whitstable z przekonaniem i skutecznie hołdowała dobremu obyczajowi niezarywania snu, bez względu na okoliczności. Jednak pierwszej nocy po podróży myśli o Ann Prentice spowodowały odstępstwo od dobrego zwyczaju.

2

Czas płynął prędko i minęły aż dwa tygodnie, gdy Laura Whitstable zadzwoniła do mieszkania Ann Prentice.

Drzwi otworzyła Edith, a jej zgorzkniała twarz nabrała na moment innego wyrazu, co świadczyło o tym, że cieszy ją wizyta tak zacnego gościa.

Przepuściła Laurę, mówiąc:

— Pani Prentice właśnie się ubiera do wyjścia, lecz jestem pewna, że zechce się z panią zobaczyć.

Wprowadziła przyjaciółkę swojej pani do salonu i, człapiąc głośno, ruszyła korytarzem w stronę sypialni Ann.

Laura rozejrzała się wokół z pewnym zdziwieniem: salon wyglądał zupełnie inaczej. Był zmieniony do tego stopnia, że z trudem rozpoznawała w nim to samo miejsce, do którego lata bywania u Ann zdążyły ją przyzwyczaić. Co więcej, przez krótki moment bawiła się absurdalną myślą, że, być może, pomyliła mieszkania.

Pozostało co prawda kilka starych mebli, za to jeden kąt salonu został zdecydowanie zdominowany przez wielki barek koktajlowy. Nowy wystrój był uwspółcześnioną wersją francuskiego empire, z wytwornymi atlasowymi zasłonami w pasy i z dużą ilością złocień i pozłocanego brązu. Na ścianie wisiało kilka modernistycznych obrazów. Całość bardziej przypominała dekorację teatralną niż czyjeś mieszkanie.

Edith uchyliła drzwi.

— Pani Prentice będzie tu za chwilę, proszę pani.

— Ależ to kompletnie zmieniony wystrój, moja droga Edith — zauważyła Laura Whitstable, zakreślając ręką szeroki łuk.

— Wszystko razem kosztowało majątek — stwierdziła Edith z dezaprobatą. — I doglądało tego dwóch bardzo dziwnych młodych ludzi. Jakich, lepiej nie mówić. Nie uwierzyłaby pani własnym oczom.

— Ależ tak, uwierzyłabym. — Laura Whitstable uśmiechnęła się. — Wygląda na to, że się nieźle napracowali.

— Tandeta, proszę pani. — Edith machnęła lekceważąco ręką.

— Trzeba iść z duchem czasu, Edith. Mam nadzieję, że panna Sarah jest tym wszystkim zachwycona.

— Och, to nie jest gust panienki. Panienka Sarah nie znosi zmian. Nigdy nie znosiła. Pamięta pani, ona nawet sofę nie pozwoliła przestawić w inne miejsce! Nie, to pani Prentice oszalała na punkcie meblowania.

Laura Whitstable uniosła lekko brwi. Jeszcze raz przyszło jej na myśl, że Ann Prentice chyba się bardzo zmieniła. Jednak tok jej myśli przerwały pośpieszne kroki, które dały się słyszeć na korytarzu: do salonu wpadła Ann, wyciągając przed siebie ramiona.

— Lauro, kochanie, jak to cudownie. Nie mogłam się ciebie doczekać! — zawołała, obdarzając swego gościa zaledwie lekkim muśnięciem warg.

Laura Whitstable ze zdziwieniem przyglądała się pani domu. Tak, Ann Prentice rzeczywiście się zmieniła. Jej włosy, delikatne, orzechowobrazowe włosy z kilkoma nitkami siwizny, pokryte były henną i obcięte według ostatniego krzyku mody. Miała wyskubane brwi. Ostry makijaż. Nosiła krótką koktajlową sukienkę, przystrojoną grubym pękiem dziwacznej biżuterii. Poruszała się w sposób nerwowy i sztuczny. Dla Laury Whitstable to właśnie było najbardziej czytelną oznaką przemiany. Ktokolwiek myślał o Ann Prentice, tej sprzed dwóch lat, miał przed oczami obraz kobiety łagodnej, nieśpiesznej i spokojnej.

Teraz kręciła się tu i tam, przestawiała różne drobiazgi, wygładzała dłonią nie istniejące zmarszczki na obiciach, jednocześnie zasypując gościa całą serią pytań, choć odpowiedzi na nie najwyraźniej nie docierały do jej świadomości.

— To już tyle czasu, wieki całe. Oczywiście, czytywałam o tobie w gazetach. I co powiesz o Indiach? Podobno w Stanach było z twojego powodu mnóstwo zamieszania. Prawda to? Mam nadzieję, że dobrze cię żywiono: befsztyki i cała reszta, tak? Kiedy wróciłaś?

— Dwa tygodnie temu. Dzwoniłam do ciebie, ale nie było cię w domu. Sądzę, że Edith zapomniała ci o tym powiedzieć.

— Biedna staruszka. Z jej pamięcią jest coraz gorzej. Nie, chyba rzeczywiście mówiła mi o twoim telefonie, i nawet zamierzałam oddzwonić, ale wiesz, jak to jest. — Zachichotała. — Żyje się w takim pośpiechu.

— To do ciebie niepodobne, Ann. Od kiedy cię znam, zawsze miałaś czas na wszystko.

— Doprawdy? Cóż, świat się zmienia — Ann odparła wymijająco. — Napijesz się czegoś, Lauro? Dżin z cytryną?

— Nie, dziękuję. Nie pijam koktajli.

— Jasne. Twój trunek to brandy z wodą sodową. Bardzo proszę. — Nalała alkohol do szklanki, podała ją przyjaciółce i wróciła do barku, by przyrządzić sobie koktajl.

— Co u Sarah? — zapytała Laura.

Odpowiedź była dość wymijająca:

— Och, wszystko w porządku. Rzadko się widzimy. Gdzie jest dżin? Edith! Edith! Weszła Edith.

— Dlaczego nie ma ani kropli dżinu?

— Pewnie się skończył — odparła służąca.

— Tego już za wiele, Edith. Ile razy mam ci powtarzać, że dom powinien być odpowiednio zaopatrzony w alkohol!

— Na mój rozum jest, i to aż za nadto.

— Dosyć! — krzyknęła Ann. — Masz w tej chwili wyjść i postarać się o butelkę dżinu.

— Czy ja dobrze słyszę? W tej chwili?

— Tak, w tej chwili.

Kiedy drzwi zamknęły się za służącą, Ann powiedziała ze złością:

— Zapomina o wszystkim. Ona jest beznadziejna!

— Dobrze, już dobrze, moja droga, nie unos się tak. Usiądź wreszcie i opowiedz mi wszystko o sobie.

— Nie ma o czym opowiadać — roześmiała się Ann.

— Wychodziłaś gdzieś właśnie? Pewnie cię zatrzymuję?

— Och, nie, nie. I tak czekam na przyjaciela.

— Na pułkownika Granta?

— Biednego starego Jamesa? Skądże. Ostatnio prawie go nie widuję.

— A to dlaczego?

— Ci starzejący się mężczyźni są, wierz mi, koszmarne nudni. James jest kochany, oczywiście, lecz te jego rozwlekle, nie kończące się opowieści doprowadzają mnie do rozpacz. — Ann wzruszyła ramionami. — To okropne z mojej strony, wiem, ale nic na to nie poradzę!

— Nie powiedziałaś mi nic o Sarah. Ma jakiegoś chłopaka?

— Och, i to ilu. Chwała Bogu, Sarah cieszy się dużym wzięciem... Nie zniosłabym drętwej, nijakiej córki.

— A zatem nie ma kogoś jednego, od serca?

— No cóż... Trudno powiedzieć. Dziewczęta nie zwierają się swoim matkom ze wszystkiego, sama wiesz.

— A co z młodym Geraldem Lloydem, tym, o którego trochę się niepokoiłaś?

— Och, wyjechał do Ameryki, czy gdzie indziej. Na szczęście to skończona historia. Że też ty o nim pamiętasz!

— Pamiętam każdy szczegół z życia twojej córki. Jestem do niej bardzo przywiązana.

— To miło z twojej strony, Lauro. No więc z Sarah wszystko w porządku. Jest trochę samolubna i męcząca, lecz przypuszczam, że to kwestia wieku. Za jakiś czas...

Zadzwoił telefon i Ann poderwała się z miejsca.

— Halo? Ach, to ty, kochanie... Przestań, proszę. Oczywiście, że cię Kocham... Tak, pozwól, że zajrzę do kalendarzyka... O rety, gdzieś mi się zapodział... Ależ tak, w porządku... Zatem wtorek... Petit Chat... Tak... Tak... To zabawne, jak ten Johnnie kompletnie się zalał... No wiesz, wszyscy byliśmy trochę wstawieni... Jasne, pasuje mi...

Odłożyła słuchawkę i z nutą satysfakcji, zadającej kłam słowom, rzuciła uwagę:

— Ach, te telefony. Dzwonią jak dzień długi.

— Do tego w końcu służą — oschle zauważyła Laura Whitstable. — Coś mi się zdaje, że prowadzisz bardzo wesołe życie, Ann.

— Człowiek nie może poprzestać jedynie na wegetowaniu, moja droga. Och, slyszysz? Czyżby Sarah wróciła?

W tejże chwili z hallu doleciał głos dziewczyny:

— Kto taki, Edith? Laura Whitstable? Och, to wspaniale!

Do salonu wpadła jak burza atrakcyjna, młoda kobieta, o niezwykle wdzięcznej twarzy i równie powabnej figurze. Po dawnej dziewczęcej kanciastości i trzpiotowatości nie zostało ani śladu. Laura Whitstable wpatrywała się w nią jak urzeczona.

Stając przed obliczem chrzestnej matki, Sarah rozpromieniła się i ucałowała ją serdecznie.

— Lauro, moja kochana! Jak to dobrze, że wreszcie jesteś. Doprawdy, wyglądasz cudownie w tym kapeluszu, niby angielska królowa na wakacjach w Tyrolu.

— Bezczelny dzieciak — powiedziała Laura, śmiejąc się do chrzestnej córki.

— Wcale nie żartuję. Jesteś rzeczywiście wielką figurą, nawet nie próbuj zaprzeczać, moje ty kochanie.

— A ty z kolei jesteś bardzo urodziwą młodą damą!

— Och, to tylko ten makijaż.

Znów zadzwonił telefon. Tym razem Sarah podniosła słuchawkę.

— Halo? Kto mówi? Tak, jest tutaj. To do ciebie, mamo. Jak zwykle.

Sarah oddała słuchawkę matce, a sama przysiadła na poręczu fotela Laury.

— Mama odbiera telefony przez cały dzień — powiedziała, śmiejąc się.

— Uspokój się, Sarah, nic nie słyszę — rzuciła Ann ostro. — Tak... Chyba tak... Nie, w przyszłym tygodniu jestem bardzo zajęta... Zajrzę do kalendarzyka. Sarah, znajdź mi

kalendaryk. Pewnie jest na nocnej szafce. — Sarah wyszła z pokoju. — Ależ tak — Ann kontynuowała rozmowę — wiem, co masz na myśli... Tak, to bardzo zobowiązujące... Naprawdę, kochanie?... Tak, jeżeli o mnie chodzi... Tak, mam na myśli Edwarda... Ja... — Sarah podsunęła matce kalendaryk. — O, już sprawdzam daty... Nie, z piątku nici... Tak, ostatecznie mogę... A zatem w porządku, spotkamy się u Smithów... Och tak, zgadzam się. Ona jest przeraźliwie nudna.

Odłożyła słuchawkę na widełki, protestując głośno:

— Mam dość tych telefonów! Zaczynam się już gubić...

— Ależ mamo, ty je uwielbiasz. I uwielbiasz wychodzić z domu, dobrze wiesz.

— Sarah zwróciła się do Laury Whitstable z zapytaniem: — Nie uważasz, że marna wygląda niesamowicie elegancko w tej nowej fryzurze? Całe lata młodsza, prawda?

Ann uśmiechnęła się sztucznie.

— Sarah nie pozwala mi pograć się w urokach wieku średniego.

— Ależ mamo, nie udawaj, że nie lubisz się bawić. Lauro, ona ma więcej przyjaciół niż ja i rzadko kiedy wraca do domu przed świtem.

— Nie pleć głupstw, Sarah — powiedziała Ann.

— Kto dzisiaj po ciebie przyjdzie, mamo? Johnnie?

— Nie, Basil.

— Och, jeszcze trochę, a się za niego wydasz.

— Nonsens. — W głosie Ann narastała irytacja. — On jest po prostu bardzo zabawny. A co z tobą? Wychodzisz, jak przypuszczam?

— Tak, przychodzi po mnie Lawrence, i to niedługo. Ledwo zdążę się przebrać.

— Idź już zatem. Tylko proszę, pobieraj najpierw swoje rzeczy. Futro, rękawiczki. I odstaw na miejsce szklankę. Tutaj na pewno się zbije.

— W porządku, mamo, nie rób awantur.

— Ktoś musi je robić. Przecież ty nigdy nie sprzątniesz po sobie. Doprawdy, zastanawiam się czasami, jak ja to wytrzymuję!

Kiedy Sarah wyszła, Ann zauważyła z nie ukrywanym rozdrażnieniem:

— Doprawdy, młode dziewczyny są niezdolne.

Laura obrzuciła przyjaciółkę krótkim, ukradkowym spojrzeniem.

— Czy nie czujesz się zmęczona ciągłym gonieniem tu i tam, Ann?

— Ależ tak. I to śmiertelnie. No, ale trzeba coś zrobić, żeby wypełnić sobie życie.

— Odkąd cię znam, nigdy nie miałaś z tym kłopotów.

— To znaczy siedziałam przy kominku z książką na kolanach i z podwieczorkiem na tacy? Czy to masz na myśli? Cóż, każdy miewa w życiu mniej lub bardziej nieciekawe okresy. Teraz właśnie złapałam wiatr w żagle. To przecież ty, Lauro, pierwsza użyłaś tego określenia, pamiętasz? Nie jesteś zadowolona, widząc, że skorzystałam z twojej rady?

— Mówiąc to, niezupełnie miałam na myśli bujne życie towarzyskie.

— Naturalnie. Według ciebie powinnam znaleźć sobie jakiś wartościowy cel. Lecz uważ, że nie w każdym człowieku siedzi społecznik i że nie każdego los obdarzył twoją mądrością i powagą. Ja lubię być wesoła.

— A co lubi Sarah? To samo co ty? A jeśli tak, to czy jest szczęśliwa?

— Oczywiście. Przeżywa wspaniałe dni.

Ann mówiła lekkim, beztruskim tonem, mimo to Laura Whitstable zmarszczyła czoło. Coś się tu nie zgadzało. Kiedy bowiem Sarah opuszczała salon, na twarzy dziewczyny pojawił się na krótko wyraz głębokiego znużenia. Było to tak, jakby opadła i z niej roześmiana błazeńska maska, odsłaniając na chwilę niepewność i z trudem ukrywany ból.

Naprawdę Sarah była szczęśliwa? Wierząc słowom jej matki, tak. A matka chyba wie, co mówi.

Laura poczuła się nieswojo. Coś było nie tak w atmosferze tego mieszkania. Ann, Sarah, nawet Edith — wszystkie trzy są tego świadome i wszystkie trzy coś ukrywają, pomyślała. Nachmurzone i pełne dezaprobaty spojrzenie służącej, podskórny niepokój i nerwowość, sztuczny sposób bycia matki, pozorna równowaga ducha córki... Gdzieś kryło się zło.

Odezwał się dzwonek u drzwi i Edith, z twarzą Bardziej chmurną niż zazwyczaj, zanonowała pana Mowbraya.

Pan Mowbray wpadł do salonu. Nie było na to innego określenia. Jego ruchy przypominały ślizganie się w locie jakiegoś pijanego radością owada. Laura Whitstable pomyślała, że gość Ann świetnie nadawałby się do roli Ozryka*. Miał młodzieńczy, afektowany sposób bycia.

— Ann! — wykrzyknął. — A więc włożyłaś ją! To najmądrzejsze, co mogłaś zrobić!

Pan Mowbray przekrzywił głowę i z uznaniem przyglądał się sukni Ann, podczas gdy ta przedstawiła go Laurze Whitstable.

Następnie zrobił kolejny posuwisty krok w stronę Ann i podniecony zawołał:

— Ach, ta kamea. Fantastyczna, wprost fantastyczna! Uwielbiam kamee. Wariuję na ich punkcie!

— Basil wariuje na punkcie każdej sztuki wiktoriańskiej biżuterii — objaśniła Ann.

— Kochanie, to dopiero była wyobraźnia. Te niebiańskie, te boskie medalioniki. Te misterne cacka! Z dwóch skręconych ludzkich włosów potrafiono wyczarować płaczącą wierzbę czy dzbanuszek. Dzisiaj nikt by tego nie potrafił zrobić. Sztuka, która zaginęła. Albo woskowane kwiaty — szaleję na ich punkcie — i stoliczki z papier mâché. Ann, muszę ci pokazać prawdziwie boski stół. Ze schowkami na oryginalne puszki na herbatę. Wściekle, ale to wściekle drogi, za to wart swojej ceny.

Laura Whitstable podniosła się:

*Postać z Hamleta (przyp. tłum.).

— Muszę już iść. Chyba cię zatrzymuję, Ann.

— Zostań i porozmawiaj z Sarah. Ledwo zdążyłaś ją zobaczyć. A Lawrence Steene przyjdzie dopiero za jakiś czas.

— Steene? Lawrence Steene? — Głos Laury zabrzmiał ostro.

— Tak, syn sir Harry’ego Steene’a. Niezwykle atrakcyjny mężczyzna.

— Och, czyżbyś naprawdę tak uważała, kochanie? — spytał Basil. — Bo według mnie jest dość melodramatyczny, niby aktor z kiczowatego filmu. Choć trzeba przyznać, że kobiety za nim szaleją.

— Jest nieprzyzwoicie bogaty — stwierdziła Ann.

— No właśnie. Coś w tym jest, że bogacze często bywają okropnie nieciekawi. Byłoby zresztą nie fair, gdyby ktoś posiadał i jedno, i drugie: pieniądze i zalety umysłu.

— Chyba pora na nas — powiedziała Ann. — Zadzwoń do ciebie, Lauro, i umówimy się na uroczą, długą rozmowę.

Pocałowała Laurę z udawaną serdecznością, po czym oboje z Basilem opuścili salon.

— A cóż to za wspaniałe antyki? — doleciał z hallu głos Basila. — I tak bosko naburmuszony. Dlaczego nie spotkałem jej tu nigdy przedtem?

Kilka minut później zjawiała się Sarah.

— Prędko wróciłam? Śpieszyłam się, jak mogłam. Ledwo dotknęłam pudrem twarzy.

— Jaka piękna suknia, Sarah.

Dziewczyna zawirowała w miejscu. Seledynowy atlas wdzięcznie układał się na jej kształtnej figurze.

— Podoba ci się? Kosztowała majątek. Gdzie mama? Wyszła z Basilem? On jest potworny, każdemu potrafi przyciąć, choć, trzeba przyznać, że robi to dość zabawnie, no a poza tym Basil odnosi się ze szczególnym nabożeństwem do starzejących się kobiet.

— Pewnie mu się to opłaca — stwierdziła ponuro Laura.

— Byłaby z ciebie niezła stara cyniczka, gdyby nie to, że masz rację, Lauro. Tak czy inaczej, mama potrzebuje trochę rozrywki, choć co prawda lepiej by było, gdyby ta rozrywka zamiast przechodzić w ilość, przeszła w jakość. Ale zgodzisz się ze mną, że nadal jest atrakcyjną kobietą. O Boże, to musi być straszne: starzeć się!

— Mogę cię zapewnić, że nie ma w tym nic straszego. Wręcz przeciwnie, to całkiem wygodne.

— To ty tak mówisz, ale nie każdy może być Kimś Wielkim, tak jak ty! Co porabiałaś przez ten cały czas?

— Przed wszystkim obnosiłam się ze swoją ważnością, mieszając się do spraw innych ludzi i mówiąc im, jak łatwo i radośnie, jak dobrze i szczęśliwie będzie im się żyło, jeśli dokładnie zastosują się do moich rad. W istocie byłam nieznośna i trudno było ze mną wytrzymać.

Sarah roześmiała się czule.

— A mnie poradzisz, co mam zrobić ze swoim życiem?

— Ty też potrzebujesz rady, Sarah?

— Być może; niewiele wiem o życiu.

— Czy coś się stało?

— No, nie... Bawię się, i to wszystko. Ale zdaje mi się, że powinnam coś robić.

— A nie wiesz co?

Sarah zawahała się.

— Nie, nie wiem. Coś przedsięwziąć. Czegoś się uczyć. Archeologii lub stenografii i maszynopisania, a może masażu czy architektury?

— Jaki szeroki wachlarz zainteresowań. Ale żadnych szczególnych skłonności, tak?

— Chyba tak... Układanie bukietów to przyjemne zajęcie, jednak zaczyna mnie trochę nudzić. Sama nie wiem, czego bym chciała.

Sarah krążyła bez celu po pokoju.

— Nie myślisz o wyjściu za mąż?

— Och, małżeństwo! — Sarah odęła usta. — Małżeństwo zawsze źle się kończy.

— Chyba nie zawsze.

— Większość par, spośród moich przyjaciół, wcześniej czy później się rozstała. Dobrze bywa przez rok czy dwa po ślubie. Potem wszystko zaczyna się psuć. Oczywiście, jeśli się wyjdzie za kogoś z grubą forszą, być może jest inaczej.

— A więc tak to sobie wyobrażasz?

— Tak, bo to jedyne rozsądne wyjście. W miłości jest pewien sens i owszem — Sarah ani się zająknęła — ale mimo wszystko ma ona podłoże seksualne, a seks nie trwa wiecznie.

— Mówisz, jakbyś recytowała lekcję z podręcznika — stwierdziła oziębłe Laura.

— Ale czyż nie jest tak? Nie jest? No, powiedz sama.

— Jest, i to dokładnie — padła natychmiastowa odpowiedź.

W oczach Sarah pojawił się cień rozczarowania, jednak dziewczyna uparcie trzymała się swojej teorii.

— I dlatego jedynym rozsądnym rozwiązaniem jest wydanie się za mąż za kogoś nadzianego.

Na ustach Laury Whitstable pojawił się grymas uśmiechu.

— Cóż, to też nic pewnego.

— Tak, rzeczywiście w dzisiejszych czasach pieniądz to rzecz płynna.

— Nie o to mi chodzi, Sarah. Przyjemność z posiadania i z wydawania pieniędzy jest podobna do przyjemności z seksu. Ma swój kres, jak wszystko inne.

— Nie w moim wypadku — stwierdziła kategorycznie Sarah. — Wspaniałe suknie... futra... biżuteria... wreszcie jacht...

— Ależ z ciebie dziecko, Sarah.

— Ależ skąd, wcale nie. Bywa, że czuję się jak stara, pozbawiona złudzeń kobieta.

— Naprawdę? — Laura Whitstable nie mogła powstrzymać uśmiechu, patrząc na płonącą przejęciem młodą, piękną twarz.

— Wiesz, Lauro — przyznała Sarah całkiem niespodziewanie — chyba rzeczywiście powinnam się stąd wynieść. Poszukać pracy, wyjść za mąż, zrobić coś, choć sama nie wiem co. Okropnie działam mamie na nerwy. Usiłuję być miła, ale nie zawsze mi to wychodzi. Ona pewnie uważa mnie za trudne dziecko. Życie jest dziwne, prawda Lauro? Przychodzi taka chwila, kiedy wszystko jest zabawne i wszystko mnie cieszy, a potem, ni stąd, ni zowąd, radość znika i sama nie wiem, na czym stoję albo czego pragnę. A przy tym nie ma nikogo, z kim dałoby się porozmawiać. Bywa i tak, że się boję. Ogarnia mnie od czasu do czasu dziwny lęk. Nie wiem, skąd się bierze. Nie wiem, czego się boję. Ale się boję. Może powinnam udać się do psychologa? Jak myślisz?

Znów ktoś zadzwonił do drzwi. Sarah poderwała się.

— To Lawrence, na pewno!

— Lawrence Steene? — Laura zapytała ostro, jak poprzednio Ann.

— Tak. Znasz go?

— Nie, ale słyszało się to i owo — przyznała ponuro.

Sarah roześmiała się.

— Pewnie nic dobrego, sądząc po twojej minie.

Otworzyły się drzwi i Edith zaanonsowała kolejnego gościa:

— Pan Steene.

Lawrence Steene był przystojnym mężczyzną. Miał około czterdziestu lat i na tyle wyglądał. Patrzył dziwnie, prawie spod opuszczonych powiek, a poruszał się z leniwą gracją oswojonego zwierzęcia. Gdziekolwiek się znalazł, sama jego obecność oddziaływała niepokojąco na kobiety.

— Cześć, Lawrence — powiedziała Sarah. — To jest Lawrence Steene. Moja chrzestna matka, dama Orderu Imperium Brytyjskiego, Laura Whitstable.

Lawrence Steene zbliżył się i podał rękę Laurze. Skłonił się z trochę teatralnym, trochę impertynenckim wdziękiem.

— To dla mnie wielki zaszczyt — przyznał.

— Widzisz, kochana? — przymiląła się Sarah. — Rzeczywiście masz w sobie coś z królowej! Bycie damą Orderu to pewnie niezła zabawa. Czy nie uważasz, że i ja doczekam się kiedyś takiego wyróżnienia?

— Według mnie to wielce nieprawdopodobne — oznajmił Lawrence.

— A to dlaczego?

— Twoje uzdolnienia idą w innym kierunku.

Zwrócił się do Laury.

— Czytałem pani artykuł nie dalej jak wczoraj. W „Komentatorze”.

— Ach tak — powiedziała skromnie Laura Whitstable. — Na temat stabilności małżeństwa.

Lawrence mruknął:

— Pani, zdaje się, wyznaje pogląd, że to, co najbardziej liczy się dla małżonków, to ich trwałość związku. Ja natomiast rzekłbym, że o urodzie życia stanowi nietrwałość dzisiejszych małżeństw.

— Lawrence był wielokrotnie żonaty — Sarah złośliwie uzupełniła jego tyradę.

— Tylko trzykrotnie, moja droga.

— Wielkie nieba! — wykrzyknęła Laura Whitstable. — Chyba nie był to kolejny przypadek pozbywania się żon w kąpielni?

— Lawrence rozstał się z nimi, występując do sądu o rozwód. W każdym przypadku, Lauro. To o wiele prostsze niż morderstwo.

— Ale i o wiele droższe — dodał Lawrence Steene.

— Jestem przekonana, że znałam pańską drugą żonę w czasach, kiedy była młodą dziewczyną — wyznała Laura. — Moira Denham, prawda?

— Istotnie, proszę pani.

— Bardzo czarująca osoba.

— Istotnie, proszę pani. Wręcz urocza. I naturalna, wcale nie zepsuta.

— To, proszę pana, cecha, za którą czasami ciężko się w życiu płaci — stwierdziła Laura Whitstable, po czym podniosła się i rzekła: — Muszę już iść.

— Możemy cię podwieźć, Lauro.

— Nie, dziękuję. Chyba przyda mi się odświeżający spacer. Dobranoc, moja droga. Frontowe drzwi zamknęły się z impetem.

— Ktoś tu podkreślił swoją dezaprobatę — zauważył Lawrence. — Mam na ciebie zły wpływ, Sarah. Smok pod postacią Edith wręcz zionie ogniem, kiedy wpuszcza mnie do środka.

— Ciszej — nakazała Sarah. — Słyszeć cię nawet w kuchni.

— To najgorsze, co może być w wynajmowanych mieszkaniach. Żadnej prywatności...

Podszedł do niej blisko, lecz Sarah odsunęła się, mówiąc z lekceważeniem:

— To prawda, żadnej prywatności. Tu wszystko jest głośne, nawet urządzenia kanalizacyjne.

— Gdzie spędza wieczór twoja matka?

— Poszła na kolację.

— To jedna z najmądrzejszych kobiet, jakie znam.

— W jakim sensie?

— Do niczego się nie miesza, prawda?

— Nie... Chyba nie...

— Powtarzam raz jeszcze: to mądra kobieta... Idziemy? — Stał chwilę w miejscu, przyglądając się dziewczynie. — Wyglądasz dzisiaj nadzwyczajnie, Sarah. I tak powinno być.

— A to dlaczego? Jakaś specjalna okazja?

— Pewna uroczystość. Powiem ci potem, co będziemy świętować.

Rozdział drugi

To samo pytanie Sarah zadała kilka godzin później.

Siedzieli w mglistej atmosferze jednego z najdroższych londyńskich nocnych klubów. Było tłoczno i duszno, dokładnie tak jak w każdym innym nocnym klubie, a mimo to nie żaden inny, lecz właśnie ten, cieszył się wzięciem bogatych londyńczyków.

Sarah wyraźnie była zaintrygowana zapowiedzianą uroczystością, lecz Lawrence Steene, mistrz w sztuce podsycania ludzkiej ciekawości, raz po raz wykręcał się od konkretnej odpowiedzi.

Pałac papierosa i rozglądając się wokół, Sarah powiedziała:

— Sporo starych przyjaciół mojej matki, niegorszych nudziarzy, ma jej za złe, że pozwala mi na bywanie w takich miejscach.

— A to, że ze mną, jeszcze tylko pogarsza sprawę, prawda?

— Czyżbyś był aż tak niebezpieczny, Larry? Może mam do czynienia z uwodzicielem młodych dziewcząt? — roześmiała się.

Lawrence wzruszył ramionami w afektowany sposób i rzekł:

— Nic z tych rzeczy.

— A więc?

— Jestem podejrzewany o uczestniczenie w tym, co gazety nazywają niesłychanymi orgiami.

— Słyszałam, że wydajesz dość szczególne przyjęcia — wyznała otwarcie Sarah.

— Można to i tak nazwać. Prawda polega na tym, że jestem człowiekiem niekonwencjonalnym. A ten tylko przeżyje życie na wiele ciekawych sposobów, kto ma odwagę poddać je różnym eksperymentom.

Sarah przytaknęła skwapliwie:

— Tak właśnie myślę.

Steene kontynuował:

— Jeśli chcesz wiedzieć, młode dziewczęta nie interesują mnie zbyt. Głupie, strożące piórka, okrutne małe stworzenia. Ale ty jesteś inna, Sarah. Ty jesteś odważna

i masz w sobie ogień, i to prawdziwy. — Steene próbował omotać ją pajęczyną pieś-
czotliwych, znaczących spojrzeń. — A poza tym masz piękne ciało. Ciało, które potrafi
czuć... potrafi smakować... odpowiadać na doznania... Jeszcze nie znasz możliwości,
które w tobie drzemia, Sarah.

Siląc się na obojętny ton, Sarah powiedziała:

— Jesteś niezwykle przekonujący, Larry. Założę się, że podbijanie dziewczęcych serc
to twoja specjalność.

— Moja droga, większość dziewcząt po prostu szalenie mnie nudzi. Ty... nie. I dlatego
— uniósł kieliszek w jej stronę — nasza mała uroczystość.

— Zaczynasz uchylać rąbka tajemnicy, jak rozumiem. No więc, co świętujemy? I po
co ta cała tajemnica?

Lawrence Steene uśmiechnął się.

— Ach, to żadna tajemnica; dzisiaj dostałem rozwód.

— Och... — Sarah wyglądała na zaskoczoną.

— Tak, to oczyszcza przedpole. Co ty na to, Sarah?

— Na co?

Steene przeszedł do ataku.

— Nie udawaj przede mną niewiniątka, Sarah. Wiesz doskonale, pragnę cię. Wiesz
o tym od jakiegoś czasu.

Sarah uciekła w bok spojrzeniem, lecz jej serce zabiło radośnie. Ach, ten Larry jest
tak ekscytujący!

— Podoba ci się wiele kobiet, prawda? — rzuciła niedbale.

— Wprost przeciwnie, niewiele. Przynajmniej ostatnio. A w chwili obecnej tylko ty.
— Zrobił przerwę, a potem spokojnie i całkiem po prostu oświadczył: — Wyjdiesz za
mnie, Sarah.

— Ja? Za ciebie? Wcale nie noszę się z zamiarem zamążpójścia. A poza tym powinie-
neś nacieszyć się dopiero co odzyskaną wolnością.

— Wolność to iluzja.

— Nie jesteś dobrą reklamą stanu małżeńskiego, Larry. Twoja ostatnia żona była nie-
szczęśliwa, jeśli się nie mylę.

Lawrence Steene oświadczył spokojnie:

— Przez ostatnie wspólne dwa miesiące płakała prawie nieprzerwanie.

— Pewnie zamartwiała się z twojego powodu.

— Może. Zresztą wszystko jedno. Głupia gęś.

— Dlaczego się z nią ożeniłeś?

— Wyglądała dokładnie tak jak Madonna wczesnych prymitywistów. Mój ulubiony
okres w sztuce. Ale coś takiego we własnym domu wywołuje jedynie uczucie przesytu.

— Jesteś zimnym draniem, Larry, no nie? — Sarah była na pół oburzona, na pół za-
fascynowana.

— I to właśnie we mnie lubisz. Jeśli byłbym mężczyzną, który chciałby uszczęśliwić cię dobrym, przykładowym i pełnym wzajemnego zaufania życiem, nawet byś się za mną nie obejrzała.

— Cóż, przynajmniej stać cię na szczerość.

— Czy chcesz przeżyć mdłe, banalne życie, Sarah? Czy nie kusi cię niebezpieczeństwo?

Sarah nie odpowiedziała. Przesuwała po talerzu kilka okruchów chleba.

— A co stało się z twoją drugą żoną, Moirą Denham? Z tą, o której wspomniała Laura Whitstable? — zapytała po chwili.

— Odsyłam cię do Laury. — Uśmiechnął się. — Oczywiście, jeśli chcesz znać szczegóły. Cóż, urocze, naiwne dziewczę. A ja zламаłem jej serce, jak to się mówi romantycznie.

— Wygląda na to, że stanowisz dla żon pewne zagrożenie.

— Nie zламаłem serca swojej pierwszej żonie, to pewne. Odeszła ode mnie, powodowana moralną dezaprobatą. Odeszła, bo nie chciała wyrzec się swoich głupich, sztywnych zasad. Prawda jest taka, Sarah, że kobiety nigdy nie są zadowolone z poślubionego mężczyzny. Ledwo minie miodowy miesiąc, a już biorą się do dzieła: zdaje im się, że go odmienia. Ale ty, przynajmniej ty, musisz przyznać, że nie skrywam prawdziwego charakteru. Wiesz, że lubię żyć niebezpiecznie. Wiesz, że lubię zrywać zakazane owoce. Wiesz także, że nie jestem ideałem, ale też nie udaję innego niż jestem. — Zniżył głos. — Mogę ci dać wiele, Sarah. A obiecując to, nie myślę o rzeczach, które są do nabycia za pieniądze: o futrach, które mogłyby spowijać twoje wspaniałe ciało, o klejnotach, których blask odbijałby się od twojej białej skóry. Myślę, że jestem w stanie ofiarować ci całą gamę doznań. Jestem w stanie sprawić, że będziesz naprawdę żyła, Sarah, i naprawdę czuła. Całe życie to jedno wielkie doświadczenie, pamiętaj o tym.

— Tak... być może...

Patrzyła na niego po części z odrazą, po części z fascynacją. Lawrence Steene pochylił ku niej twarz.

— Co ty tak naprawdę wiesz o życiu, dziewczyno? Mniej niż nic. Mogę zabrać cię do miejsc przeraźliwie obskurnych, gdzie zobaczysz nurt życia gwałtownie pieniący się ciemnymi wodami, gdzie poczujesz, tak, poczujesz, Sarah, że życie to mroczna ekstaza!

Zwężonymi oczami obserwował reakcję dziewczyny. Potem, jakby wychodząc z zamkniętego kręgu rzucanych przez siebie czarów, powiedział spokojnie:

— No, Sarah, chyba już pora na nas.

Poprosił kelnera o rachunek, uśmiechnął się i powiedział:

— A teraz grzecznie odwiozę moją małą dziewczynkę do domu.

W półmroku luksusowego samochodu Sarah postanowiła zająć pozycję obronną, lecz Steene nawet nie próbował jej dotknąć. W skrytości ducha dziewczyna była zawiedziona, czego Steene nie omieszkał zauważyć. Stary wyjadacz wiedział, jak postępować z kobietami.

Odprowadził ją do domu. Sarah otworzyła kluczem drzwi, weszła do salonu i zapaliła światło.

— Napijesz się, Larry?

— Nie, dziękuję. Dobranoc, Sarah.

Sarah nie wytrzymała, na co on tylko czekał.

— Larry.

— Tak?

Zatrzymał się w drzwiach, odwracając głowę. Zmierzył ją okiem znawcy, od stóp do głów. Doskonała, absolutnie doskonała. Tak, musi ją zdobyć. Jego puls przyspieszył nieco.

— Wiesz... tak sobie myślę...

— Tak?

Lawrence Steene cofnął się w głąb pokoju. Oboje mówili przyciszonymi głosami, świadomi obecności, tuż za ścianą, matki Sarah i Edith.

Sarah pośpiesznie dokończyła zdanie:

— ...cóż, w gruncie rzeczy, nie jestem w tobie zakochana, Larry.

— Tak?

Ton, jakim wypowiedział to krótkie „tak”, sprawił, że Sarah mówiła jeszcze prędeej, jękając się.

— Nnie, to znaczy, nnie tak, jak powinnam. To znaczy, gdybyś stracił majątek i... och, pojechał gdzieś i uprawiał pomarańcze albo coś innego, nawet bym nie zadała sobie trudu, aby o tobie pomyśleć.

— To nie byłoby pozbawione sensu.

— Ale byłoby dowodem na to, że cię wcale nie kocham. — Głos dziewczyny nabierał pewniejszego brzmienia.

— Nic tak mnie nie nuży jak romantyczne poświęcenie. Nie oczekuję tego od ciebie, Sarah.

— A zatem czego oczekujesz?

To nie było mądre pytanie, lecz Sarah nie zamierzała zatrzymać się w pół kroku. Lubiła jasne sytuacje. Chciała wiedzieć, co Lawrence Steene...

Lawrence Steene podszedł do niej bardzo blisko. Nagle, bez zbędnych słów, pochylił się i pocałował ją w kark. Przyciągnął dziewczynę do siebie.

Sarah zaczęła się wyrывać, lecz po chwili jej opór zelżał. Oddech stał się szybszy.

Chwilę potem, Lawrence Steene wypuścił ją ze swych ramion.

— Kiedy mówisz, że niczego do mnie nie czujesz, Sarah, kłamiesz — powiedział miękko.

I z tymi słowami wyszedł z salonu.

Rozdział trzeci

Ann wróciła do domu jakieś trzy kwadranse przed Sarah. Już od progu zirytował ją widok wątpliwie upiękzonej papilotami głowy Edith, wysuwającej się przez uchylone drzwi sypialni.

— Panienska Sarah jeszcze nie wróciła.

Ostatnio Edith coraz częściej działała Ann na nerwy. Także i tym razem pozornie obojętna uwaga, lecz w gruncie rzeczy krytyczna, natychmiast postawiła Ann w stan gotowości bojowej.

— A według ciebie powinna, tak? — rzuciła ostro.

— Włóczenie się po nocach nie pasuje do młodej dziewczyny.

— Nie bądź niemądra, Edith. Od czasu twojej młodości świat poszedł do przodu. Dzisiaj dorastające panny powinny pilnować się same.

— A szkoda. Takie pilnowanie musi się źle skończyć. Choć oby nie.

— Za moich czasów też zdarzały się różne wpadki — powiedziała oschle Ann. — Dziewczęta były ufne i nieświadome niebezpieczeństw, a nawet najlepsza przyzwoitka nie mogła powstrzymać od robienia głupstw takiej, która tylko jedno miała w głowie. Dzisiejszym dziewczętom nie potrzebne zakazy; same wiedzą, co mają czytać, gdzie chodzić i co robić.

— Ach — zawyrokowała Edith ponuro — żadna wiedza nie zastąpi doświadczenia. Cóż, mnie tam nic do tego, byleby pani była zadowolona. To nie mój interes. Ale są mężczyźni i mężczyźni, wiadomo, a nie dałabym wiele za tego, z którym panienska wyszła dzisiaj wieczorem. Taki jeden, podobny do niego, wpędził córkę mojej siostry Nory w nie lada kłopot. A nic nie da wypłakiwanie sobie oczu po szkodzie.

Ann, na przekór własnemu zdenerwowaniu, nie potrafiła powściągnąć uśmiechu. Edith i ci jej wszyscy krewni! Co więcej, obraz pewnej siebie Sarah jako zdradzonej wiejskiej dziewczyny przywrócił jej dobry humor.

— Już dobrze, Edith. Przestań robić zamieszanie i idź spać. Czy przygotowałaś mi coś na sen?

Edith mruknęła niechętnie:

— Przygotowałam, a jakże. Ale przyzwyczajanie się do środków nasennych to nic dobrego. Potem pani bez nich nie zaśnie, wiadomo. Nie mówiąc już o tym, że robi się pani coraz bardziej nerwowa.

Ann napadła na nią z furją:

— Nerwowa? Nie jestem nerwowa.

Edith nie odpowiedziała. Opuściwszy kąciki ust, wycofała się do swego pokoju, podkreślając przeciągłym, głębokim westchnieniem swój pogląd na sprawę.

Ann, nadal rozzłoszczona, zamknęła się u siebie. Doprawdy, pomyślała, z Edith nie sposób już wytrzymać. Aż dziwne, że się godzę na takie traktowanie przez własną służącą.

Nerwowa? Ależ skąd. Po prostu ostatnio długo nie zasypia, to wszystko. Każdy od czasu do czasu cierpi na bezsenność. Rozsądniej coś połknąć i wyspać się, niż leżeć z otwartymi oczami i wsłuchiwać się w uderzenia zegara, podczas gdy twoje myśli gonią dookoła niby wiewiórka w klatce. Doktor McQueen wykazał się całkowitym zrozumieniem i dał jej receptę — coś całkiem łagodnego i nieszkodliwego — brom; miała nadzieję, że istotnie tylko to. Coś, co ją uspokoi i pozwoli przestać myśleć...

O nieba, jak wszyscy ją męczą. Edith i Sarah, nawet poczciwa stara Laura. Na wspomnienie tej ostatniej poczuła lekkie wyrzuty sumienia. To jasne, powinna zadzwonić do niej jakiś tydzień temu. Laura to wszak jedna z jej najdawniejszych przyjaciółek. Tylko, choć sama nie wie, dlaczego tak się dzieje, ostatnio woli, by Laura jej nie niepokoiła; cóż, Laura bywa czasami dość kłopotliwa...

Sarah i Lawrence Steene? Czy rzeczywiście coś się za tym kryje? Dziewczęta lubią afiszować się z mężczyzną o złej reputacji... Och nie, to nie może być na serio. A nawet, gdyby było...

Wyciszona dzięki bromowi, Ann zasnęła, lecz nawet w śnie rzucała się niespokojnie na poduszce.

Kiedy następnego ranka siedziała i piła kawę, zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę i słysząc burkliwy głos Laury Whitstable, od razu się zirytowała.

— Ann, czy Sarah często wychodzi z Lawrence'em Steene'em?

— Litości, Lauro, czy musisz dzwonić o tak wczesnej porze, aby mnie o to zapytać? A niby skąd mam wiedzieć?

— Cóż, chyba jesteś jej matką.

— To prawda, Lauro, lecz nie spowiada się dzieci z każdego kroku. Nie mówiąc o tym, że one same nie przejawiają ochoty na taką spowiedź.

— Przestań Ann, nie sprzeczasz się ze mną. On się nią wyraźnie zajmuje, nieprawda?

— Och, nie sędzę. Zresztą chyba jeszcze nie dostał rozwodu.

— Dostał. Właśnie wczoraj. Czytałam o tym w gazecie. Co ci o nim wiadomo?

— To jedyny syn starego sir Harry'ego Steene'a. Okropnie bogaty.

— Ale o bardzo złej reputacji.

— Och, to! Dziewczętom tacy mężczyźni wydają się niezwykle atrakcyjni. Tak było już za czasów lorda Byrona. Ale to o niczym nie świadczy.

— Chciałabym z tobą porozmawiać, Ann. Czy będziesz dzisiaj wieczorem u siebie?

— Niestety, nie. Wychodzę — odparła pośpiesznie Ann.

— Zatem umówmy się o szóstej.

— Przykro mi, Lauro. Wychodzę na koktajl...

— W porządku. Mogę przyjść około piątej... chyba że... — w głosie Laury Whitstable zabrzmiała ponura determinacja — chyba że wolisz, bym przyszła teraz.

Ann łaskawie skapitulowała.

— Świetnie, niech będzie piąta.

Odłożyła słuchawkę z jękiem irytacji. Doprawdy, Laura jest niemożliwa! Wszystkie te komisje, juneski i oenzety tylko przewracają kobietom w głowach.

— Nie chcę wciąż mieć Laury na karku — powiedziała do siebie, wzburzona.

Niemniej, kiedy przyjaciółka zjawiła się, przyjęła ją z należnymi oznakami zadowolenia. Podniecona, szczebiotała wesoło aż do czasu, kiedy Edith wniosła tacę z herbatą. Laura Whitstable zachowywała się wyjątkowo powściągliwie. To nie ona nadawała ton rozmowie. Słuchała i odpowiadała na pytania. I to wszystko.

Potem, kiedy zdawało się, że tematy do rozmowy zostały wyczerpane, Laura Whitstable odstawiła filiżankę i odezwała się ze zwykłą sobie otwartością:

— Przykro mi, że cię zmartwię, Ann, lecz tak się zdarzyło, że wracając ze Stanów, przysłuchiwałam się dwóm mężczyznom rozprawiającym o Larrym Steenie. To, co usłyszałam, nie brzmiało zbyt zachęcająco.

Ann lekceważąco wzruszyła ramionami.

— Och, to, co się słyszy przypadkowo...

— ...często jest niezwykle interesujące — dokończyła Laura Whitstable. — Mężczyźni sprawiali wrażenie całkiem przyzwoitych, natomiast ich opinia o Steenie była wręcz przygważdżająca. No i jest jeszcze Moira Denham, jego druga żona. Znałam ją, zanim poślubiła Steene'a i widywałam ją potem. Wiesz, co z niej zostało? Kompletny wrak. Załamana nerwowo.

— Czy sugerujesz mi, że Sarah...

— Nie, nie sugeruję, że Sarah mogłaby stać się podobnym wrakiem, jeśli poślubiłaby Lawrence'a Steene'a. Ona jest bardziej odporna. Twojej Sarah nic nie złamie.

— Zatem...

— Myślę, że mogłaby być bardzo nieszczęśliwa. No i jest jeszcze jedna sprawa. Czytałaś może w gazetach o młodej kobiecie nazwiskiem Sheila Vaughan Wright?

— O tej rzekomej ofercie narkotyków, tak?

— Tak. Po raz drugi stanęła przed sądem. Swego czasu była przyjaciółką Lawrence'a Steene'a. Ann, ze znajomości z nim nic dobrego nie wyniknie. Lawrence Steene jest szczególnie podłym cynikiem. Oświadczam ci to na wypadek, gdybyś jeszcze o niczym nie wiedziała. Ale chyba wiesz, prawda?

— Wiem, że sporo się o nim mówi na mieście — Ann przyznała dość niechętnie. — Lecz czego właściwie spodziewasz się po mnie? Nie mogę zabronić Sarah wychodzić z domu. Gdybym tak zrobiła, poradziłyby sobie w inny sposób. Dziewczęta nie znoszą, gdy ktoś dyktuje im, co mają robić, nie muszę cię o tym przekonywać. Zakazy i nakazy często przynoszą przeciwny do zamierzonego skutek. Na razie, jak przypuszczam, Sarah i Lawrence, to nic poważnego. On ją adoruje, a jej to schlebia. Ty natomiast, Lauro, uważasz, że Lawrence Steene zamierza poślubić moją córkę...

— Tak. Tak właśnie uważam. Według mnie to zwykły kolekcjoner.

— Nie rozumiem.

— To swoisty typ człowieka, nie najlepszy. Załóżmy, że ona również zamierza się za niego wydać i co wtedy? Jak ty się będziesz czuła?

— A cóż tu ma do rzeczy moje dobre czy złe samopoczucie? Dziewczęta robią dokładnie to, co chcą i poślubiają tego, kto im się podoba.

— Lecz Sarah znajduje się pod twoim wpływem, Ann, to oczywiste.

— Och nie, Lauro. Tu się mylisz. Sarah idzie absolutnie własną drogą. Nie mieszam się w jej życie.

Laura Whitstable spojrzała Ann prosto w oczy.

— Wiesz, Ann, zupełnie nie potrafię cię rozgryźć. Czyż nie będziesz niezadowolona, kiedy Sarah poślubi tego człowieka?

Ann zapaliła papierosa i niecierpliwie się zaciągnęła.

— To wszystko jest takie skomplikowane, Lauro. Bywa, że mężczyźni o złej reputacji zostają dobrymi mężami, po prostu najpierw muszą się wyszumieć. Patrząc na tę sprawę z czysto światowego punktu widzenia, Lawrence Steene jest bardzo dobrą partią.

— Nie powinnaś tak mówić, Ann. Pragniesz przecież jej szczęścia, nie materialnego zabezpieczenia.

— Och, oczywiście. Lecz Sarah, z czego chyba nie zdajesz sobie sprawy, uwielbia otaczać się ładnymi rzeczami. Lubi luksusowe życie o wiele bardziej niż ja.

— Ale nie wyszłaby za mąż tylko z tego powodu?

— Chyba nie — Ann odparła niezbyt pewnym głosem. — Jeśli chodzi o Lawrence'a, to na pewno jest nim zauroczona.

— A nie sądzisz, że pieniądze odgrywają tu swoją rolę?

— Nie wiem! Przecież mówię ci, że nie wiem! Przypuszczam tylko, że Sarah mogłaby... no dobrze, niech ci będzie, mogłaby zawahać się przed poślubieniem biednego adoratora. I zostawmy to tak, jak jest.

— Ciekawe — podsumowała krótko Laura Whitstable.

— Dziewczęta w tych czasach zdają się myśleć i mówić wyłącznie o pieniądzach.

— Wiem coś na ten temat. Słyszałam, i owszem, co Sarah mówi. Przemawia przez nią rozsądek, bezwzględność i brak sentymentów. Lecz język jest dany człowiekowi zarówno po to, by wyrażał swe myśli, jak i po to, by je ukrywał. Młode kobiety każdego pokolenia mają swój kod językowy. Należałoby raczej zapytać, czego Sarah chce?

— Nie znam jej pragnień — powiedziała oziębłe Ann. — Wyobrażam sobie natomiast, że chce się dobrze zabawić. I to wszystko.

Laura Whitstable rzuciła jej krótkie spojrzenie.

— Myślisz, że twoja córka jest szczęśliwa?

— Ależ tak. Doprawdy, Lauro, ona przeżywa urocze dni.

Laura rzekła, jakby wążąc słowa:

— Według mnie Sarah nie wygląda na całkiem szczęśliwą.

— Wszystkie dziewczęta wyglądają dzisiaj na niezadowolone. To taka poza — skwitowała Ann.

— Być może. A więc nie zdaje ci się, byś mogła coś zaradzić, jeśli chodzi o Lawrence'a Steene'a?

— Nic tu po mnie, Lauro. Może byś tak porozmawiała z samą Sarah?

— Nie powinnam tego robić. Jestem tylko chrzestną matką. Znam swoje miejsce w szeregu.

Ann krew uderzyła do twarzy.

— Rozumiem, że według ciebie ja to powinnam zrobić.

— Ależ skąd. Sama powiedziałaś, że mówienie nie na wiele się zda.

— Ale upierasz się, bym coś zrobiła, prawda?

— Nie, niekoniecznie.

— Zatem, o co ci chodzi?

Laura Whitstable patrzyła w zamyśleniu na drugą stronę salonu.

— Po prostu jestem ciekawa twoich procesów myślowych, Ann.

— Moich procesów myślowych?

— Właśnie.

— W moim mózgu nie zachodzą żadne procesy. Żadne, jeśli chcesz wiedzieć.

Spojrzenie Laury Whitstable ożywiło się; zerknęła na Ann krótkim, ptasim spojrzeniem.

— Tego się obawiałam — powiedziała.

— Nie rozumiem cię ani trochę, Lauro.

— Cóż, Ann, twoje procesy myślowe zachodzą znacznie głębiej.

— Nie zamierzam wysłuchiwać żadnych nonsensów na temat podświadomości. Powiedz prosto z mostu, Lauro, że chcesz mnie oskarżyć. Bo chcesz, prawda? W taki czy inny sposób, ale chcesz.

— Nie oskarżam cię.

Ann wstała i zaczęła przemierzać salon tam i z powrotem.

— Po prostu nie wiem, do czego zmierzasz... Jestem Sarah bardzo oddana. Nie muszę ci mówić, jak wiele zawsze dla mnie znaczyła. Lauro, ja... ja przez wzgląd na nią zrezygnowałam ze wszystkiego.

— Wiem, że dwa lata temu złożyłaś siebie w ofierze — przyznała Laura.

— No więc? Jeszcze ci mało?

— Mało czego?

— Dowodów na to, jak bardzo jestem oddana własnej córce.

— Moja droga, to nie ja sugerowałam, że nie jesteś! To ty sama zajęłaś pozycje obronne, lecz bynajmniej nie w związku z jakimś moim oskarżeniem. — Laura podniosła się z fotela. — Muszę już iść. Może zrobiłam niemądrze, przychodząc tutaj...

Ann towarzyszyła jej do drzwi.

— Widzisz Lauro, to wszystko jest tak niejasne, tak nieuchwytnie... nic, co by się dało mocno pochwycić w dłonie...

— Tak, tak.

Laura zatrzymała się w progu. Przemówiła z nieoczekiwaną energią.

— Kłopot z całopalną ofiarą polega na tym, że nie kończy się na jej złożeniu; święty ogień nienasycenia płonie dalej...

Ann patrzyła na nią, nic nie rozumiejąc.

— Co chcesz przez to powiedzieć, Lauro?

— Nic. Niech cię Bóg błogosławi, moja kochana, a ty posłuchaj mojej rady, jednej z tych, których udzielam zawodowo. Nie żyj w takim tempie, jakie nie pozostawia ci czasu na myślenie.

Ann zaśmiała się; wrócił jej dobry nastrój.

— Będę miała dość siedzenia i myślenia, kiedy się na tyle zestarzeję, by nie móc robić nic innego — oznajmiła wesoło.

Do salonu weszła Edith z zamiarem posprzątania. Ann, spojrzawszy na zegarek, krzyknęła przerażona i czym prędzej wymknęła się do swojej sypialni.

Umalowała twarz ze szczególną dbałością, dokładnie sprawdzając efekt makijażu w lustrze. Nowa fryzura, pomyślała, to niewątpliwy sukces. Ujmuje mi dobrych kilka lat. Słyszając pukanie do frontowych drzwi, zawołała do Edith:

— Jakaś poczta?!

Edith, pobieżnie przejrząwszy korespondencję, odparła:

— Nic poza rachunkami, proszę pani, z wyjątkiem listu do panienki Sarah, z Afryki Południowej.

Edith położyła lekki nacisk na dwa ostatnie słowa, lecz Ann, zajęta sobą, nawet tego nie zauważyła. Zjawiła się w salonie właśnie w momencie, kiedy Sarah otwierała drzwi do mieszkania, narzekając od samego progu:

— Nie znoszę w chryzantemach ich potwornego zapachu. Rzucę Noreen i zatrudnię się jako modelka. Sandra aż się pali, bym do niej przyszła. No i więcej zarobię. Cześć, mamó, czy miałaś kogoś na herbacie? — zapytała, widząc Edith zbierającą ze stołu filiżanki.

— Była tutaj Laura.

— Laura? Znów? Przecież była tu wczoraj.

— Wiem. — Ann wahała się przez minutę, jakby dobierając w myślach właściwe słowa. — Przyszła powiedzieć, że nie powinnam pozwolić ci zadawać się z Larrym Steene'm.

— Naprawdę? Jakie to miłe z jej strony. Ile troski o mnie. Czyżby brała mnie za czerwonego kapturka, a Larry'ego za wielkiego, złego wilka?

— Najwidoczniej. Zdaje się, że Lawrence Steene cieszy się nie najlepszą opinią.

— Też mi coś! Każdy o tym wie. W hallu chyba leżą jakieś listy, mamó. — Sarah wyszła i za chwilę wróciła, trzymając w dłoni list z afrykańskim znaczkiem.

— Sarah, posłuchaj, co do ciebie mówię — ciągnęła Ann. — Według Laury powinnam w ogóle położyć kres twojej ostatniej znajomości.

— Co takiego? — Sarah, wpatrzona w list, spytała dość nieprzytomnie.

— Sarah, Laura uważa, że powinnam położyć kres twojej znajomości z Lawrence'em!

— Kochanie, a to niby w jaki sposób?

— No właśnie! Zadałam Laurze podobne pytanie — zawołała Ann triumfująco. — Matki w dzisiejszych czasach są zupełnie bezradne.

Sarah usiadła na poręczy fotela i otworzyła list. Rozłożyła dwie kartki i zaczęła czytać.

Ann widać to nie przeszkadzało; mówiła dalej:

— Trzeba sobie uświadomić wiek Laury. Moja przyjaciółka tak się już zestarzała, że kompletnie nie nadąża za nowoczesnością. Co nie znaczy, że mnie samą nie martwi, choćby trochę, afiszowanie się córki z Larrym Steene'm. Zdecydowałam jednak, Sarah, że nie będę z tobą o tym rozmawiać, aby nie pogarszać sprawy. Poza tym wiem, że mogę ci ufać i że nie narobisz żadnych głupstw...

Sarah, pochłonięta listem, mruknęła:

— Oczywiście, kochanie.

— ...no i nie mam zamiaru narzucać ci przyjaciół. Sama powinnaś ich sobie dobrać. Myślę, że dlatego czasami powstają tarcia między...

Zadzwonił telefon.

— O nieba! Znów ten telefon! — zawołała Ann i pełna nadziei podbiegła do aparatu.

— Halo... Tak, mówi pani Prentice... Tak... Kto mówi? Nie mogę zrozumieć nazwiska... Cornford, powiedział pan? Och, C-A-U-L-D... Ależ jestem nierozgarnięta. To na-

prawdę ty, Richardzie?... Tak, tyle czasu... Dobrze, to miło z twojej strony... Nie, oczywiście, że nie... Nie, bardzo się cieszę... Oczywiście... Doprawdy?... Tak, byłam ciekawa, co się z tobą dzieje... Co takiego?... Mówisz serio?... W takim razie cieszę się. Moje najlepsze gratulacje... Nie wątpię, że jest czarująca... Tak, miło z twojej strony... Chętnie bym ją poznała...

Sarah podniosła się z poręczy fotela i ruszyła z wolna w stronę drzwi. Szła, nic nie widząc. W oczach miała pustkę, a w dłoni zmięty list.

Ann mówiła dalej:

— Nie, jutro nie mogę... naprawdę, ale zaczekaj chwilę. Mam tu gdzieś kalendarzyk...

— Zawołała ponagląco: — Sarah!

Sarah przystanęła w drzwiach.

— Tak, mamo?

— Gdzie jest mój kalendarzyk?

— Twój kalendarzyk? Nie mam pojęcia.

Sarah była myślami gdzie indziej. Ann powiedziała z irytacją:

— No to idź i poszukaj. Gdzieś przecież jest. Może w mojej sypialni, na stoliku przy łóżku. Kochanie, pośpiesz się, proszę!

Sarah wyszła posłusznie z pokoju, by powrócić po chwili z kalendarzykiem.

— Proszę, mamo.

Ann zaczęła gorączkowo wertować strony.

— Jesteś tam jeszcze, Richardzie...? Nie, lunch mi nie odpowiada. A nie wpadlibyście na kieliszek wina w czwartek...? Nic z tego...? A na czwartkowy lunch? Też nie...? Odjeżdżacie porannym pociągiem...? Tak, rozumiem. Gdzie się zatrzymaliście...? Och, to przecież tuż za rogiem. W takim razie wpadnijcie na chwilę... Tak, miałam wyjść, ale to nic ważnego, mam jeszcze sporo czasu... To wspaniale. Przychodźcie zaraz.

Odłożyła słuchawkę i zapatrzyła się przed siebie nie widzącym spojrzeniem.

Sarah zapytała przez grzeczność:

— Kto to był? — i dodała z wysiłkiem: — Mamo, Gerry pisze...

Ann otrząsnęła się jak po długim śnie.

— Powiedz Edith, niech przyniesie najlepsze kieliszki i szklanki, i trochę lodu. I to prędko. Wpadną tu za chwilę.

Sarah posłusznie ruszyła ku drzwiom.

— O kim mówisz, mamo? — spytała obojętnie.

— O Richardzie. O Richardzie Cauldfieldzie!

— A kto to jest?

Ann popatrzyła na nią ostro, lecz twarz Sarah nie przejawiała żadnych uczuć. Zgodnie z poleceniem wyszła do kuchni. Kiedy wróciła, Ann powiedziała raz jeszcze z przejęciem:

— To był Richard Cauldfield.

— Kto to jest Richard Cauldfield? — Do Sarah nadal nic nie docierało.

Ann, czując narastający gniew, zacisnęła dłonie. Minęła minuta, albo i dwie, nim zdołała przemówić.

— Jak to, nawet nie pamiętasz jego imienia i nazwiska?

Oczy Sarah jeszcze raz powędrowały w stronę listu, który ścisnęła w dłoni. Powiedziała najnormalniej w świecie:

— A powinnam? Czyżbym go znała?

Głos Ann stał się chrapliwy. Słowa wypowiedziane z wielką emfazą tym razem nie mogły ujść uwagi córki.

— Richard Cauldfield.

Sarah popatrzyła na nią przestraszona. Nagle wszystko pojęła.

— Co takiego? Nie powiesz chyba, że to Kalafior?

— Właśnie on.

Dla Sarah zabrzmiało to jak dobry żart.

— Czyżby wracał? — zapytała pogodnie. — Nadal ma na ciebie oko, mamo?

— Nie — Ann odparła krótko. — Richard Cauldfield jest żonaty.

— Niezła robota. Ciekawe, jak też wygląda pani Cauldfield.

— Za chwilę się przekonasz. Zatrzymali się tuż za rogiem, w Langport, więc za chwilę tu będą. Tylko proszę, upchnij gdzieś te książki. I wynieś swoje rzeczy do hallu. Rękawiczki też.

Ann otworzyła torebkę i przyjrzała się sobie w podręcznym lusterku.

— Dobrze wyglądam? — zapytała córkę, kiedy ta na powrót znalazła się w salonie.

— Wręcz ślicznie — odparła Sarah, nawet nie zadając sobie trudu, by spojrzeć na matkę. Miała swoje zmartwienia.

Ann tymczasem zamknęła torebkę; krążąc niespokojnie po pokoju, to poprawiała ustawienie foteli, to przekładała z miejsca na miejsce poduszkę po poduszce.

— Mamo, miałam wiadomości od Gerry'ego.

— Naprawdę?

Wazon z rdzawymi chryzantemami prezentowałby się lepiej na brzegu stołu.

— Miał okropnego pecha.

— Naprawdę? Cygarniczka tu, a tu zapałki.

— Tak, coś złego stało się z pomarańczami, drzewa dotknęła jakaś choroba, a on i jego wspólnik popadli w długi i... i teraz muszą wszystko sprzedać. Cała wyprawa skończyła się kłapą.

— Jaka szkoda. Ale nie powiem, by mnie to zaskoczyło.

— Dlaczego?

— Gerry'emu chyba zawsze zdarzały się podobne historie — padła wymijająca odpowiedź.

— Tak... rzeczywiście. — Sarah była przybita. Oburzenie się na Gerry'ego nie przychodziło jej teraz tak łatwo jak poprzednio. Powiedziała niezdecydowanie: — Choć, mamo, to nie musi być jego wina...

— Może i nie — zgodziła się Ann obojętnie. — Jednak obawiam się, że ten chłopak ma szczególne inklinacje do robienia rzeczy bezsensownych.

Sarah znów przysiadła na poręczy fotela. Zapytała poważnie:

— Mamo, czy ty myślisz, ale tak naprawdę, że Gerry nigdy do niczego nie dojdzie?

— Nie zdaje mi się.

— Ale przecież... Ja wiem, jestem pewna, że Gerry ma wiele zalet.

— To czarujący młody mężczyzna, nie przeczę, ale jednocześnie to ktoś, kto nigdy nie potrafi przystosować się do otoczenia.

— Cóż... — westchnęła Sarah.

— Gdzie jest sherry? Richard zawsze przedkładał sherry nad dżin. Och, jest.

— Gerry pisze, że wybiera się do Kenii; on i jego kumpel. Zamierzała sprzedawać samochody i prowadzić warsztat.

— To nadzwyczajne — skomentowała Ann — jak wielu życiowych pechowców kończy na warsztacie samochodowym.

— Nie mów tak. Gerry to złota rączka, jeśli chodzi o samochody. Kupił kiedyś grata za dziesięć funtów i wyczarował z niego wspaniały wóz. No i wiesz, mamo, Gerry w gruncie rzeczy wcale nie jest leniwy i wcale nie wykręca się od pracy. Potrafi pracować, i to przeraźliwie ciężko. Gerry, jak mi się zdaje, po prostu mija się z właściwą oceną rzeczy.

Pierwszy raz od początku rozmowy do Ann dotarł sens słów córki. Zareplikowała łagodnie, lecz zdecydowanie.

— Wiesz, Sarah, na twoim miejscu, przestałabym zawracać sobie głowę Gerrym.

Usta Sarah zadrżały.

— Tak mówisz, mamo? — Pełne niepokoju pytanie dziewczyny zawisło w próżni; czyjaś ręka, niecierpliwie i, zdawałoby się, bezdusznie, naciskała dzwonek u drzwi.

— Oto i oni — powiedziała Ann, stając przy kominku w raczej sztucznej pozie.

Rozdział czwarty

Richard wszedł do salonu ze zbyt pewną siebie miną, jaką przybierał za każdym razem, kiedy czuł się zakłopotany. W tym przypadku, być może, chodziło o Doris. Bo Doris, co rzucało się w oczy, była osobliwym stworzeniem: wiecznie nadąsanym i z wiecznymi pretensjami do męża. Ładna, o wiele młodsza od Richarda, za wszelką cenę starała się wykazać swą niezależność.

Ann, czarująco uśmiechnięta, postąpiła parę kroków do przodu, aby przywitać gości. Czuła się jak aktorka na scenie.

— Richardzie, jak miło znów cię widzieć! A to twoja żona, nieprawdaż?

Wszyscy troje zachowywali wszelkie konwenanse i rozmawiali uprzejmie, jednak ich myśli biegły własnym torem.

Ależ ona się zmieniła... Ledwo ją poznaję... pomyślał Richard. W istocie ta kobieta nie pasowałaby do mnie. Zbyt elegancka... Zbyt modna... Z tych, co to lubią się bawić. Nie, to nie mój typ, rozważał z uczuciem ulgi.

Richard na nowo poczuł przypływ uczucia do swojej żony, Doris, którą, zważywszy na jej wiek, traktował prawie po ojcowsku. Zdarzały się jednak chwile, kiedy z przykrością musiał przyznać wobec samego siebie, że ciągła troskliwość o nią denerwuje go, a jej nieustająca poza małej dziewczynki również jest nieco nużąca. Nie przeszkadzało mu to, że w pewnym sensie popełnił mezalians (poznał Doris w pewnym hotelu na południowym wybrzeżu; jej rodzina miała mnóstwo pieniędzy, a ojciec, budowniczy, był na emeryturze), choć od czasu do czasu rodzice żony działali mu na nerwy. Pobrali się rok temu; Richard zaakceptował przyjaciół Doris, choć życie z nią to nie było dokładnie to, o czym marzył... Był świadom, że ta kobieta nigdy nie zastąpi miejsca dawno zmarłej Aline. Lecz dzięki drugiej żonie przeżywał — w pewnym sensie — drugą młodość i, jak na razie, to mu wystarczało.

Doris, do tej pory podejrzliwa czy wręcz zazdrosna jeśli chodzi o panią Prentice, teraz, przyglądając się twarzy Ann, wyraźnie się ucieszyła. No nie, przecież to stary rupieć, zawyrokowała w duchu.

Natomiast duże wrażenie na młodej pani Cauldfield wywarła zarówno elegancja pani domu i jej córki (zwłaszcza tej ostatniej, której suknia była niby żywcem wyjęta z „Vogue’a”), jak salon i jego umeblowanie. Akcje męża, którego kiedyś łączyły związki uczuciowe z kimś takim jak Ann Prentice, z miejsca podskoczyły.

Dla Ann widok Richarda był niejakim szokiem. Mężczyzna, przemawiający z niezwykłą pewnością siebie, kiedyś tak bliski, zdawał się zupełnie obcym człowiekiem. Zresztą nie tylko on był dla niej obcy; ona dla niego też. Ich drogi się rozminęły i dla obojga nie było już mowy o jakiegokolwiek płaszczyźnie porozumienia. Ann zawsze dostrzegała w Richardzie pewną skłonność do pompatyczności, a także pewną ograniczoność umysłu. A przecież był to normalny mężczyzna, który mógł jeszcze wiele w życiu dokonać. Teraz zatrasnęły się przed nim drzwi do świata. Richard, ten którego Ann kochała, był banalnym przykładem angielskiego męża: prostodusznego i lekko nadętego.

Spotkał i poślubił to pospolite, chciwe dziecko, pozbawione wszelkich przymiotów serca i umysłu, którego jedyną kartą przetargową były biel i róż policzków i młodzieńczy, niedojrzały seksapil.

Poślubił tę dziewczynę, ponieważ ona, Ann, odprawiła go z kwitkiem. Kipiąc gniewem i urazą, stał się łatwym łupem dla pierwszej lepszej samiczki, która zadała sobie dość trudu, aby go do siebie zwabić. Cóż, może i dobrze, że tak się stało. Należy mieć nadzieję, że jest szczęśliwy...

Sarah przyniosła napoje i zabawiała towarzystwo uprzejmą rozmową. Jej myśli biegły prostym torem i mieściły się w jednej frazie: „Para skończonych nudziarzy!” Nie było w nich miejsca na żadne podteksty. Natomiast podświadomie wracała ciągle do listu Gerry’ego.

— Widzę, że przemeblowałaś cały salon, Ann.

Richard rozglądał się dokoła.

— Jak tu uroczo, pani Prentice — zaszczębiotała Doris. — Cała ta regencja to ostatni nabytek, prawda? A co było przedtem?

— Staromodne tapety w różyczki — niezbyt pewnie objaśnił Richard. W jego pamięci przechował się obraz ciepłego blasku kominka oraz Ann, siedzącej z nim na starej sofie, która została skazana na banicję tylko dlatego, by na jej miejsce można było wstać kanapę w stylu empire. — Wolałem tak, jak było przedtem.

— Mężczyźni są tak przerażająco tradycyjni, zgodzi się pani ze mną, pani Prentice? — wdzięczyła się Doris.

— Moja żona jest zdecydowana zrobić ze mnie nowoczesnego mężczyznę.

— Oczywiście, że jestem, kochanie. Nie pozwolę ci stetryczeć przed czasem — czule powiedziała Doris. — Nie uważa pani, pani Prentice, że Richard wygląda o całe lata młodziej, niż kiedy gościł tutaj po raz ostatni?

Ann unikała spojrzenia Richarda.

— Według mnie pani mąż wygląda wspaniale.

— Zacząłem grać w golfa — wyznał Richard.

— Znaleźliśmy dla siebie dom w pobliżu Basing Heath. Po prostu mieliśmy szczęście. Richard może codziennie zażywać ruchu. No i co za wspaniałe tereny golfowe. Oczywiście w weekendy jest bardzo tłoczno.

— To rzeczywiście nadzwyczajne szczęście, znaleźć w tych czasach dom, jakiego się szuka — przyznała Ann.

— Tak. Gotujemy na kuchence podłączonej do sieci i mamy całe mnóstwo najnowocześniejszych elektrycznych sprzętów. Richard wdychał do domku z czerwonej cegły, w klasycznym stylu, ale ja powiedziałam: nie! My, kobiety, jesteśmy po prostu praktyczne, prawda?

— Jestem pewna, że w tak nowocześnie urządzonym domu mieszka się o wiele wygodniej — wybrnęła dyplomatycznie Ann. — A mają państwo ogród?

Jedno z małżonków powiedziało: „Niezupełnie”, drugie wykrzyknęło z entuzjazmem: „O tak!”

Doris spojrzała na Richarda z wyrzutem.

— Jak możesz tak mówić, kochanie? Przecież właśnie wysadziliśmy wszystkie cebulki!

— Ćwierć akra wokół domu — mruknął Richard.

Spojrzenia Richarda i Ann na chwilę skrzyżowały się. Zdarzało im się kiedyś rozmawiać o ogrodzie, jaki chcieliby mieć, gdyby przyszło im mieszkać na wsi. Ogrodzony warzywnik i trawnik z drzewami...

Richard pośpiesznie zmienił temat, zwracając się do Sarah:

— No, młoda damo, a co słyhać u ciebie? — Jego dawna nerwowość wróciła jak na zawołanie. Całkiem niewinne słowa, jak kiedyś, tak i teraz, miały w sobie coś z protekcyjnego poklepywania po plecach. — Mnóstwo szalonych przyjęć, jak przypuszczam?

Sarah roześmiała się uprzejmie, myśląc w duchu: Zdążyłam już zapomnieć, jak obmierzły był ten cały Kalafior. Mama ma szczęście, że w porę się z nim rozprawiłam.

— Och, tak — odparła. — Ale z zasady nie upijam się częściej niż dwa razy w tygodniu.

— Dzisiejsze dziewczęta piją o wiele za dużo. Zniszczysz sobie cerę; choć muszę przyznać, że teraz wyglądasz bardzo dobrze.

— Zawsze przejawiałeś zainteresowanie kosmetykami, o ile pamiętam.

Sarah podeszła do Doris, która rozmawiała z Ann.

— Może jeszcze jeden kieliszek?

— Och nie, dziękuję, panno Prentice, nie mogę sobie pozwolić na więcej. Nawet ten pierwszy uderzył mi do głowy. Jakież to piękny barek. Niezwykle szykowny, prawda?

— Tak, bardzo poręczny — wtrąciła Ann.

— Nie jesteś jeszcze mężatką, Sarah? — zapytał Richard.

— Och, nie. Mam jednak nadzieję, że będę.

— Pewnie bywa pani w Ascot i w innych wytwornych miejscach, czyż nie tak? — zazdrościła głośno Doris.

— Deszcz zniszczył mi w tym roku najlepszy kostium — odparła Sarah.

— Przyznam się, pani Prentice — Doris zwróciła się na powrót do Ann — że zupełnie inaczej sobie panią wyobrażałam.

— A jak, jeśli wolno wiedzieć?

— Ach, to wina Richarda. Mężczyźni nigdy nie celują w opisach.

— Więc jak opisywał mnie pani mąż?

— Och, sama nie wiem. Właściwie nie chodzi o to, co on powiedział, tylko o wrażenie, jakie odniosłam na podstawie jego słów. Aż do dzisiaj byłam przekonana, że jest pani takim spokojnym, nieśmiałym biedactwem. — Zaśmiała się piskliwie.

— Spokojne, nieśmiałe biedactwo? Jakże żałośnie to brzmi!

— Och, nie, Richard zachwycał się panią przeogromnie, naprawdę. Czasami, przynajmniej, byłam dość zazdrosna.

— Ależ to absurdalne.

— Cóż, na to nie ma rady. Czasami, zwłaszcza wieczorną porą, kiedy Richard zapada w fotel i nie chce ze mną rozmawiać, dokuczam mu mówieniem, że myśli o pani.

(Myślisz o mnie, Richardzie? Naprawdę? Nie wierzę. Nie wierzę. Na pewno usiłujesz nie myśleć o mnie tak jak ja dokładam starań, by nie myśleć o tobie).

— Jeśli będzie pani w pobliżu Basing Heath, proszę nas koniecznie odwiedzić, pani Prentice, ale to koniecznie.

— To miło z pani strony. Zrobię to z przyjemnością.

— Oczywiście, podobnie jak inni, tak i my mamy wielkie kłopoty ze służbą. Zatrudniamy tylko kobietę na przychodne, choć czasami i o taką trudno.

Richard, uciekając od kulejącej rozmowy z Sarah, zapytał:

— Rozumiem, że nadal masz swoją starą Edith, Ann.

— Tak, rzeczywiście. Zginęłybyśmy bez niej.

— Zapamiętałem ją jako świetną kucharkę. Do dziś wspominam dania, które przyrządzała na kolację. To były bardzo przyjemne małe przyjęcia.

Zapadło kłopotliwe milczenie.

Jedno z takich małych przyjęć: blask ognia w kominku... zasłony w bukietiki róż... Ann, jej ciepły głos i orzechowobrazowe włosy... Rozmowa... Plany na przyszłość... na szczęśliwą przyszłość... Wracająca ze Szwajcarii córka... Gdybyż wtedy wiedział, jak wiele może stracić...

Ann nie spuszczała z niego wzroku. Przez jedną krótką chwilę zobaczyła prawdziwego Richarda, swojego Richarda, wpatrzonego w nią smutnymi, pamiętającymi oczami.

Prawdziwy Richard? Czyż Richard, należący do Doris, nie był równie prawdziwy jak Richard Ann?

Lecz oto jej Richard odszedł po raz drugi. To Richard należący do Doris, powiedział jej, Ann: żegnaj. Jeszcze parę zdawkowych zdań, jeszcze kilka pochwał pod adresem gospodyni. Boże! Czyż oni nigdy nie pójdą? Ta paskudna, chciwa mała kobietka i ten jej afektowany, mizdrzący się głos. Biedny Richard... Och, biedny Richard! Lecz to ona była wszystkiemu winna. To ona wysłała go do tamtego hotelowego hallu, hallu, w którym już czekała na swą zdobycz Doris.

Lecz czy Richard naprawdę jest biedny? Ma młodą, ładną żonę. Jest szczęśliwy. Prawdopodobnie.

Wreszcie! Wreszcie sobie poszli! Sarah, odprowadziwszy ich grzecznie do drzwi, wróciła do salonu z głośnym „ufff” na ustach.

— Dzięki Bogu, już po wszystkim! Wiesz mamó, udało ci się. W porę się wywinęłaś.

— Chyba tak — przytaknęła Ann na pół świadomie.

— Pozwól, że zadam ci niedyskretne pytanie: czy wyszłabyś za niego teraz?

— Nie — odparła Ann. — Nie wyszłabym.

(Daleko odeszliśmy od tamtego miejsca i upłynęło wiele czasu od tamtej chwili, w której skrzyżowały się nasze drogi. Ty, Richardzie, poszedłeś w swoją stronę, a ja w swoją. Nie jestem tamtą kobietą, która spacerowała z tobą po St James's Park, ani ty nie jesteś mężczyzną, z którym chciałam się wspólnie zestarzeć... Jesteśmy dwojgiem innych ludzi, ludzi obcych sobie. Ciebie nie obchodzi mój obecny wygląd. Ja stwierdzam, że jesteś nudny i pompatyczny...).

— Zanudziłabyś się na śmierć, wiesz, że tak — nieustępliwy, bezwzględny, młody głos ciągnął swoje.

— Tak. — Ann ważyła każde słowo. — To prawda. Zanudziłabym się na śmierć.

(Nie mogłam siedzieć tu aż do dzisiaj, oczekując na starość. Musiałam wyjść z domu, musiałam się zabawić, coś się musiało dziać.)

Sarah pieszczotliwie wsparła dłonie na ramionach matki.

— Nie można wątpić, najdroższa moja, że najbardziej lubisz dobrą zabawę. Zanudziłabyś się na śmierć, tkwiąc na przedmieściu w skąpym ogródku, nie mając nic do roboty oprócz czekania na powrót Richarda do domu kwadrans po szóstej albo na to, by ci dokładnie opowiedział, jak zaliczył czwarty dołek za trzecim uderzeniem! Ty w ogóle nie pasujesz do żadnego ogrodu na wsi.

— Kiedyś chciałam taki mieć.

(Stary ogród za parkanem i trawnik z drzewami, i mały domek z czasów królowej Anny, z czerwonej cegły. A Richard nie grywałby w golfa, lecz podlewał krzewy róż i sadił dzwonki pod drzewami. A gdyby nawet zabrał się do golfa, to ona byłaby uszczęśliwiona czwartym dołkiem za trzecim uderzeniem!)

Sarah czule pocałowała matkę w policzek.

— Powinnaś być mi bardzo wdzięczna, skarbie, za wyciągnięcie cię z całej tej historii. Gdybym nie zaprotestowała, wyszłabyś za niego.

Ann odsunęła się z lekka od córki i spojrzała na nią jakby z oddali.

Gdyby nie ty, wyszłabym za niego. A teraz? Teraz już tego nie pragnę. On już dla mnie nic nie znaczy.

Podeszła do kominka i przesunęła palcami po gzymsie. Jej oczy nagle pociemniały ze zdumienia i bólu. Szepnęła sama do siebie:

— Nic... W ogóle nic... jakże okrutnie potrafi z człowieka zadrwić życie!

Sarah podeszła do barku i naląła sobie kolejny kieliszek. Stała chwilę niespokojnie, aż wreszcie, siłąc się na obojętny ton, powiedziała:

— Mamo... chyba lepiej będzie, jak ci powiem. Larry chce, bym wyszła za niego.

— Lawrence Steene?

— Tak.

— I co ty na to? — zapytała Ann po chwili milczenia.

Wyzywające spojrzenie, jakie Sarah rzuciła matce, trafiło w próżnię; Ann nie patrzyła na nią.

— Sama nie wiem...

Jej głos przypominał głos samotnego przestraszonego dziecka. Oczy błagały o odrobinę nadziei. Cóż, kiedy twarz Ann miała daleki, nieobecny wyraz.

— Zatem rób, jak uważasz.

— Tak, mamo.

Na pobliskim stoliku leżał zapomniany list Gerry'ego. Sarah podniosła go. Chwilę obracała w dłoni gęsto zapisane stronicę, aż w końcu wybuchnęła:

— Nie wiem, co mam zrobić. Mamo!

— Nie widzę sposobu, by ci pomóc — rzuciła oschle Ann.

— Powiedz przynajmniej, co o tym myślisz. Powiedz cokolwiek!

— Już ci powiedziałam, że ten człowiek nie cieszy się dobrą opinią.

— Och, to! To się nie liczy. Zanudziłabym się na śmierć z wzorem wszelkich cnót.

— Lawrence Steene jest bogatym człowiekiem, wiem o tym. Mógłby ci stworzyć świetne warunki. Lecz jeśli ci na nim nie zależy, nie powinnaś tego robić.

— Zależy mi, i owszem. W pewnym sensie.

Ann podniosła się i spojrzała na zegarek.

— Zatem — powiedziała wesoło — w czym problem? Wielkie nieba, zapomniałam, że idę dzisiaj do Eliotów. Jestem już okropnie spóźniona.

— Tak czy inaczej, nie jestem pewna... — Sarah urwała. — Bo widzisz...

— Czyżby poza Lawrence'em Steene'em był jeszcze ktoś?

— No, niezupełnie. — Sarah znów popatrzyła na wciąż trzymany w dłoni list Gerry'ego.

— Czyżbyś jeszcze myślała o Gerrym? — zirytowała się Ann. — Dawno powinnam ci go wybić z głowy. Gerry to żaden kandydat na męża. Im prędzej zdasz sobie z tego sprawę, tym lepiej.

— Pewnie masz rację, mammo...

— Jestem całkowicie przekonana, że mam. Zapomnij o Gerrym. Jeśli nie zależy ci na Steenie, nie wychodź za niego. Jesteś jeszcze bardzo młoda. Masz dużo czasu.

Sarah przystanęła, markotna, obok kominka.

— Lawrence... myślę, że jednak mogłabym się zdecydować. Pomijając wszystko inne, to szalenie atrakcyjny mężczyzna. Och, mammo — głos Sarah przeszedł w krzyk — ale co tak naprawdę powinnam zrobić?!

— Doprawdy, Sarah — Ann nie tajiła zdenerwowania i złości — zachowujesz się jak dwuletnie dziecko! Czyż mogę za ciebie podejmować takie decyzje? To na tobie spoczywa odpowiedzialność za własne życie. Na tobie, na nikim innym.

— Przecież wiem.

— No więc? — dopytywała się niecierpliwie Ann.

— Myślałam, że w jakiś sposób potrafisz mi pomóc.

— Już ci to raz powiedziałam: nie musisz wychodzić za nikogo, jeśli tego nie chcesz.

— Mammo, a czy nie pozbyłabyś się mnie chętnie z domu?

— Sarah, jak możesz wygadywać takie rzeczy? — sprzeciwiła się ostro Ann. — Oczywiście, że nie. Też mi pomysł!

— Przepraszam. Nie myślałam na serio. Tylko że teraz w naszym domu wszystko się zmieniło. Przedtem potrafiłyśmy śmiać się z byle czego przez całe popołudnie, a teraz wciąż mi się zdaje, że sama moja obecność działa ci na nerwy.

— Rzeczywiście, od czasu do czasu tracę cierpliwość — powiedziała chłodno Ann. — Ale czy ty nie jesteś wybuchowa?

— Tak, mammo. I skłonna jestem wziąć całą winę na siebie — powiedziała Sarah refleksyjnie. — Większość moich przyjaciółek powychodziła już za mąż. Pam i Betty, i Susan. Joan nie, lecz ją pochłania polityka. — Zamilkła na chwilę, jakby się nad czymś zastanawiając. — Chyba cieszyłoby mnie małżeństwo z Lawrence'em. To wspaniale mieć suknie i futra; wszystko, czego dusza zapagnie.

Ann stwierdziła oziębło:

— W takim razie rzeczywiście powinnaś poślubić kogoś bogatego, Sarah, skoro masz aż takie wymagania. Nigdy nie wystarczą ci własne dochody.

— Nienawidzę ubóstwa!

Ann wzięła głęboki oddech. Czowała swą nieszczerłość i sztuczność i doprawdy nie wiedziała, co powiedzieć.

— Kochanie, nie licz na moją radę. Naprawdę uważam, że powinnaś wziąć życie we własne ręce. Nie mogę ci niczego nakazać ani zakazać. Musisz zdecydować sama za siebie. Rozumiesz to, Sarah, czy nie?

Sarah odparła pośpiesznie:

— Oczywiście, najdroższa. Chyba straszna ze mnie nudziara, prawda? Nie chcę cię dłużej zamęczać. Powiedz mi tylko jedno: co ty, tak w głębi serca, myślisz o Lawrence'cie.

— On nie zaprzęta moich myśli i nie żywię w stosunku do niego żadnych uczuć.

— Czasami, tak mi się przynajmniej zdaje, ty się go boisz.

— Kochanie — Ann zaśmiała się rozbawiona — mówisz głupstwa.

— Zgoda, mamó, ale...

Sarah zaczęła drzeć list od Gerry'ego, powoli, systematycznie, na coraz to mniejsze strzępki. Potem rzuciła je w powietrze i obserwowała, jak opadają niby białe płatki śniegu.

— Biedny, niepoprawny Gerry — wyszeptwała sama do siebie. — Potem zerknęła na matkę spod oka i zapytała: — Czy ty, mamó, w ogóle zauważasz, co się ze mną dzieje?

— Sarah! Tego już za wiele.

— Przepraszam, miałam cię nie zanudzać, ale wiesz, czasami czuję się dziwnie. Zupełnie tak, jakbym błądziła wśród śnieżnej zamieci, nie mogąc odnaleźć drogi do domu... To okropne uczucie. Wszystko wokół mnie się zmienia. Wszyscy się zmieniają... Ty mamó też. Już nie jesteś taka sama jak kiedyś.

— Wygadujesz głupstwa, moja mała. A ja naprawdę muszę już iść.

— Jeśli tak mówisz... Czy to ważne przyjęcie?

— Cóż, chętnie bym zobaczyła nowe freski Kit Eliot.

— Rozumiem. — Sarah zamilkła. — Wiesz mamó — odezwała się po chwili — chyba naprawdę jestem bardziej zainteresowana Lawrence'ciem, niż sądziłam.

— Nie byłabym zdziwiona — powiedziała Ann lekkim tonem. — Lecz nie śpiesz się z nadmiernym podejmowaniem ostatecznej decyzji. Do widzenia, mój cukiereczku, muszę lecieć.

Za Ann zatrzasnęły się frontowe drzwi. Edith, z tacą w ręku, przeszła z kuchni do salonu, aby pozbierać puste naczynia.

Sarah nastawiła patefon i z melancholijną zadumą słuchała piosenki Paula Robesona *Jakbym był sierotą*.

— Że też panienka musi tego słuchać! — skomentowała Edith. — Mnie tam takie kawałki doprowadzają do płaczu.

— A mnie się podobają.

— Kwestia gustu — mruknęła Edith pod nosem, po czym zauważyła zgryźliwie: — I po co to ustawiać popielniczki, kiedy i tak każdy strzepuje popiół, gdzie popadnie.

— To dobrze robi dywanom.

— Tak się tylko mówi. A dlaczego to panienka porzuciła po podłodze tyle śmieci? Kosz na zużyty papier stoi tam gdzie zawsze, pod ścianą...

— Przepraszam cię, Edith. Nie pomyślałam. Porozrywałam na kawałki swoją przeszłość i chciałam, by wypadło to efektownie.

— I komu to mówić o przeszłości, patrzcie no! — parsknęła Edith, lecz przyjrzawszy się twarzy Sarah zapytała łagodnie: — Coś nie tak, moja śliczna?

— Nie, wszystko w porządku. Rozmyślam o zamążpójściu, Edith.

— Nic pilnego. Niech panienka poczeka, aż się zjawi ten jedyny.

— A bo to ważne, za kogo się wyjdzie. I tak wszystkie małżeństwa źle się kończą.

— Nie życzę sobie słuchania takich bredni, panienko Sarah! Lepiej będzie, jak się dowiem, czym się panienka gryzie.

— Chcę sobie stąd pójść — wyznała Sarah.

— A co to, zbrzydł już panience własny dom?

— Sama nie wiem. Wszystko jest takie inne. Dlaczego, Edith?

— Panienka dorasta, i na to nie ma rady.

— Czyżby tylko o to chodziło?

— Całkiem możliwe.

Edith ruszyła do drzwi, trzymając w ręku tacę z brudnym szkłem. W połowie drogi zawróciła. Odstawiła tacę i pogłaskała Sarah po głowie, tak jak robiła to dawno temu w pokoju dzieciennym.

— Dobrze już, dobrze, moja śliczna. Uspokój się.

Wpadając w nagłe uniesienie, Sarah skoczyła na równe nogi, ujęła Edith w talii i w szaleńczym rytmie zaczęła wywijać z nią walca dookoła salonu.

— Wychodzę za mąż, Edith. Czy to nie zabawne? Wychodzę za pana Steene'a. Za kogoś z fortuną. Za szalenie atrakcyjnego mężczyznę. Czyż nie poszczęściło mi się? No, powiedz sama.

Edith, wrywając się z jej objęć, gderała po swojemu:

— I kto by nadażył za taką postrzeloną pannicą. Najpierw płacz, potem śmiech. Panienko Sarah, co to wszystko znaczy?

— Jestem szalona. Oszalałam, Edith. Kupię ci na moje wesele prześliczną nową sukienkę; ze szkarłatnego aksamitu. Co ty na to?

— Wesele to nie koronacja. Coś się panience pomyliło.

Sarah wcisnęła w rękę Edith tacę i popchnęła służącą ku drzwiom.

— Idź już, idź, staruszeko, i przestań zrzędzić.

Edith podejrzliwie pokręciła głową i wyszła. Sarah wróciła na środek salonu. Nagle rzuciła się na kanapę i zanosła płaczem.

Na patefonie kręciła się jeszcze ta sama płyta, a głęboki, przesycony melancholią głos powtarzał w kółko te same słowa: *Jakbym był sierotą — bez matki i domu.*

Księga trzecia

Rozdział pierwszy

Edith krzątała się po kuchni wolno, na sztywnych nogach. Ostatnio coraz częściej odczuwała „swoją” reumatyzm, a to nie poprawiało jej humoru. Wciąż jednak, z uporem godnym lepszej sprawy, wzbraniała się przed przyjęciem do pomocy kogoś, kto wzięłby na siebie część gospodarskich obowiązków.

Co prawda kobieta, którą Edith, parskając gniewnie, nazywała „tą panią Hopper”, została wreszcie dopuszczona do wykonywania pewnych czynności (raz w tygodniu i pod jej zazdrosnym okiem), lecz dalsze propozycje ulżenia doli starej służącej były niezmiennie odrzucane, do tego z tak jadowitą zaciekłością, że biada śmiałkowi, który odważyłby się przekroczyć progi jej królestwa.

— Zawsze dawałam sobie radę sama — brzmiało sztandarowe hasło.

Tak więc dawała sobie radę dalej, choć w atmosferze świętego męczeństwa i z coraz bardziej zgorzkniałym wyrazem twarzy. Ponadto ostatnio miała zwyczaj burczeć pod nosem przez większość dnia.

Tak było i w tej chwili.

— Też mi pomysł, przywozić mleko w porze lunchu! Mleko powinno być dostarczane przed śniadaniem, nie inaczej. Bezcelny smarkacz! Jedzie taki jeden z drugim w tym swoim białym kaftanie, i jeszcze pogwizduje. Bardziej przypomina ważnego dentystę niż mleczarza...

Chrzęst klucza w zamku przerwał potok jej słów. Jeszcze tylko mruknęła:

— Zaraz tu będzie piekło! — i ze wściekłym chlupotem wypłukała butelkę pod kranem.

— Edith? — dobiegł z hallu głos Ann.

Służąca wyjęła ręce ze zlewu i wysuszyła je dokładnie ligninowym ręcznikiem.

— Edith... Edith...

— Idę już, idę, proszę pani.

— Edith!

Edith uniosła brwi i wyszła z kuchni z gorzkim wyrazem twarzy. Przeszła przez hali do salonu, gdzie Ann Prentice przeglądała dzisiejszą korespondencję.

— Czy dzwoniłaś do Laury Whitstable?

— Tak, dzwoniłam.

— A czy powiedziałaś, że chcę się z nią pilnie zobaczyć? Czy obiecała przyjść?

— Obiecała. Miała zaraz wyjść z domu.

— No to dlaczego jeszcze jej nie ma? — dopytywała się Ann ze złością.

— Telefonowałam nie dalej jak dwadzieścia minut temu. Zaraz po pani wyjściu.

— Ale teraz mogłaby już nadejść.

Głos Edith złągodniał:

— Cierpliwość nigdy nie zaszkodzi, proszę pani. I po co się tak denerwować.

— Czy powiedziałaś jej, że byłam chora?

— Powiedziałam, że była pani w jednym ze swoich stanów.

— Co to znaczy, w jednym z moich stanów? — Zezłościła się Ann. — Chodzi o moje nerwy. Są w strzępach.

— To prawda, nie inaczej.

Ann rzuciła swojej wiernej towarzyszce złe spojrzenie; nie przestawała krążyć niespokojnie między oknem a kominkiem. Edith stała nieruchomo, obserwując swoją panią; jej wielkie, niezgrabne dłonie, poznaczone pracą, przesuwają się jednostajnym ruchem w górę i w dół fartucha.

— Ledwo trzymam się na nogach — posypały się skargi Ann. — Ostatniej nocy nie zmrużyłam oka. Czuję się okropnie... okropnie... — Usiadła w fotelu i przyłożyła dłonie do skroni. — Wprost nie wiem, co się ze mną dzieje.

— Ja wiem. Za dużo tego ganiań po mieście. Widział to kto, w pani wieku?

— Edith! — krzyknęła Ann. — Jesteś impertynencka. Ostatnio nie sposób z tobą wytrzymać. Służysz u mnie od dawna i doceniam twoje usługi, lecz jeśli będziesz sobie za dużo pozwalać, odejdiesz.

Edith wzniosła oczy ku sufitowi i przybrała minę męczennicy.

— Nie odejdę. I basta.

— Odejdiesz, jeżeli dam ci wymówienie.

— No to będzie pani głupsza, niż mi się zdaje. Ja znajdę sobie inne miejsce bez wątplenia. Agencje będą się o mnie bić. Ciekawe tylko, jak pani sobie poradzi? Jak nic, skończy się na kobietach na przychodne. Albo na jakiejś cudzoziemce. Zobaczy pani, wszystko smażone na oleju, zmarnowany żołądek, nie mówiąc o pięknych zapachach w całym domu. Taka to i przez telefon się nie rozmówi. Przekręci każde nazwisko. A jakże, może sobie pani znaleźć i miłą, i porządnicką, i gładką w języku — za dobrą, żeby to była prawda — ale niech tam, i któregoś dnia wróci pani do domu tylko po to, żeby popatrzeć sobie po pustych szafach; ucieknie z futrami i całą biżuterią. Dopiero co słyszałam o takim wypadku, koło Playne Court. Nie, pani to musi mieć dom oporzędzony jak się patrzy, tradycyjnie, proszę pani. Ja gotuję małe porcyjki, w sam raz dla pani i dla pa-

nienki Sarah, i ja nie tłukę pani ładnej zastawy, kiedy ją czyszczę, jak te młode dziewuszyska, ladaco jedna z drugą. Pani zginie beze mnie, wiadomo, i dlatego powtarzam: nie odejdę. Może sobie pani na mnie używać do woli; jak świat światem każdy musi dźwigać swój krzyż. Tak mówi Pismo Święte. Widać moim krzyżem jest pani; poniosę go, jestem chrześcijanką.

Ann zacisnęła oczy i kołysała się z boku na bok, jęcząc.

— Och, moja głowa... Moja głowa...

Sztywna surowość Edith złagodniała, jej oczy wypełniły się tkliwością.

— Dobrze już, dobrze. Zrobię pani filiżankę gorącej herbaty.

— Nie chcę herbaty. Nienawidzę herbaty! — krzyknęła Ann ze złością.

Edith najpierw głęboko westchnęła, potem wzniosła oczy ku niebu, a jeszcze potem, burcząc pod nosem: „Jak pani uważa”, wyszła z salonu.

Ann sięgnęła po papierośnicę, wyjęła papierosa, zapaliła, przez chwilę wydmuchiwała dym, po czym zgmiotła niedopałek w popielniczkę. Wstała i zaczęła przemierzać pokój tam i z powrotem.

Mniej więcej po minucie podeszła do telefonu i wybrała numer.

— Halo... Halo... Czy mogę mówić z lady Ladscombe? Och, to ty Marcia, kochanie? — zaszczębiotała wesoło. — Co słyhać?... Och, nic takiego, doprawdy. Tak sobie pomyślałam, że zadzwonię do ciebie... Nie wiem, kochanie... Po prostu jest mi przeraźliwie smutno. Wiesz, jak to bywa. Idziesz gdzieś jutro na lunch?... Ach tak... W czwartek wieczorem? Świetnie, jestem wolna. To wspaniale. Zdzwonię się z Lee, może jeszcze z kimś, i urządzimy przyjęcie. Będzie cudownie... Zadzwonię do ciebie rano.

Kiedy słuchawka opadła na widełki, Ann opuściło chwilowe ożywienie. Znow zaczęła przemierzać pokój: tam i z powrotem, tam i z powrotem. Wtem zadzwonił dzwonek. W jej oczach rozbłysła nadzieja; zatrzymała się w pół kroku, nasłuchując.

— ...oczekuje w salonie — usłyszała ostatnie słowa Edith i w tym samym momencie w drzwiach pojawiła się Laura Whitstable. Wysoka, groźna, odpychająca, lecz z drugiej strony zasługująca na zaufanie, solidna niczym skała stercząca pośrodku wzburzonego morza.

Ann rzuciła się ku niej, z narastającą histerią wykrzykując bezładne słowa.

— Och, Lauro... Lauro... Przyszłaś... Lauro, jakże się cieszę...

Brwi Laury Whitstable podniosły się, a jej oczy stały się czujne i skupione. Położyła dłonie na ramionach przyjaciółki i popchnęła ją łagodnie w stronę kanapy. Kiedy usiadły obok siebie, Laura powiedziała:

— W porządku, w porządku, Ann. Powiedz mi tylko, co to wszystko znaczy.

Ann nie mogła się opanować, nadal mówiła histerycznym tonem:

— Och, tak się cieszę, tak się cieszę. Jesteś tutaj, Lauro. A już myślałam, że oszaleję.

— Nonsens, moja droga — powiedziała z mocą Laura Whitstable. — No więc, jakiś kłopot?

— Nie. Nic podobnego. To tylko moje nerwy. Przeraza mnie ich stan. Nie mogę sobie znaleźć miejsca. Nie wiem, co się ze mną dzieje.

— Hm. — Laura zlustrowała Ann badawczym, profesjonalnym spojrzeniem. — Nie wyglądasz za dobrze.

Tak naprawdę wygląd tej biednej, rozhisteryzowanej kobiety mógł niejednego przerazić. Spod grubego makijażu przebierała zmizerowana twarz; Ann wyglądała o lata starszej niż kilka miesięcy temu, kiedy obie przyjaciółki widziały się po raz ostatni.

— Ach, nic mi nie jest. To tylko... Sama nie wiem, co. Nie mogę spać, chyba że po proszkach. I tak bardzo się irytuję, i wpadam w gniew bez powodu.

— Byłaś u lekarza?

— Ostatnio nie. Zresztą... po co? Lekarze dają brom i radzą się nie przemęczać.

— Bardzo dobra rada.

— Nie, to czysty absurd. Nigdy nie byłam nerwowa, Lauro, wiesz, że nie. Nie miałam pojęcia, co to nerwy.

Laura Whitstable zamilkła na moment, wspominając Ann Prentice sprzed trzech lat. Ann, z jej pogodą ducha, jej spokojem, jej radością życia, słodyczą i opanowaniem. Poczuli się głęboko zasmucona tym, co stało się z jej przyjaciółką.

— Łatwo ci teraz mówić, że nie byłaś nerwową kobietą. Ktoś, kto chodzi o kulach, kiedyś też miał sprawne nogi.

— Ale skąd mi się to wszystko bierze?

Laura Whitstable wołała odpowiedzieć ostrożnie.

— Twój lekarz miał rację. Prawdopodobnie się przemęczasz, Ann.

— Nie mogę siedzieć w domu i przez cały dzień stroić min do lustra — rzuciła ostro Ann.

— Można siedzieć w domu i nie stroić min do lustra.

— Nie. — Ann zatrzepotała nerwowo dłońmi. — Nie potrafię siedzieć, ot, tak sobie, i nic nie robić.

— Dlaczego nie? — padło krótkie, podchwytliwe pytanie.

— Nie wiem. — W Ann narastał niepokój. — Nie mogę być sama. Nie mogę... — Rzuciła Laurze rozpaczliwe spojrzenie. — Pewnie zaraz powiesz, że jestem szalona, skoro boję się być sama?

— Jak dotychczas, jest to jedyna rozsądna wypowiedź z twojej strony — oświadczyła Laura dobitnie.

— Rozsądna? — zdziwiła się Ann.

— Tak, ponieważ nie mija się z prawdą.

— Z prawdą? — Powieki Ann opadły. — A cóż ty rozumiesz przez słowo „prawda”?

— Rozumiem to, że bez prawdy nigdzie nie dojdziemy.

— Och, daj spokój, Lauro. Ty nigdy nie lękałaś się samotności.

— Masz rację.

— A więc niczego nie jesteś w stanie pojąć.

— Ależ jestem, Ann. — Laura przemawiała teraz łagodnym głosem: — Dlaczego chciałaś, bym przysłała, moja droga?

— Musiałam z kimś porozmawiać... Musiałam... Zdawało mi się, że jeśli miałabym na kogoś liczyć, to tylko na ciebie.

Popatrzyła z nadzieją na swoją przyjaciółkę.

Laura pokiwała głową i westchnęła.

— Rozumiem. Liczysz na kuglarskie sztuczki.

— Nie możesz czegoś dla mnie zrobić, Lauro? Nie przydałaby mi się psychoanaliza, hipnoza albo coś z tych rzeczy?

— Jednym słowem, jakiś fetysz dzisiejszych czasów, tak? — Laura potrząsnęła stanowczo głową. — Nie potrafię wyczarować królika z kapelusza. Nawet dla ciebie, Ann. Musisz to zrobić sama. Ale najpierw powinnaś dokładnie wiedzieć, co jest w tym kapeluszu.

— Co masz na myśli?

Laura Whitstable nie odpowiedziała wprost.

— Nie jesteś szczęśliwa, Ann.

Ann zareagowała szybko, zbyt szybko.

— Ależ tak. Jestem. Przynajmniej w pewien sposób. Przyjemnie spędzam czas, bawię się.

— Nie jesteś szczęśliwa — powiedziała Laura Whitstable bezlitośnie.

Ann lekceważąco wzruszyła ramionami.

— A czy na tym świecie jest ktoś szczęśliwy?

— Bogu dzięki, całkiem sporo ludzi. Więc dlaczego ty nie jesteś?

— Nie wiem.

— Moja droga, wiesz, i to dobrze. A ja, poza prawdą, nie widzę dla ciebie innego ratunku.

Ann zamilkła. Widać było, że zмага się sama z sobą. W końcu nie wytrzymała dłużej napięcia; wybuchła:

— Ja myślę... jeśli mam być szczerą... po prostu dlatego, że się starzeję. Doszłam do wieku średniego, tracę świeży wygląd, i nie mam nic przed sobą.

— Och, moja droga! Nic? Naprawdę? Cieszysz się doskonałym zdrowiem, bystrym umysłem, a życie jest tak bogate, że mało kto ma czas, by w pełni w nim uczestniczyć przed nadejściem wieku w pełni dojrzałego. Mówiłam ci to już kiedyś. Książki, kwiaty, muzyka, obrazy, ludzie, słońce czyli wszystko to, co łączy się w jeden wspaniały splot, który nazywamy życiem.

Ann namyślała się chwilę, po czym rzuciła Laurze wyzwanie:

— Och, powiedziałałabym, że wszystko sprowadza się do seksu. Kiedy kobieta przestaje być atrakcyjna dla mężczyzny, nie liczy się już nic.

— W odniesieniu do pewnych kobiet... może i tak. Ale ty nie masz z tym nic wspólnego, Ann. Widziałaś albo czytałaś „Nieśmiertelną godzinę”? Pamiętasz te linijki: „Nadchodzi w życiu taka chwila, która może dać człowiekowi szczęście do końca dni jego, ale co zrobić, by jej nie przegapić?” Był w twoim życiu taki moment, prawda?

Twarz Ann złagodniała. Nagle zdała się Laurze o wiele młodsza.

— Tak. Był. Z Richardem. Z nim mogłam szczęśliwie dożyć starości.

— Wiem. — W głosie Laury zabrzmiało współczucie.

— A teraz — Ann mówiła dalej — nawet żał mi po nim nie zostało! Widziałam go, jak wiesz, mniej więcej rok temu, i co? Richard nic już dla mnie nie znaczy. I to właśnie jest tak tragiczne, tak absurdatne. Wszystko minęło. Oboje dla siebie nic już nie znaczymy. Mój dawny Richard stał się pospolitym mężczyzną w średnim wieku; trochę pompatyczny, dość nudny, a przede wszystkim ogłupiały na tle nowej, ładnej, próżnej i afektowanej żoneczki. Miłej; i owszem, lecz kompletnie nieciekawej. A mimo to... mimo to... gdybyśmy się pobrali, byłibyśmy szczęśliwi. Tak, na pewno.

— Tak — powiedziała Laura w zamyśleniu. — Myślę, że byłibyście.

— Byłam tak blisko szczęścia, otarłam się o nie... — głos Ann drżał litością nad zmarnowanym życiem — a potem... potem musiałam je wypuścić z rąk.

— Musiałaś?

Zdawało się, że Ann nie dosłyszała pytanie przyjaciółki.

— Zrezygnowałam ze wszystkiego dla Sarah!

— No właśnie. Ale nigdy jej tego nie wybaczyłaś, prawda?

Ann otrząsnęła się, przytomniejąc.

— Co to ma znaczyć?

Laura Whitstable parsknęła jadowicie.

— Poświęcenie! Przeklęte poświęcenie! Powinnaś wreszcie uświadomić sobie całą ułudę poświęcenia. Akt złożenia siebie w ofierze, choć heroiczny, nie odnosi się wyłącznie do jednego słodkiego momentu, kiedy człowiek czuje się szlachetny i wielkoduszny. Łatwo jest nadstawić pierś na cios sztyletu. Łatwo, bo w takim momencie przerastamy sami siebie. Potem jednak trzeba żyć z tym sztyletem, dzień po dniu, a to już nie jest takie łatwe. Do tego trzeba mieć charakter. A ty, Ann, nie miałaś go dość...

Twarz Ann zapłonęła gniewem.

— Podporządkowałam Sarah całe moje życie, dla niej zrezygnowałam ze szczęśliwego życia u boku człowieka, którego pokochałam, a teraz słyszę, że to jeszcze mało!

— Tak nie powiedziałam.

— Może i nie. Ale w twoim przekonaniu to ja jestem wszystkiemu winna!

— Wiesz, Ann, połowa kłopotów bierze się w życiu z tego, że uważamy siebie za lepszą, bardziej ludzką istotę, niż w rzeczywistości jesteśmy.

Ann nie słuchała. Tkwiła głęboko w swojej urazie.

— Sarah, jak wszystkie dzisiejsze dziewczęta, jest zakochana w sobie. Nie zauważa, że obok żyją inni ludzie! Czy wiesz, że przed rokiem, kiedy Richard zadzwonił, ona nawet nie wiedziała, kto to jest? Jego imię nic dla niej nie znaczy. Nic a nic.

Laura Whitstable pokiwała poważnie głową, z miną lekarza przekonanego o własnej nieomyślności.

— Rozumiem... rozumiem...

Ann zachłystywała się żalem.

— I co mogłam zrobić? Toczyli ze sobą wieczne boje. Moje nerwy nie wytrzymały ciągłych scen! Gdyby Richard nie odszedł, w domu nie byłoby chwili spokoju.

Laura Whitstable przerwała szorstko:

— Na twoim miejscu, Ann, zastanowiłabym się, czy zrezygnowałaś z Richarda Cauldfielda dla Sarah, czy dla własnego spokoju.

Ann poczuła się dotknięta.

— Kochałam Richarda. Choć Sarah kochałam bardziej...

— Nie, Ann, to nie takie proste. Śmiem sądzić, iż był taki moment, kiedy bardziej kochałaś tamtego mężczyznę niż własną córkę. Śmiem sądzić, iż właśnie wówczas skończyła się twoja wewnętrzna szczęśliwość, natomiast zaczęłaś żywić urazę do całego świata. Gdybyś zrezygnowała z Richarda z miłości do Sarah, nigdy nie znalazłabyś się w obecnym stanie. Zrezygnowałaś, bo byłaś słaba, bo nie umiałaś stawić oporu córce, bo chciałaś uciec od kłótni i awantur; to była porażka, a nie wyrzeczenie. Cóż, jak świat światem, nikt nie lubi przyznawać się do porażek, zwłaszcza przed samym sobą. Ann, tobie naprawdę zależało na Richardzie.

— A teraz ten mężczyzna nic dla mnie nie znaczy. — Głos Ann był pełen gorzkości.

— A co z Sarah?

— Pytasz o moją córkę?

— No jasne. Jak wiele Sarah znaczy dla ciebie?

Ann wzruszyła ramionami.

— Od czasu jej małżeństwa widzimy się rzadko. Pewnie jest bardzo zajęta i pewnie dobrze się bawi. Ale to tylko moje przypuszczenia.

— Widziałam ją wczoraj wieczorem... — Laura przerwała. — W restauracji, w pewnym towarzystwie. — Znów zamilkła, po czym oznajmiła bez ogródek: — Była pijana.

— Pijana? — W oczach Ann pojawił się popłoch. Mimo to roześmiała się. — Droga Lauro, nie bądź taka staroświecka. Wszyscy młodzi ludzie piją dzisiaj całkiem sporo. Wygląda na to, że przyjęcie dopiero wtedy jest udane, kiedy wszyscy są pod dobrą datą albo mają w czubie; nazwij to, jak chcesz.

Laura pozostała niewzruszona.

— Może i tak, a co do mnie, rzeczywiście jestem staroświecka, a przynajmniej w takim stopniu, by nie podobała mi się młoda kobieta, którą dobrze znam, pijana w publicznym miejscu. Ale powiem ci coś jeszcze. Rozmawiałam z Sarah. Źrenice jej oczu były rozszerzone.

— Co to oznacza?

— To oznacza jedną z tych rzeczy... powiedzmy, kokainę.

— Narkotyki?

— Tak. Mówiłam ci kiedyś, że Lawrence Steene był podejrzewany o udział w aferze narkotykowej. Och, nie dla pieniędzy, oczywiście. On to robił dla czystej sensacji.

— Mój zięć zawsze wydaje mi się zupełnie normalny.

— Cóż, jemu narkotyki nie przynoszą szkody; on tylko uwielbia eksperymentować z własnymi doznaniem. Mężczyźni jego pokroju potrafią nad sobą panować. Z kobietami bywa inaczej. Jeśli któraś jest nieszczęśliwa, wystarczy, by raz spróbowała, a już nie wyrwie się z nałogu.

— Sugerujesz, że moja córka jest nieszczęśliwa? — W głosie Ann brzmiało niedowierzanie. — Moja Sarah?

Laura Whitstable popatrzyła na nią zimnym wzrokiem.

— To ty powinnaś wiedzieć. Ty jesteś jej matką.

— Och! Przecież ona mi się nie zwierza.

— A dlaczego?

Ann wstała, podeszła do okna, potem wolno zawróciła do kominka. Laura Whitstable siedziała bez słowa, obserwując ją. Kiedy Ann zapaliła papierosa, Laura zaczęła drążyć dalej.

— Co dla ciebie, Ann, znacząłoby ewentualne nieszczęście Sarah?

— No wiesz, moja droga? Jak możesz zadawać takie pytania. To by mnie strasznie rozstroiło.

— Naprawdę? — Laura podniosła się. — Na mnie już pora. Śpieszę się na konferencję.

Skierowała się ku drzwiom, odprowadzana przez panią domu.

— Co masz na myśli, mówiąc „naprawdę”, Lauro?

— Gdzieś mi się zapodziały rękawiczki...

Poszukiwania przerwał ostry dzwonek. Edith wychynęła z kuchni i poczłapała do drzwi wejściowych.

Ann nadal nalegała:

— Masz coś, prawda, Lauro? Coś, czego nie chcesz powiedzieć.

— Ach, oto i one.

— Doprawdy, Lauro, nie zasłaniaj się rękawiczkami! Jesteś po prostu okropna!

Edith, z grymasem przypominającym uśmiech, zapowiedziała przybysza:

— Mamy gościa z zagranicy. To pan Lloyd, proszę pani.

Ann przypatrywała się Gerry'emu przez chwilę, jakby nie była pewna, czy ma go przyjąć.

Widziała go po raz ostatni ponad trzy lata temu, choć Gerry wyglądał tak, jakby tych lat minęło znacznie więcej. Z twarzy chłopaka i z całej postaci przeziierała gorycz poniesionych porażek. Że nie powiodło mu się w szerokim świecie, widać było już na pierwszy rzut oka; miał na sobie pospolity tweedowy garnitur, bynajmniej nie szyty na miarę, i podniszczone buty. Stał w progu salonu i uśmiechał się z powagą, żeby nie powiedzieć — ze zmieszaniem.

— Gerry, co za niespodzianka!

— Cieszę się, że pani mnie pamięta. Trzy i pół roku to kawał czasu.

— Ja także pana pamiętam, młody człowieku, lecz nie wydaje mi się, by pan pamiętał mnie — rzekła Laura Whitstable.

— Ależ oczywiście, pamiętam, pani Lauro. Pani nie sposób zapomnieć.

— Ładnie powiedziane, prawda, Ann? Niestety, muszę już iść. Do widzenia, Ann; do widzenia, panie Lloyd.

Gerry ruszył za Ann w stronę kominka. Usiadł i przyjął od niej papierosa.

— No więc, Gerry, opowiadaj, co się z tobą działo. Wróciłeś na dobre?

— Nie jestem pewien.

Spokojny wzrok chłopca, utkwiony w Ann, sprawił, że ta poczuła się odrobinę nieswojo. To nie był tamten Gerry sprzed lat. Co też on teraz sobie myśli?

— Napijmy się. Dżin z sokiem pomarańczowym czy z angosturą?

— Nie, dziękuję. Nie chcę nic. Przyszedłem, żeby z panią porozmawiać.

— To miło z twojej strony. Widziałeś Sarah? Wiesz chyba, że wyszła za męża. Za Lawrence'a Steene'a.

— Wiem. Pisała mi o tym, a teraz mówiła. Widziałem ją. Wczoraj wieczorem. I właśnie dlatego do pani przychodzę. Pani Prentice, proszę mi powiedzieć, dlaczego pozwoliła jej pani wyjść za tego człowieka?

— Gerry, mój drogi, no wiesz! — zachnęła się Ann, lecz Gerry mówił dalej, wykładając jasno swoje racje.

— Sarah jest nieszczęśliwa. Czyżby pani o tym nie wiedziała? Ona jest naprawdę nieszczęśliwa.

— Czy wiesz to od niej?

— Nie, oczywiście, że nie. Ona nigdy się do tego nie przyzna. Ale nie musi. Wystarczy na nią popatrzeć. Była w tłumie innych osób; zamieniliśmy ze sobą zaledwie kilka słów. Ale jej nieszczęście bije od niej na milę. Pani Prentice, dlaczego pani dopuściła do tego małżeństwa?

Ann czuła, jak narasta w niej złość i oburzenie.

— Mój drogi Gerry, czy nie zdaje ci się, że twoje zachowanie trąci absurdem?

— Nie, nie powiedziałbym. — Ważył coś w myślach przez chwilę. Jego szczerość i naturalność były rozbijające. — Widzi pani, Sarah dużo dla mnie znaczy. Zawsze znaczyła. Więcej niż ktokolwiek na świecie. Dlatego nie jest mi obojętne jej szczęście czy nie-szczęście. Doprawdy, jak też pani mogła pozwolić jej wyjść za Steene'a.

Ann przerwała gniewnie:

— No wiesz, Gerry, mówisz, jakbyś żył za królowej Wiktorii. Sarah nie pytała mnie o zdanie. Nie musiałam wyrażać czy nie wyrażać zgody na małżeństwo z Larrym Steene'em. Dzisiejsze dziewczęta poślubiają tego, na kogo im przyjdzie ochota, a rodzice nie mają nic do gadania. To Sarah wybrała Lawrence'a Steene'a, nie ja. Oto jak się sprawy przedstawiają.

— Mogła pani temu zapobiec. — Słowa Gerry'ego tchnęły spokojem i pewnością.

— Mój drogi chłopcze, im bardziej zabrania się komuś zrobienia czegoś, tym bardziej ten ktoś zacina się w głupim uporze.

Gerry spojrzał jej prosto w oczy.

— Czy pani próbowała?

Ann nie wytrzymała otwartego spojrzenia. Zaczęła gubić się w słowach i jąkać.

— Ja... Ja... Oczywiście, on był od niej dużo starszy... Nie cieszył się dobrą sławą. Tak, wskazywałam jej na to... ale...

— To najbrzydliwsze bydlę, jakie chodzi po ziemi.

— A cóż ty o nim wiesz, Gerry? Przecież nie było cię w Anglii przez lata.

— To powszechne przekonanie. Lawrence'a Steene'a znają wszyscy. Mam nadzieję, że pani do dziś nie zna najbardziej ciemnych kart jego życia, niemniej jednak chyba nie trudno było zauważyć, że się ma do czynienia ze zwykłym zwierzęciem, nie z człowiekiem.

— Lawrence zawsze był wobec mnie czarujący i uprzejmy — broniła się. — A poza tym, mężczyzna z przeszłością nie zawsze bywa złym mężem. Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie okropności ludzie potrafią wygadywać. Pociągał Sarah, więc zdecydowała się go poślubić. To nadzwyczaj dobrze sytuowany...

Gerry nie pozwolił jej dokończyć.

— Tak, wiem o tym. Lawrence Steene jest nadzwyczaj dobrze sytuowanym człowiekiem, lecz pani, pani Prentice, nie należy do kobiet, które wydają córkę za pieniądze. Pani nigdy nie była... nie była, że tak powiem... światową damą. Pani zależało wyłącznie na szczęściu Sarah, tak mi się w każdym razie zdawało. — Spojrzał na nią powątpiewająco.

— Oczywiście, chciałam, by moje jedyne dziecko było szczęśliwe. To sprawa nie podlegająca dyskusji. Lecz chodzi o to, Gerry, by nie ingerować w cudze życie. Można zdawać sobie sprawę, że ktoś postępuje niewłaściwie, lecz nie należy się mieszać.

— Czy Sarah bardzo chciała wyjść za niego?

— Sarah go bardzo kochała — rzuciła mu w twarz wyzwanie, lecz chłopak milczał. Mówiła dalej: — Nie spodziewam się, byś był tego świadom, jak bardzo kobiety szaleją za Lawrence'em.

— Myli się pani, wiadomo mi o tym doskonale.

Ann ożywiła się.

— A wiesz, Gerry, gdybym cię nie znała, potraktowałabym cię w tej chwili jak kogoś niepoczytalnego. Tylko z tego powodu, że kiedyś było coś między wami, między tobą i Sarah, dzisiaj przychodzisz do mojego domu i obwiniasz mnie za to, że Sarah poślubiła kogoś innego.

— Wiem, co robię. To rzeczywiście pani wina.

Mierzyli się wzrokiem przez dłuższą chwilę. Gerry poczerwieniał, twarz Ann zbleiała. Należało przerwać napiętą atmosferę.

— Tego już za wiele — powiedziała chłodno Ann, wstając z fotela.

Gerry także się podniósł. Pod pozornym opanowaniem i uprzejmością chłopca wyczuwało się nieprzejednane stanowisko.

— Proszę mi wybaczyć — powiedział — jeżeli byłem niegrzeczny...

— Takich słów się nie wybacz!

— Jak pani uważa. Proszę jednak pamiętać, że chodzi mi o Sarah. Ona jest jedynym człowiekiem na świecie, na którego szczęściu mi zależy. Nie potrafię wyzbyć się uczucia, że to pani doprowadziła do tak dla niej nieszczęśliwego związku.

— Coś podobnego!

— Mam zamiar uwolnić Sarah.

— Co takiego?

— Chcę ją przekonać, by opuściła to bydło.

— Ależ to nonsens. Absolutny nonsens. Tylko dlatego, że coś was kiedyś łączyło, młodego chłopca i młodą dziewczynę, dziecko prawie...

— Rozumiem Sarah, a ona rozumie mnie.

Ann roześmiała się hardo.

— Mój drogi Gerry, prędko się przekonasz, że przez trzy lata waszej rozłąki Sarah zmieniła się, i to bardzo.

Gerry zbladł.

— Nie musi mi pani tego mówić — powiedział cicho. — Sam widziałem... — Zawahał się, po czym dokończył spokojnie: — Ale dla mnie Sarah zawsze była i zawsze będzie kimś najważniejszym.

Wyszedł z salonu.

Ann naląła sobie szklankę dżinu.

— Jak on śmie — szeptała sama do siebie — jak on śmie... A Laura? Też jest przeciwko mnie. Wszyscy są przeciwko mnie. To nie fair... I cóż takiego zrobiłam? Nic, do prawdy...

Rozdział drugi

1

Kamerdyner, który otworzył drzwi przy Pauncefoot Square 18, popatrzył wyniośle na lichy garnitur Gerry'ego.

Następnie, napotkawszy spojrzenie gościa, powrócił do nienagannyh manier.

— Sprawdzę, czy pani Steene jest w domu — powiedział.

Chwilę potem Gerry został wprowadzony do przestronnego pokoju o przyćmionym świetle, pełnego egzotycznych roślin i bladych brokatów, gdzie, po kilku minutach, zjawiła się uśmiechnięta Sarah.

— Ach, Gerry! Jak to miło, że mnie odwiedziłeś. Nie było szans, by porozmawiać ubiegłej nocy; wciąż ktoś nam przeszkadzał. Napijesz się?

Poczęstowała go alkoholem, nalała szklankę sobie i usiadła na pufie przy kominku. Gerry, w półmroku pokoju, ledwo widział kontury jej twarzy, natomiast doskonale wyczuwał zapach drogich perfum, jakich Sarah nie używała za czasów ich znajomości.

— A więc, Gerry? — zapytała swobodnym tonem.

— A więc, Sarah? — Gerry odwzajemnił się uśmiechem. Potem, dotykając palcem jej ramienia, stwierdził: — Można by cię pomylić z jakimś mieszkańcem ogrodu zoologicznego, nie sądzisz?

Kosztowna szyfonowa suknia była przybrana miękkim, jasnym futrem.

— Jasne! — Sarah zgodziła się ochoczo.

— Ta-ak. Wyglądasz na bajecznie bogatą.

— Jestem bajecznie bogata, Gerry. Ale mów szybko, co u ciebie. Wyjechałeś z Afryki Południowej do Kenii. Od tamtej pory nie miałam żadnych wieści.

— Prawdę mówiąc, nie szczęściło mi się...

— Naturalnie... — padła natychmiastowa riposta.

— Co znaczy to twoje „naturalnie”?

— No, wiesz. Zawsze miałeś pecha.

Przez krótki moment było tak jak przedtem. Przed Gerrym siedziała dawna Sarah, dokuczliwa, celnie wyprowadzająca cios. Piękna kobieta o nieprzejednanej, zamkniętej twarzy, egzotyczna, obca istota, zniknęła jak senna zjawa. To była Sarah, jego Sarah, atakująca go dotkliwie i boleśnie.

Wpadając w swój dawny ton, Gerry pośpieszył z narzekaniem.

— Dobijała mnie jedna rzecz po drugiej. Najpierw przepadły zbiory, nie z mojej winy. Potem padło bydło.

— Wiem. Stara, bardzo stara i bardzo smutna historia.

— A potem, jakżeby nie, zabrakło mi kapitału. Gdybym tylko miał forszę...

— Wiem, wiem.

— Do diabła z tym, Sarah. To naprawdę nie była moja wina.

— Ty nigdy nie jesteś niczemu winien. Po co wróciłeś do Anglii?

— Tak naprawdę to umarła moja ciotka...

— Ciocia Lena? — Sarah dobrze знаła krewnych Gerry'ego.

— Tak. Wujek Luke umarł dwa lata temu. Stary skąpiec nie zostawił mi ani pensa.

— Wiedział, co robi.

— Ale ciotka Lena...

— Czyżby ci coś zostawiła?

— Tak. Dziesięć tysięcy funtów.

— Hm. To niezła sumka, nawet jak na dzisiejsze czasy — raczyła przyznać.

— Przyłączam się do kumpla, który ma rancho w Kanadzie.

— A cóż to za kumpel? To chyba istotne, nie uważasz? A poza tym, nie powiedziałaś mi jeszcze o warsztacie samochodowym, który miałeś prowadzić, także z kumplem, w tej twojej Afryce?

— Och, tamto! Kompletna kłapa. Nawet wystartowaliśmy, i to całkiem niezłe, ale potem przeholowaliśmy trochę, i przyszedł zastój w interesach...

— Dostyc. Nie musisz dalej mówić. Wszystko na jedną modłę. Twoją, Gerry.

— Tak — przyznał wprost. — Masz rację, jak się wydaje, nic ze mnie dobrego. I choć wmawiam sobie, że prześladowuje mnie cholerny pech, to jednak biję się w piersi: raz po raz wychodzę na głupca. Ale zamknijmy raz na zawsze tamten rozdział mojego życia. Tym razem będzie inaczej.

— Ciekawe — powiedziała zgryźliwie.

— Daj spokój, Sarah. Nie uważasz, że dobrze dostałem w kość i że się czegoś nauczyłem?

— Nawet niech ci się nie zdaje. Ludzie nigdy nie uczą się na własnych błędach. Tobie, Gerry, potrzebny jest menedżer jak gwiazdom filmowym i aktorkom teatralnym. Ktoś, kto ma praktyczny umysł i powstrzyma cię przed zbytnim optymizmem w krytycznych momentach.

— Może i masz rację. Ale wiesz, tym razem na pewno mi się uda. Będę piekielnie ostrożny. — Zamilkł, lecz nie na długo. — Wczoraj złożyłem wizytę twojej matce — wypalił nagle.

— Naprawdę? To miło. I co u niej? Wciąż się gdzieś szalenie śpieszy?

— Twoja matka bardzo się zmieniła.

— Tak myślisz?

— Tak.

— A jaka jest teraz?

— Nie bardzo wiem, jakich użyć słów. — Zawahał się. — Przede wszystkim jest prze-
rażliwe nerwowa.

— A kto dzisiaj nie jest — stwierdziła beztrzesko Sarah.

— Kiedyś taka nie była. Zawsze zaskakiwał mnie jej spokój i... i... niech ci będzie...
taka dziwna słodycz...

— To brzmi jak hymn pochwalny!

— Wiesz dobrze, co mam na myśli. A teraz się zmieniła. Zmieniło się w niej wszyst-
ko: włosy, ubranie, sposób poruszania się, dosłownie wszystko.

— Trochę się rozruszała, nic poza tym. Zresztą, dlaczego nie miałyby używać życia,
biedactwo? Nie ma nic gorszego niż starzenie się. Ach, ludzie się zmieniają, nie tylko
moja matka. — W głosie Sarah pojawiła się nuta wyzwania: — We mnie pewnie też do-
patrzyłeś się zmian.

— Nie, skądże znowu.

Sarah poczerwieniała.

— Na przekór temu strojowi — Gerry raz jeszcze dotknął kosztownej sukni — i bi-
żuterii od Woolwortha — dotknął z kolei diamentowej gałązki spinającej suknię na
ramieniu — i całej tej luksusowej oprawie, nadal jesteś prawie tą samą Sarah... moją
Sarah.

Sarah poruszyła się niespokojnie, jednak jej głos pozostał taki sam — wesoły:

— A ty wciąż jesteś starym poczciwym Gerrym. Kiedy wyruszasz do Kanady?

— Niedługo. Gdy tylko pozałatwiam formalności z prawnikami.

Wstał.

— Idę sobie. Spotkamy się któregoś dnia w mieście?

— Nie, przyjdź do nas na obiad. Albo urządzimy przyjęcie. Musisz poznać
Larry'ego.

— Poznałem go wczoraj, jak mi się zdaje.

— Ach, to trwało chwilę.

— Niestety, przykro mi, lecz nie mam czasu na przyjęcia. Przejdź się ze mną które-
goś ranka do parku, Sarah.

— Kochanie, rano nie nadaję się do niczego. Obrzydliwa pora dnia.

— Wprost przeciwnie. Ranek sprzyja wyważonym, spokojnym myślom.

— A komu zależy na takich myślach, Gerry?

— Myślę, że nam obojgu. Zgódź się, Sarah. Zrobimy dwie rundki wokół Regent's
Park. Jutro rano. Będę czekał przy Hanover Gate.

— Czy ty zawsze musisz mieć takie dzikie pomysły, Gerry? A w ogóle, to co ty masz na sobie? Cóż to za garnitur?

— Porządnie znoszony, moja miła.

— No tak, ale ten krój!

— Snobka! Jutro o dwunastej, przy Hanover Gate. I nie wstaw się dzisiaj w nocy. Lepiej, żebyś nie miała kaca.

— Czyżbyś uważał, że wczoraj się wstawiłam?

— A może nie?

— Ach, tam było tak smętnie. Jedyne ratunek w kieliszku, zwłaszcza dla dziewczyny. Gerry powtórzył:

— Do jutra. Hanover Gate. Dwunasta w południe.

2

— No więc przyszłam. I co dalej? — spytała Sarah wyzywająco.

Gerry zlustrował ją od stóp do głów. Była piękna. Porażająco piękna, o wiele piękniejsza niż trzy lata temu. Zauważył wykwintną prostotę jej stroju, wielki szmaragd na palcu. Pomyślał: Jestem szalony. Ale nie zawahał się.

— Co dalej? Idziemy na spacer.

Obeszli wielki staw, przeszli przez ogród różany i usiedli w mało uczęszczanej części parku. Gerry wziął głęboki oddech.

— Teraz przechodzimy do sedna sprawy. Sarah, jedziesz ze mną do Kanady?

Dziewczyna osłupiała.

— Na miły Bóg, co to ma znaczyć?

— Dokładnie to, co słyszysz.

— Chodzi ci o coś w rodzaju wycieczki? — zapytała niezdecydowanie.

Gerry uśmiechnął się od ucha do ucha.

— Nie, chodzi mi o wyjazd na dobre. Zostaw męża i jedź ze mną.

Sarah zaśmiała się.

— Gerry, czyś ty zwariował? Przecież nie widzieliśmy się prawie cztery lata...

— Czy to ma jakieś znaczenie?

Sarah zaczynała tracić pewność siebie.

— Nie, chyba nie...

— Cztery lata, pięć lat, dziesięć, dwadzieścia? Co za różnica? Ty i ja należymy do siebie. Jestem o tym przekonany od zawsze. A ty? Nie czujesz tego?

— Tak, w pewnym sensie — przyznała Sarah. — Lecz to, co proponujesz, jest niemożliwe.

— Nie widzę tu niczego niemożliwego. Gdybyś wyszła za mąż za przyzwoitego człowieka, który dałby ci szczęście, nie powstałaby mi w głowie myśl, bym się wtrącał w nie swoje życie. — Zniżył głos. — Lecz ty nie jesteś szczęśliwa, prawda, Sarah?

— Jestem szczęśliwa. Podobnie jak większość ludzi — broniła się dzielnie.

— Nie, nie udawaj. Wpadłaś, Sarah. On rujnuje ci życie, doprowadza cię do rozpaczy.

— Jeżeli nawet tak, to nikomu nic do tego. Każdy sam płaci za własne błędy.

— Lawrence Steene chyba nie przejmuje się specjalnie własnymi błędami.

— Przestań, Gerry!

— Kiedy to prawda.

— Mniejsza o to. Twój pomysł i tak jest dostatecznie zwariowany. Przecież to czyste szaleństwo!

— Czy dlatego, że stawiam sprawę jasno? Sądysz, że lepiej by było, gdybym bawił się w podchody? Nie potrzebujemy nawzajem o siebie zabiegać. Jak już powiedziałem, należymy do siebie. Wiesz o tym dobrze, Sarah.

Sarah westchnęła.

— Przyznaję, kiedyś strasznie mi na tobie zależało.

— Zależało? Tylko zależało?

Sarah popatrzyła na niego. Przestała udawać.

— Tak myślisz? Jesteś pewien?

— Tak, jestem pewien.

Zapadło milczenie. Potem Gerry powiedział łagodnie:

— Pojedziesz ze mną, Sarah?

Sarah znów westchnęła. Usiadła prosto, otuliła się ciasniej futrem. Zerwał się wiatr, poruszając konarami drzew.

— Przykro mi, Gerry, ale odpowiedź brzmi: nie.

— Dlaczego?

— Po prostu nie mogę tego zrobić.

— Ludzie opuszczają mężów i żony każdego dnia.

— Może. Ale nie ja.

— Chcesz mi powiedzieć, że kochasz Lawrence'a Steene'a?

Sarah potrząsnęła przecząco głową.

— Nie, nie kocham go. Nigdy go nie kochałam. Choć przyznaję, że swego czasu fascynował mnie. Cóż, jakby tu powiedzieć... Lawrence Steene najzwyczajniej w świecie umie sobie radzić z kobietami. — Otrząsnęła się ze wstrętem. — Wiesz, Gerry, tak trudno przychodzi człowiekowi uwierzyć w absolutne zło drugiego człowieka. Ale gdybym miała to zrobić, tym kimś byłby na pewno Lawrence. Dlatego że czyny, które popełnia, nie wynikają z gorącej krwi czy z bezradności wobec własnych popędów. On po prostu pozwala sobie na eksperymenty z ludźmi i z całym światem.

— To skąd się biorą twoje skrupuły? Dlaczego nie chcesz od niego odejść?

— Nie chodzi o skrupuły — powiedziała niecierpliwie. — To obrzydliwe, że ludzie tak często zasłaniają się szlachetnymi pobudkami. Słuchaj Gerry, lepiej będzie, jeżeli poznasz całą prawdę o mnie. Będąc żoną Lawrence'a przyzwyczaiałam się do... do, powiedzmy, pewnych rzeczy. Nie chcę ich stracić. Stroje, futra, pieniądze, drogie restauracje, przyjęcia, służba, samochody, jacht... To wszystko daje poczucie wygody i zbytku. Upajam się luksusem. A ty przychodzisz i proponujesz mi pionierskie życie na farmie zagubionej w bezkresnych lasach. Nie mogę. Nie chcę. To nie dla mnie. Mnie zepsuły pieniądze i luksus.

Gerry oświadczył spokojnie:

— Odwykniesz od pieniędzy i luksusu. To kwestia czasu.

— Och, Gerry! — Sarah była na granicy płaczu i śmiechu. — Ty jesteś tak rzeczowy.

— Po prostu chodzę po ziemi.

— A jednak nie rozumiesz połowy z tego, co ci mówię.

— Nie?

— To nie tylko pieniądze. Są także inne rzeczy. Nie rozumiesz? Zrobiłam się okropna. Przyjęcia, jakie wydajemy, miejsca, w których bywamy...

Przerwała, czerwieniąc się.

— W porządku — rzekł spokojnie Gerry. — Jesteś zepsuta. Coś jeszcze?

— Tak. Jest coś... coś, do czego się przyzwyczaiałam... coś, bez czego nie potrafię żyć.

— Coś? — Ujął mocno podbródek dziewczyny i zmusił ją do spojrzenia na siebie.

— Obiło mi się to i owo o uszy. Mówisz o narkotykach, tak?

Sarah kiwnęła głową.

— One dają fantastyczne odczucia.

— Posłuchaj. — Głos Gerry'ego stwardniał. — Pojedziesz ze mną i skończysz z tym towarem.

— Myślisz, że potrafię?

— Zobaczymy — zapowiedział groźnie.

Sarah odprężyła się. Westchnęła i oparła się o Gerry'ego, lecz on się odsunął.

— Nie. Nie licz na to. Nie pocałuję cię.

— Ach, tak. Rozumiem. Mam podjąć decyzję z zimną krwią.

— Jasne.

— Jesteś niesamowity!

Zamilkli oboje na dobrą chwilę. Ciszę przerwał Gerry, choć niełatwo przychodziło mu dobrać słowa.

— Nikt mi nie musi mówić, ile mam wad. Sam je zdążyłem policzyć. Zdążyłem też narobić wokół siebie porządnego zamieszania. Wiem, że nie będziesz miała wiele, zdając się na mnie. Ale wierzę w jedno, święcie wierzę, że kiedy będziesz przy mnie, spiszę się lepiej. Jesteś bystra, Sarah. Wiesz, jak zabrać się za faceta, który popuszcza sobie cugli.

— No, no, ale masz o mnie wyobrażenie!

Gerry nalegał nieustępliwie:

— Wiem, że będą ze mnie ludzie. Tobie za to zgotuję piekło na ziemi. Urobisz sobie ręce po łokcie. Tak, to będzie prawdziwe piekło. Nie mam pojęcia, skąd we mnie tyle odwagi, by namawiać cię do wyjazdu. Lecz wierz mi, Sarah, oprócz prawdziwego piekła poznasz prawdziwe życie.

— Prawdziwe życie... — Sarah powiedziała sama do siebie.

Wstała z krzesła i ruszyła przez park. Gerry siedł tuż obok.

— Pojedziesz, Sarah?

— Nie wiem.

— Sarah, kochanie.

— Dość, Gerry. Nic już nie mów. Powiedziałeś wszystko, co miało być powiedziane. Resztę zostaw mnie. Muszę pomyśleć. Dam ci znać...

— Kiedy?

— Wkrótce...

Rozdział trzeci

— A to ci niespodzianka!

Edith, otwierając drzwi, wykrzywiła swą zgorzkniałą twarz, usiłując uśmiechnąć się.

— Jak się masz, Edith, staruszko. Mama w domu?

— Spodziewam się jej lada moment. Jak to dobrze, że panienka przyszła. Matka panienki rozpogodzi się choć trochę.

— Czy aż ja jestem do tego potrzebna?

— Z moją panią dzieje się coś bardzo niedobrego. Martwię się o nią, ot co. — Edith weszła za Sarah do salonu. — Nie może usiedzieć spokojnie ani dwóch minut i nie da sobie nic powiedzieć. Pewnie jest chora, nie inaczej.

— Przestań krakać, Edith. Ty każdemu wróżysz śmierć.

— Na pewno nie panience, co to, to nie. Panienka wygląda kwitnąco. Tfu! Rzucąc takie śliczne futra na podłogę! Cała panienka. Takie śliczności musiały kosztować majątek.

— A choćby i dwa...

— Żadna panienki przyjaciółka takim się nie pochwali. Na pewno w szafach panienki wisi dużo takich ładnych rzeczy.

— Chyba na to zasłużyłam. Jak ktoś sprzedaje duszę, powinien żądać godziwej ceny.

— Tak się ze mną nie rozmawia, panienko Sarah — poskarżyła się Edith. — Panienka zawsze to w górę, to w dół. Jeszcze nie zapomniałam, jak to mi panienka powiedziała, że wydaje się za pana Steene'a i jak to panienka tańczyła ze mną, tu, w tym pokoju, jak szalona. „Wychodzę za mąż... Wychodzę za mąż” powtarzała panienka w kółko.

— Przestań, Edith. Nie chcę tego słuchać — zaprotestowała ostro Sarah.

Twarz służącej stała się czujna.

— Dobrze już, dobrze, kochaniutka. Dwa pierwsze lata zawsze najgorsze. Trzeba je przetrwać, potem jakoś się to uładzi, zobaczy panienka.

— Mało optymistyczny pogląd na małżeństwo, Edith.

— A pewnie. Jak panienka chce wiedzieć, małżeństwo to najgorszy interes, ale bez niego swat by nie istniał. Jakbym miała odwagę, to bym zapytała panienkę: dzieciątko jeszcze nie w drodze?

— Nie, Edith, jeszcze nie.

— A szkoda. Panienska jest trochę nieswoja, to i szukam powodu. Młode mężatki często zachowują się kapryśnie. Moja starsza siostra, jak była przy nadziei, poszła kiedyś do sklepu i nagle zachciało jej się dużej, soczystej gruszki, prosto ze skrzynki. Chwyła ją i zaczęła gryźć bez opamiętania. „Ależ, proszę pani, co pani robi”, obruszył się młody pomocnik. Ale właściciel sklepu, człowiek żonaty, wiedział, jak to jest. „W porządku, synu. Ja obsłużę tę panią”. Nawet sobie za gruszkę nie policzył. Wiadomo, jego żona trzynaście razy miała zachcianki, to i dla mojej siostry był wyrozumiały.

— To pech, mieć trzynaścioro dzieci — stwierdziła Sarah. — Ale ty, Edith, masz wspianą rodzinę. Słucham o niej od kołyski.

— O, tak. Naopowiadałam paniencie niemało historii. Bo też z panienki było bardzo poważne stworzenie; i ciekawe wszystkiego. Och, przypomniało mi się. Parę dni temu był tutaj młody dżentelmen, co to kiedyś przychodził do panienki. Pan Lloyd. Widziała go panienska?

— Tak, Edith.

— Wygląda dużo starzej, ale jaki opalony, ho, ho. Trzeba długo przebywać w zagranicznych krajach, żeby tak się opalić. Powiodło mu się?

— Niespecjalnie.

— Szkoda, panienko. Nie ma nim kto pokierować, ot i całe nieszczęście.

— Pewnie tak. Czy naprawdę mama prędko wróci?

— Och, tak, panienko Sarah. Musi się przebrać, dzisiaj też wychodzi na kolację. Jak panienska chce wiedzieć, to powiem, że dobrze by jej zrobiło parę spokojnych wieczorów we własnym domu.

— Cóż, mama chyba robi to, co lubi.

— Wciąż ten pośpiech. — Edith prychnęła pogardliwie. — To nie dla niej. Ona zawsze lubiła spokój.

Sarah szarpnęła głową; słowa Edith potrafiły w niej czuć strunę pamięci.

— Tak, moja matka była pogodna i spokojna. Gerry mówi to samo. To zabawne, jak bardzo się zmieniła w ciągu ostatnich trzech lat. A ty, Edith, też tak uważasz?

— Tak, czasami zdaje mi się, że to nie moja pani.

— Stała się inna... Stała się... — Sarah przerwała. Zamyśliła się. — Czy matki zawsze są oddane swoim dzieciom? Jak myślisz, Edith?

— A jak by inaczej? Taka jest ludzka natura.

— Lecz czy w ludzkiej naturze leży i to, by chuchać i dmuchać na dzieci, gdy te, dorastając, wyrrywają się w świat? Zwierzęta tak nie robią.

Edith była oburzona.

— Patrzcie no! Zwierzęta! My jesteśmy chrześcijanami. Proszę nie mówić głupstw, panienko Sarah. I proszę pamiętać słowa: „Syn jest synem, dopóki nie weźmie sobie żony. Lecz córka jest córką przez całe twoje życie”.

Sarah roześmiała się.

— Uzbierałabym wśród znajomych co najmniej tuzin matek, które nienawidzą własnych córek jak trucizny. Znam też córki, którym niepotrzebne są matki.

— Powiem jedno, panienko Sarah. Tak nie powinno być. To nieładnie.

— Ale o wiele, wiele zdrowiej, Edith. Tak mówią nasi psychologowie.

— No to mają robaczywe umysły.

— Zawsze byłam do szaleństwa oddana mamie, jako osobie, nie jako matce.

— A matka poświęcała się dla panienki, panienko Sarah.

Sarah zamyśliła się.

— Czy ja wiem...

Edith parsknęła.

— Panienka nie ma pojęcia, co się z nią działo, kiedy panienka, mając czternaście lat, zachorowała na zapalenie płuc...

— Och tak, wtedy. Ale teraz...

Trzasnęły frontowe drzwi. Edith powiedziała:

— No i doczekała się panienka.

Ann wpadła zadyszana, ściągając z głowy zabawny mały kapelusik z różnobarwnych piór.

— Sarah? Jaka miła niespodzianka. Och, jakże ten kapelusz uwiera mnie w głowę. Która godzina? Jestem potwornie spóźniona. Spotykam się z państwem Ladesbury o ósmej u Chaliana. Chodźmy zatem do mnie, muszę się przebrać.

Sarah posłusznie skierowała swoje kroki do sypialni matki.

— Co u Lawrence'a?

— Wszystko w porządku.

— To dobrze. Nie widziałam go od wieków. Ciebie zresztą też. Musimy się kiedyś umówić. Ta nowa rewia z okazji koronacji zapowiada się całkiem niezłe.

— Mamo. Chcę z tobą porozmawiać.

— Tak, kochanie?

— Czy możesz zostawić twarz w spokoju i posłuchać mnie przez chwilę?

Ann spojrzała zdziwiona.

— Boże mój, Sarah. Chyba jesteś wytrącona z równowagi.

— Chcę z tobą porozmawiać. To poważna sprawa. Chodzi o Gerry'ego.

— Och. — Ann opadły ręce. — O Gerry'ego?

Sarah oświadczyła zwięźle:

— Gerry chce, bym odeszła od Lawrence'a i wyjechała z nim do Kanady.

Ann wzięła głęboki oddech i powiedziała lekceważąco:

— Przecież to nonsens! Biedny, pocziwy Gerry. Doprawdy, trudno znaleźć odpowiednie określenie na jego głupotę.

— Gerry jest w porządku, mamó — odparowała Sarah.

— Wiem, że zawsze ci na nim zależało, kochanie. Lecz mówiąc poważnie, nie uważasz, że wyrosłaś nieco ponad jego poziom? Teraz?

— Mamó, nie pomożesz mi w ten sposób. — Głos Sarah drżał. — Porozmawiajmy na serio.

— Chyba nie zamierzasz traktować poważnie takich bzdur — skwitowała ostro Ann.

— Niestety, mamó. Zamierzam.

— Cóż, przemawia przez ciebie głupota.

— Gerry zawsze był mi bliski, a ja jemu — Sarah nie ustępowała.

— Och, moje biedne dziecko! — zaśmiała się Ann.

— Nigdy nie powinnam wyjść za Lawrence'a. To była moja życiowa omyłka.

— Przyjdzie czas, że zmienisz zdanie. Spoważniejesz. To wszystko.

Sarah poderwała się i zaczęła niespokojnie krążyć po pokoju.

— Nie, mamó. Nie spoważnię, jeśli tak to nazywasz, i nie zmienię zdania. Moje życie to istne piekło.

— Nie przesadzaj — powiedziała kwaśno Ann.

— Lawrence jest potworem, jest nieludzką istotą.

— Lawrence jest oddany tobie.

— Dlaczego to zrobiłam? Dlaczego? Tak naprawdę nie zależało mi, na tym małżeństwie. — Sarah nieoczekiwanie zwróciła się przeciwko matce: — Nie wyszłabym za Lawrence'a, gdyby nie ty.

— Ja? — Ann zapłonęła gniewem. — Nie miałam z tym nic wspólnego!

— Miałaś! A jakże!

— Powiedziałam ci wówczas, że decyzja należy do ciebie.

— Tak, lecz to ty wynajdywałaś argumenty, potwierdzające słuszność mego kroku.

— Nonsens! Czysty absurd! Wprost przeciwnie, zwracałam ci uwagę na jego zaszarganą reputację, ostrzegałam, że podejmujesz ryzyko...

— Wiem. Ale chodzi o sposób, w jaki to mówiłaś. Wielka mi rzecz, słowa! Słowa się nie liczą, mamó, liczą się intencje. A ty chciałaś, żebym go poślubiła. Chciałaś. Wiem, że tak było. Dlaczego? Żeby pozbyć się mnie z domu?

Ann zmierzyła córkę złym wzrokiem.

— Doprawdy, Sarah, atakujesz mnie w sposób zadziwiający.

Sarah zbliżyła się do matki na odległość kroku. Jej oczy, wielkie i ciemne, wyczieraające z pobladłej twarzy, wpatrywały się w oblicze Ann w rozpaczliwym poszukiwaniu prawdy.

— Wiem, co mówię, mamó. Chciałaś, bym poślubiła Lawrence'a. A teraz z kolei nie cię nie obchodzi, że moje małżeństwo zamienia się w piekło i że jestem nieszczęśliwa. Czasami dopuszczam do siebie myśl, że nawet cię to cieszy...

— Sarah!

— Tak, mam, ciesz się. Cieszysz się... Chcesz, bym była nieszczęśliwa...

Ann przeszył dreszcz. Odwróciła się gwałtownie od córki i skierowała ku drzwiom. Sarah szła za nią.

— Dlaczego? Dlaczego, mam?

Słowa Ann z trudem przedarły się przez zaciśnięte usta.

— Nie wiesz sama, co mówisz.

— Usiłuję zrozumieć, dlaczego chcesz, bym była nieszczęśliwa.

— Ani chcę, ani nigdy nie chciałam! Nigdy! Nie mów bzdur!

— Mam... — Bojaźliwie, jak dziecko, Sarah dotknęła ręki matki. — Mam... Jestem twoją córką... Powinno ci na mnie zależeć.

— Oczywiście, że mi zależy. Masz do mnie jeszcze jakąś sprawę?

— Nie — rzekła cicho Sarah. — Nie mam. Ale to nieprawda, że ci zależy. Przynajmniej od pewnego czasu. Odsunęłaś się ode mnie. Odeszłaś na dobre. Stałaś się dla mnie nieosiągalna.

Ann starała się zapanować nad swymi uczuciami. Powiedziała suchym, rzeczowym tonem:

— Bez względu na to, jak bardzo kocha się swoje dzieci, przychodzi taka chwila, kiedy muszą stanąć na własnych nogach. Matki nie mogą być zaborcze.

— Zgoda, mam. Ale czy nie powinno być tak, że dzieci przychodzą z kłopotami do własnych matek?

— No dobrze, więc co mam dla ciebie zrobić?

— Chcę, byś mi powiedziała, czy mam odejść z Gerrym, czy zostać z Lawrence'em.

— Zostać z mężem, to oczywiste.

— Oczywiste? A dlaczego?

— Moje drogie dziecko, a jakiej to odpowiedzi spodziewasz się od kobiety z mego pokolenia? Uczono mnie od dziecka przestrzegać pewnych zasad moralnych.

— Moralność nakazuje zostać z mężem, moralność zabrania odejść z kochankiem. Tak?

— Tak, nie inaczej. Oczywiście przypuszczam, że twój idący z duchem czasu przyjaciel ma inny pogląd na te rzeczy. Ale w tej chwili zasięgasz mojej rady.

Sarah westchnęła.

— To nie takie proste, jak ci się zdaje, mam. Mam rozdartą duszę. Jedna jej połowa chce zostać z Lawrence'em, obawia się ubóstwa, lubi wygodne, komfortowe życie, jest zdeprawowana i staje się powoli niewolnikiem nałogu... Natomiast druga chce odejść z Gerrym, i to nie jak jakieś zadurzone dziewczątka, lecz jako ktoś, kto wierzy w Gerry'ego i chce mu pomóc. Widzisz, mam, ja mam w sobie tę siłę, której jemu brakuje. Przychodzi taki moment, kiedy Gerry staje się bezradny jak dziecko i zatracą się w swo-

ich lamentach i to właśnie wówczas ja powinnam dać mu porządnego kuksańca w bok. Gerry ma zadatki na całkiem przyzwoitego człowieka; on po prostu potrzebuje kogoś, kto by go od czasu do czasu prześmiał i pobudził do działania... Och, Gerry potrzebuje kogoś takiego jak ja.

Sarah zawiesiła na matce błagalne spojrzenie, lecz twarz Ann była niewzruszona.

— Nie zamierzam przykładać ręki do niczego, Sarah. Poślubiłaś Lawrence’a z własnej i nieprzymuszonej woli — choć chcesz mi wmówić, że było inaczej — to teraz bądź mu wierna.

— Mamo...

Ann szła za ciosem.

— I wiesz, kochanie — powiedziała słodko — nie zdaje mi się, by odpowiadało ci prymitywne, farmerskie życie. To brzmi ładnie, kiedy się o tym mówi, lecz jestem przekonana, że pożałujesz swej decyzji, zwłaszcza — to, jak Ann sądziła, było dobrym argumentem — zwłaszcza, kiedy się okaże, że zawadzasz Gerry’emu, zamiast mu służyć pomocą.

Twarz Sarah stwardniała. Podeszła do toaletki, zapaliła papierosa i, zaciągając się, powiedziała niefrasobliwie:

— Nadajesz się na adwokata diabła, mamo.

— Co masz na myśli?

Sarah stanęła na wprost matki. W jej oczach czaiła się nieufność.

— Dlaczego nie chcesz, bym odeszła z Gerry’em? Podaj mi prawdziwy powód, proszę.

— Powiedziałam ci już...

— Nie, wszystko, co powiedziałaś, nie dotyka istoty sprawy. — Z namysłem, niespiesznie, przewiercając matkę wzrokiem, Sarah dokończyła: — Ty obawiasz się, że mogę być z nim szczęśliwa, prawda?

— Obawiam się jedynie tego, że możesz być bardzo nieszczęśliwa!

— Nie, nie wierzę ci. — W słowach Sarah zamykała się cała gorycz świata. — Ty nie potrafisz przejmować się moim nieszczęściem, bo nie życzysz mi szczęścia. Nie lubisz mnie. A nawet więcej. Z jakiegoś powodu, powodu, którego nie znam, ty mnie nienawidzisz... Czyż nie tak? Nienawidzisz, mamo. Nienawidzisz, jak wszyscy diabli.

— Sarah, czyś ty oszalała?

— Nie, nie oszalałam. Wreszcie wygarnęłam ci prawdę. Nienawidzisz mnie od dawna, od lat. Dlaczego, pytam?

— To nieprawda.

— To prawda. Tylko dlaczego? Przecież nie zazdrościsz mi młodości. Niektóre matki zazdroszczą, ale nie ty. Zawsze byłaś dla mnie taka dobra... Dlaczego teraz mnie nienawidzisz? Ja muszę to wiedzieć!

— Nie nienawidzę cię!

— Och, przestań kłamać! — krzyknęła Sarah. — Otwórz się wreszcie przede mną. Co takiego zrobiłam, by zasłużyć sobie na nienawiść? Zawsze cię uwielbiałam. Zawsze się do ciebie przymilałam i starałam się postępować tak, byś była ze mnie zadowolona.

Teraz Ann spojrzała na córkę przenikliwym wzrokiem. Teraz ona ubrała swe słowa w gorycz.

— Jednym słowem, poświęcałaś się dla mnie. Ty... dla mnie. Tak?

— O jakim poświęceniu mówisz, mamó? — zdziwiła się Sarah.

Głos Ann zadrżał; ciasno spłotła dłonie.

— Zrezygnowałam z własnego życia, zrezygnowałam ze wszystkiego, co było mi drogie, a moja córka nawet tego nie pamięta.

— Doprawdy nie wiem, o czym mówisz.

— Nie wiesz, to oczywiste. Ty nawet nie pamiętałaś imienia i nazwiska Richarda Cauldfielda. „Richard Cauldfield? A któż to taki?”, zapytałaś rok temu.

Sarah zaczynała pojmować. Skonsternowana, powtórzyła za matką:

— Richard Cauldfield?

— Tak. Richard Cauldfield. — Ann przeszła do otwartego ataku. — Ty go nie lubiłaś, ale ja go kochałam! Zależało mi na nim bardzo. Chciałam za niego wyjść. Niestety, pozwoliłam mu odejść... dla ciebie.

— Mamó... — W głosie Sarah narastało przerażenie.

Ann oświadczyła wyzywająco:

— Miałam prawo do własnego szczęścia.

— Skąd mogłam wiedzieć, że naprawdę ci na nim zależy — broniła się Sarah.

— Mogłaś, ale nie chciałaś. Udawałaś ślepa. Robiłaś wszystko, by nie dopuścić do mojego małżeństwa. Prawda to czy nie?

— Tak, to prawda... — Sarah wróciła myślami do tamtych dni. Na samo wspomnienie tamtego dziecinnego tupetu i śmiesznej dziecinnej pewności siebie zrobiło jej się niedobrze. — Nie sądziłam, że ów mężczyzna mógłby cię uszczęśliwić...

— A któż ci dał prawo do myślenia za kogoś drugiego? — zapytała gniewnie Ann.

Gerry powiedział jej to samo. Gerry zmartwił się, kiedy mu oświadczyła, że nie dopuści do małżeństwa matki. A ona była tak dumna z siebie, tak głupio triumfująca nad znienawidzonym „Kalaforem”. Dopiero teraz widzi, ile było okrucieństwa w jej zazdrości o matkę. Dopiero teraz wie, jak jej matka z powodu tej zazdrości cierpiała, zmieniając się, dzień po dniu, w nerwową, nieszczęśliwą kobietę. I oto teraz stoi przed obliczem tej kobiety i nie potrafi wytłumaczyć się ze stawianych sobie zarzutów.

Jedyne słowa, które i tak z trudem znajdowała, nie mogły dać jej matce żadnej satysfakcji.

— Nie wiem... Och, mamó, nie wiem...

Ann znów wróciła myślami w przeszłość.

— Mogliśmy być szczęśliwi — mówiła. — Richard był samotnym człowiekiem. Jego pierwsza żona umarła przy porodzie razem z dzieckiem. Przeżył szok i nosił w sercu żalobę do chwili, kiedy go poznałam. Miał swoje wady, wiedziałam o tym; bywał nadęty i pryncypialny, a tego młodzi ludzie nie lubią, ale pod zewnętrzną powłoką kryła się dobroć i prostota. Mogliśmy razem dożyć szczęśliwej starości, razem się starzeć. Zamiast tego, zadałam mu bolesny cios i kazałam iść precz. Wysłałam go do hotelu, na południowe wybrzeże, gdzie spotkał tę małą, głupią jędzę, która ani go nie rozumie, ani o niego nie dba.

Sarah odsunęła się. Każde słowo raniło jej serce. Szukała czegoś na swoją obronę.

— Jeśli tak bardzo pragnęłaś wydać się za niego — powiedziała — to trzeba było to zrobić, nie licząc się z nikim.

— A czy ty nie pamiętasz wiecznych scen, nie kończących się awantur? Wy dwoje żyliście w tym domu jak pies z kotem. Ty prowokowałaś go celowo; prowokacje były częścią twojego planu.

(Tak, były częścią mojego planu...)

— Nie mogłam tego znieść, z dnia na dzień atmosfera się zagęszczała. Ostatecznie musiałam stanąć przed alternatywą. Musiałam wybierać, Richard tego zażądał, wybierać między nim a tobą. Ty byłaś moją córką, moją krwią. Wybrałam ciebie.

— I od tego czasu — powiedziała Sarah domyślnie — nienawidzisz mnie...

Wszystko stało się jasne.

Owinęła się futrem i ruszyła do drzwi.

— W porządku. Przynajmniej wiadomo, na czym stoimy.

Jej głos miał twarde, czyste brzmienie. Od kontemplowania ruin, w jakie zamieniło się życie matki, przeszła do kontemplacji własnych nieszczęść.

Stając w drzwiach, odwróciła się do kobiety o zniszczonej twarzy, która nie zaprzeczyła ostatniemu oskarżeniu.

— Nienawidzisz mnie za zrujnowanie twojego życia, mamó. Wiedz zatem, że ja nienawidzę cię za zniszczenie mojego!

Ann powiedziała zwięźle:

— Twoje życie jest twoim życiem. Sama dokonałaś wyboru.

— Och, nie, nie sama. Przestań być taką cholerną hipokrytką, mamó. Przyszłam do ciebie, byś powstrzymała mnie przed małżeństwem z Lawrence'em. Wiedziałaś, że jestem w nim zadurzona, ale wiedziałaś także, że chciałam się wyrwać z zaczarowanego kręgu iluzji. Mogłaś mi w tym pomóc. Mogłaś mną pokierować.

— Nonsens. Dlaczego miałabym chcieć, byś wychodziła za Lawrence'a?

— Myślę, że przewidziałaś, iż będę nieszczęśliwa. Ty byłaś nieszczęśliwa, więc chciałaś, bym i ja zaznała cierpienia. Mamó, zdradź mi pewną tajemnicę. Czy naprawdę nie czułaś ukłucia w sercu, wiedząc, że jestem godna pożałowania, mając takiego męża?

W namiętym porywie gniewu Ann wyznała:

— Czasami zdarzało mi się myśleć, że nieźle sobie na to zapracowałam!

Matka i córka mierzyły się nieprzejednanym wzrokiem.

Potem Sarah roześmiała się gardłowo, nieprzyjemnie.

— W porządku. Wszystko jasne. Żegnaj, mamó. Droga mamó.

Wyszła z sypialni matki i ruszyła korytarzem. Za chwilę drzwi mieszkania zamknęły się za nią z głośnym szczęknięciem zamka. Nieodwołalnie.

Ann została sama.

Drżąc na całym ciele, rzuciła się na łóżko. Łzy, długo wstrzymywane, wreszcie popłynęły wezbranym strumieniem.

Płakała tak, jak nie płakała przez lata całe.

Płakała...

Czas płynął. Kiedy w końcu otarła zapuchnięte policzki, rozległ się brzęk porcelany i do sypialni weszła Edith, dźwigając przed sobą tacę z herbatą. Służąca postawiła zastawę na nocnym stoliku i przysiadła obok swojej pani; pogłaskała ją delikatnie po ramieniu.

— Dobrze już, dobrze, moje jagniątko, moja ślicznotko... Przyniosłam filiżankę herbatki, a pani popije nią wszystko, co tu zostało powiedziane.

— Och, Edith, Edith... — Ann przyłgnęła kurczowo do wiernej służącej i powierzyła jej.

— No już dobrze, już dobrze; nie warto się tak przejmować. Wszystko się jakoś ułoży.

— Nagadałam tyle głupstw... tyle głupstw...

— No i kto by się zamartwiał głupstwami. Proszę usiąść. Już nalewam herbatę. A teraz ją pani wypije.

Ann posłusznie usiadła i uniosła do ust filiżankę z parującym napojem.

— Tylko patrzeć, jak się pani poczuje lepiej.

— Jak ja mogłam...?

— Teraz proszę się nie martwić...

— Jak mogłam powiedzieć jej coś takiego?

— Lepiej raz powiedzieć, niż zadręczać się myśleniem; wiem, co mówię. Złe myśli trzeba z siebie wyrzucić, inaczej by człowieka żółć zalała.

— Byłam tak okrutna... tak okrutna...

— Powiedziałabym, że całe zło, co się za panią wlecze od dawna, wzięło się z wiecznego tłumienia w sobie złości. Trzeba zrobić awanturę, raz a dobrze, takie jest moje zdanie, jak chce pani wiedzieć. Nie można wszystkiego w sobie dusić i udawać, że nic złego się nie dzieje. Każdy ma jakieś parszywe myśli, ale nikt nie lubi się do nich przyznawać.

— Czy ja rzeczywiście nienawidzę Sarah? Mojej małej Sarah? Tej, która zawsze była taka słodka i radosna?

— Oczywiście, że nie — zapewniła Edith.

— A jednak. Chciałam przecież, żeby cierpiała, żeby życie ją zraniło tak, jak zraniło mnie.

— No, tego już za wiele. Pani jest całkowicie oddana panience Sarah. Zawsze tak było. Mnie tam nic nie zwiedzie.

— Przez cały ten czas... przez cały ten czas... ciemnym, ukrytym nurtem napływała do mego serca nienawiść...

— Szkoda, że wcześniej tego pani z siebie nie wyrzuciła. Dobrze się pokłócić, to jak przewietrzyć izbę.

Ann bezwładnie opadła na poduszki.

— Ale teraz jej nie nienawidzę — stwierdziła ze zdumieniem. — Nagle wszystko minęło, tak, to prawda, minęło...

Edith wstała i na odchodnym raz jeszcze pogłaskała swoją panią po ramieniu.

— Nie trzeba się gryźć, moja śliczna. Wszystko będzie dobrze.

Ann potrząsnęła głową.

— Nie, nigdy. Powiedziałyśmy sobie takie rzeczy, jakich człowiek nie jest w stanie zapomnieć.

— Proszę w to nie wierzyć. Jak to się mówi: słowem kości nie przetrącis.

— Nie, Edith, pewnych słów nigdy się nie wybacza.

Edith, podnosząc tacę, powiedziała dobitnie:

— Nigdy nie trzeba mówić „nigdy”.

Rozdział czwarty

Sarah, wróciwszy do siebie, udała się wprost do dużego pomieszczenia na tyłach domu, które Lawrence nazywał swoim studiem.

Lawrence właśnie rozpakowywał świeżo nabytą statuetkę. Była ona dziełem rąk młodego francuskiego rzeźbiarza.

— I co powiesz, Sarah? Piękna, prawda?

Jego palce czule pieściły linię nagiego ciała w nieskromnej pozie.

Sarah otrząsnęła się, jakby pod wpływem złego wspomnienia.

— Owszem, piękna, tyle że wulgarna! — odparła, marszcząc czoło.

— Och, dajże spokój, wciąż mnie zadziwiasz swoim purytanizmem. Jeszcze się z niego nie wyleczyłaś?

— Ta figurka jest obsceniczna.

— Może nieco dekadenccka... Za to zadziwia samym pomysłem i fantazją. Paul zażywający haszysz. Oczywiście! W tym pewnie zawiera się duch rzeźby. — Odstawił figurkę i zwrócił się do Sarah: — Moja urocza żona wygląda bardzo *en beauté*, a także czymś się martwi. Zmartwienia to twoja druga skóra, kochanie.

— Strasznie się pokłóciłam z moją matką.

— Naprawdę? — Lawrence uniósł brwi, rozbawiony. — Coś podobnego! Trudno mi sobie wyobrazić kłótnię z subtelną, uprzejmą Ann.

— Dzisiaj nie była subtelna ani uprzejma. Przyznaję, że przeżyłam horror.

— Familijne spory bywają wielce interesujące, Sarah. Lepiej o nich nie rozmawiajmy.

— Nawet mi się nie śni. To były nasze porachunki, moje i matki. Nie, z tobą chcę porozmawiać o czymś zupełnie innym. Odchodzę od ciebie, Lawrence.

Steenie nie pokazał po sobie szczególnego poruszenia. Jeszcze raz uniósł brwi i mruknął:

— Chyba zdajesz sobie sprawę, że to niezbyt mądry krok, Sarah.

— Czyżbyś mi groził?

— Och, skądże znowu. Ja cię tylko łagodnie ostrzegam. Więc dlaczego to robisz? Moje poprzednie żony też ode mnie odchodziły, ale, doprawdy, one miały istotne powody. A ty? Nie złamałem, na przykład, twojego serca. Masz go zresztą niewiele, przynajmniej dla mnie. No i wciąż jeszcze...

— Jestem królewską faworytą, tak?

— Jeśli chcesz to ująć w orientalne ramy. Tak, Sarah, nadal uważam, że jesteś doskonała, a ten twój purytanizm dodaje smaku naszemu... jakby to powiedzieć... raczej pogańskiemu stylowi życia. A przy okazji, powód, z jakiego opuściła mnie pierwsza żona, nie znajduje zastosowania w twoim wypadku. Zważywszy na to, co robisz, moralna dezaprobatą nie przystaje do twojego wizerunku.

— Czy to ważne, dlaczego od ciebie odchodzę? Nie udawaj, że dbasz o to!

— Dbam, i to bardzo. Jesteś, przynajmniej na razie, moją najdroższą inwestycją. Droższą od tego wszystkiego.

Zatoczył dłonią szeroki łuk.

— Chyba nie chcesz powiedzieć, że mnie kochasz.

— Romantyczne oddanie, jak ci to już mówiłem, nigdy nie było w moim stylu. Płacę, więc wymagam.

— Jeśli chcesz znać całą prawdę, jest ktoś inny — wyznała Sarah. — Odchodzę do niego.

— I chcesz zostawić za sobą swoje grzeszki?

— Co to ma znaczyć?

— Zastanawiam się tylko, czy pójdzie ci tak łatwo, jak sądzisz. Byłaś pojętną uczennicą, Sarah. Prąd życia biegnie w tobie z wielką mocą. Czy potrafisz wyzbyć się tych doznań, tych przyjemności, tych przygód, na które tak żywo reagowały twoje zmysły? Pomyśl o wieczorze u Mariany... przypomnij sobie Charcot i jego rozrywki... Tych rzeczy, Sarah, nie da się łatwo odsunąć na bok; wymazać z pamięci.

Sarah patrzyła na męża. Przez moment można było wyczytać lęk w jej oczach.

— Wiem... Wiem... ale czasami ludziom się to udaje.

— Ludziom? Pomyśl raczej o sobie. Tkwisz w tym głęboko...

— Ale postaram się uwolnić... Na pewno się uwolnię...

Odwróciła się gwałtownie i wybiegła z pokoju.

Lawrence trzasnął statuetką o stół.

Był poważnie zdenerwowany. Jeszcze nie zdążył znudzić się Sarah. Wątpliwe, czy znudziłby się nią kiedykolwiek; stworzeniem pełnym temperamentu, niepokornym, niezależnym, stworzeniem o olśniewającej urodzie. Najcenniejszym, niezwykle rzadko spotykanym okazem w całym zbiorze Kolekcjonera.

Rozdział piąty

— Sarah, kogo ja widzę! — Siedząca za biurkiem Laura Whitstable patrzyła na gościa z niemałym zdziwieniem.

Sarah była równie zdyszana, co wzburzona.

— Nie widziałam cię od lat, chrzestna córko.

— Tak, wiem... Och, Lauro, znalazłam się w okropnym położeniu.

— Usiądź. — Laura Whitstable pchnęła ją lekko w stronę kanapy. — I opowiadaj.

— Postanowiłam szukać u ciebie ratunku... Lauro, czy można... czy jest jakiś sposób na zerwanie z czymś... to znaczy na zaprzestanie przyjmowania czegoś, do czego człowiek się przyzwyczaił? — Dodała pośpiesznie: — Och, Boże, przecież ty nawet nie wiesz, o czym ja mówię.

— Ależ wiem. Chodzi o narkotyki?

— Tak.

— Cóż, to zależy. Łatwe to na pewno nie jest, zwłaszcza jeżeli chodzi o kobiety. Trzeba wziąć pod uwagę okres przyjmowania, stopień uzależnienia, ogólny stan zdrowia, dalej: zdeterminowanie, odwagę i siłę woli, niezbędne do walki z nałogiem, no i wreszcie warunki życia, plany na przyszłość, a, jeśli się jest kobietą, należałoby pomyśleć o kimś, kto wyciągnąłby pomocną dłoń i pomógł w walce z samą sobą.

Rzeczowe podejście Laury do sprawy przyniosło Sarah ogromną ulgę. Jej twarz pojaśniała.

— Świetnie. W takim razie myślę, że mi się uda.

— Masz zbyt wiele czasu, a pustka niczym nie wypełnionych godzin może okazać się groźna dla terapii — ostrzegła Laura.

Sarah zaśmiała się.

— Lauro, znalazłam cel w życiu! To, co mi grozi, to ciężka praca od świtu do nocy.

— Wspaniale, Sarah, wspaniale. Widzę, że moja chrzestna córka zaczyna wreszcie dorastać.

— Masz rację, Lauro. Rzeczywiście moje dzieciństwo trwało zbyt długo. Powinam uderzyć się w piersi: to nie Gerry jest słabym człowiekiem, lecz ja. To ja zawsze szukałam czyjegoś wsparcia. — Zachmurzyła się. — Lauro, muszę ci wyznać, że byłam wprost okropna dla mojej matki. Dopiero dzisiaj zdałam sobie w pełni sprawę, jak wiele znaaczył dla niej Richard Cauldfield. Parę lat temu, wtedy kiedy powinnam, nie wzięłam sobie do serca twoich ostrzeżeń odnośnie do poświęcenia i całopalnej ofiary. Wielce z siebie zadowolona, miałam jedno w głowie: pozbyć się z domu tego biedaka. Teraz widzę, że zżerała mnie śmieszna, dziecinna zazdrość. To przeze mnie mama się go wyrzekła, a co za tym idzie, znienawidziła mnie. Lata mijały; choć z jej ust nigdy nie padło słowo oskarżenia, stopniowo stawałyśmy się sobie coraz bardziej obce. A dzisiaj, wyobraź sobie, rozpętała się potworna awantura. Wygarnęłyśmy sobie wzajemne żale; obwiniłam ją o moje zmarnowane życie; o całe zło, jakie mi się przydarzyło. Tak, musiałam wreszcie to z siebie wyrzucić.

— Rozumiem.

— A teraz — Sarah była wyraźnie przygnębiona — teraz nie wiem, co robić. Gdybym mogła jej to w jakiś sposób wynagrodzić... Myślę jednak, że już za późno.

Laura Whitstable poderwała się żwawo.

— Największą stratą czasu jest mówienie słusznych rzeczy osobie nie tej, co trzeba...

Rozdział szósty

1

Edith podniosła słuchawkę telefonu z miną kogoś, kto trzyma w ręku laskę dynamitu i wzięwszy głęboki oddech, wykręciła numer. Kiedy usłyszała sygnał, spojrzała za siebie, jakby się upewniając, czy na pewno jest sama w mieszkaniu.

— Welbeck 97438 — przebiegł po drucie czyjś energiczny, swobodny głos.

Edith podskoczyła.

— Czy to dama Orderu Laura Whitstable?

— Przy telefonie.

Edith przełknęła ślinę raz i drugi.

— Mówi Edith, proszę pani. Edith od pani Prentice.

— Dobry wieczór, Edith.

Edith przełknęła ślinę raz jeszcze i powiedziała ponuro:

— Te aparaty, proszę pani, to obrzydliwy wynalazek.

— Owszem, Edith, koszmary. Chcesz mi pewnie coś powiedzieć, tak?

— Pewnie, że chcę. O pani Prentice. Martwię się o nią, i to jak.

— Ależ Edith, martwisz się o swoją panią nie od dzisiaj, ale od zawsze.

— To całkiem co innego, proszę pani. Ona teraz straciła apetyt. Siedzi i nic nie robi. I często płacze. Uspokoiła się, jeśli pani rozumie, co mam na myśli; nie ma w niej śladu po niedawnej nerwowości i ciągłym podnieceniu. I już mi nie dokucza. Jest uprzejma i uważna, jak to kiedyś bywało, ale w tej jej uprzejmości nie ma odrobiny serca. Ani ducha. To okropne, proszę pani. Naprawdę okropne.

Obrzydliwy wynalazek odpowiedział: „interesujące”, w oschły, zawodowy sposób. Nie takiego tonu oczekiwała Edith.

— Serce krwawi, proszę pani.

— Nie używaj takich śmiesznych określeń, Edith. Serce krwawi wówczas, kiedy jest fizycznie uszkodzone.

Edith nie ustępowała.

— To ma coś wspólnego z panienką Sarah, proszę pani. Zrobiła się prawdziwa awantura, po panience ani śladu, a to już miesiąc, proszę pani.

— Sarah wyjechała z Londynu. Jest na wsi.

— Pisałam do niej.

— Do niej nie docierają żadne listy.

Edith nieco się uspokoiła.

— Jak tak, to w porządku. Ale kiedy wróci do Londynu...

— Myślę, Edith, że powinnaś być przygotowana na pewien szok. Panienska Sarah wyjeżdża do Kanady z panem Geraldem Lloydem.

Edith prychnęła niby rozzłoszczony syfon z wodą sodową.

— Widział to kto! Zostawiać swojego męża! To istna niegodziwość!

— Nie bądź świętoszkowata, Edith. Kim jesteś, by osądzać uczynki innych ludzi? Ona tam będzie miała ciężkie życie. Skończyły się luksusy i zbytki.

Edith westchnęła.

— No, to mi wygląda na trochę mniejszy grzech... A za pani pozwoleniem, na widok pana Steene'a zawsze cierpła mi skóra. To taki rodzaj dżentelmena, co to jak nic zaprzędał duszę diabłu.

Laura Whitstable powiedziała chłodno:

— Uwzględniając oczywiste różnice w naszej terminologii, jestem skłonna zgodzić się z tobą.

— Czy panienska Sarah nie przyjdzie się pożegnać?

— Chyba nie.

Edith obruszyła się:

— No to powiem, że ma serce z kamienia.

— Ależ ty nic a nic nie rozumiesz.

— Może i nie. Za to wiem, jak powinna zachowywać się córka wobec własnej matki. Nigdy bym panienki Sarah o coś takiego nie posądziła. Nie może pani nic na to poradzić?

— Nigdy nie mieszam się do spraw innych ludzi.

Edith wciągnęła spory łyk powietrza.

— Za pozwoleniem, proszę pani, wiem nie od dziś, co pani znaczy w świecie, a pani wie, że ja jestem tylko służącą, ale powiem jedno: nadeszła wreszcie pora, żeby się wmieszać!

2

Edith musiała dwa razy powtórzyć to samo, by jej słowa dotarły do pograżonej w zadumie Ann.

— Co mówisz, Edith?

— Mówię, że pani dawno nie była u fryzjera. Trzeba by trochę zadbać o włosy.

— Ani mi się śni. Mogę osiwieć do końca.

— To prawda, kobieta z siwymi włosami wzbudza szacunek, ale druga prawda, że kobieta z głową pół na pół wygląda byle jak.

— Nieważne.

Nic nie jest ważne. Każdy dzień jest nudny, a każda godzina pusta. Jutro też nie jest ważne, pomyślała Ann, powtarzając raz za razem: Sarah nigdy mi nie wybaczy. I będzie miała rację...

Zadzwonił telefon. Ann podeszła, podniosła słuchawkę i powiedziała apatycznie:

— Halo.

— Ann? — Ostry, pewny siebie głos z drugiego końca linii mógł należeć jedynie do Laury Whitstable, do nikogo innego.

— Tak.

— Nie lubię się wtrącać do życia innych ludzi, ale jak myślę, jest coś, o czym powinnaś wiedzieć. Dzisiaj o ósmej wieczorem, Sarah i Gerald Lloyd odlatują do Kanady.

— Co takiego? — Ann straciła oddech. — Ja... Ja nie widziałam Sarah od tygodni.

— Wiem o tym. Twoja córka była w lecznicy pod Londynem. Zgłosiła się tam dobrowolnie, na kurację odwykową.

— Och, Lauro! I jak to zniosła?

— Świetnie, choć z pewnością sporo wycierpiała. Przyznaję, jestem dumna ze swej chrestnej córki. Sarah ma silny charakter.

— Och, Lauro — popłynęły wartkim strumieniem słowa. — Pamiętasz, jak mnie kiedyś zapytałaś, czy znam Ann Prentice? Tak, odpowiadam, znam ją. To ja zrujnowałam życie Sarah przez wieczny żal i urazę. Ona mi nigdy nie przebaczy!

— Nonsens! Nikt, tak naprawdę, nie może zrujnować życia drugiemu człowiekowi. Porzuć ten melodramatyczny ton i przestań się pławić w słodkiej litości nad sobą.

— Ale to prawda. Wiem dokładnie, jaka jestem i co zrobiłam.

— Świetnie, Ann, brawo! Ale czy nie uważasz, że sama wiedza to trochę za mało? Czy nie należałoby posunąć się o krok do przodu?

— Nic nie rozumiesz, Lauro. Gnębią mnie okropne wyrzuty sumienia, czuję się podle...

— Posłuchaj, Ann, po pierwsze, nie znoszę, kiedy ludzie mi opowiadają o swojej szlachetności i kiedy szlachetnymi pobudkami zasłaniają mniej szlachetne czyny, a po drugie, nie znoszę, kiedy ktoś rozwodzi się po czasie nad swym niegodziwym postępowaniem. Znając twoje czyny, można by odnieść do ciebie i jedno, i drugie, a jakże, lecz co się stało, to się nie odstanie. Nie można cofnąć czasu. Trzeba żyć dalej.

— Więc co powinnam zrobić?

Laura Whitstable parsknęła prowokacyjnie.

— Mogłam się wmieszać w nie swoje sprawy, lecz nie na tyle, by pozwolić sobie na udzielanie rad.

To mówiąc, Laura Whitstable przerwała połączenie.

Ann, niby we śnie, przemierzyła pokój i usiadła na kanapie. Zapatrzyła się przed siebie...

Sarah... Gerry — czy będzie im dobrze ze sobą? Czy jej dziecko, jej ukochane dziecko, znajdzie ostatecznie szczęście? Gerry to z gruntu słaby człowiek. Czy nadal będzie zasłaniał się pechem? Czy zniszczy Sarah? Czy ją unieszczęśliwi? Czy Sarah raz jeszcze się rozczaruje? Gdyby Gerry był mężczyzną innego pokroju. Gdyby... Cóż, Sarah kocha go takiego, jaki jest.

Czas mijał. Ann nadal siedziała nieruchomo, zapatrzona w przestrzeń. Jej już nic nie pozostało do zrobienia. Nie może rościć do nikogo żadnych pretensji. Czuła, że ją i Sarah dzieli przepaść.

Edith, zajrzawszy raz do swojej pani, uznała za stosowne jak najprędzej wycofać się i czekać na wezwanie.

Ale teraz dzwonił dzwonek u drzwi; należało wypełniać obowiązki.

— Pan Mowbray przyszedł po panią.

— Co takiego?

— Mówię, że przyszedł pan Mowbray. Czeka na schodach.

Ann zerwała się z miejsca. Spojrzała na zegarek. Jak mogła przesiedzieć tyle czasu, jak sparaliżowana? Jeszcze tego wieczoru Sarah odjeżdża, na drugi koniec świata...

Schwyciła futrzaną pelerynkę i wybiegła z mieszkania.

— Basil — powiedziała błagalnie. — Proszę, podrzuć mnie na lotnisko. Tak szybko, jak to możliwe.

— Ależ, Ann, co to ma znaczyć?

— Chodzi o Sarah. Właśnie odlatuje do Kanady. Nawet się z nią nie pożegnałam.

— Kochanie, nie uważasz, że takich spraw nie odkłada się na ostatnią chwilę?

— Masz rację, Basil. Byłam głupia, lecz teraz chcę to zrobić, choćby w ostatniej chwili. Och, ruszaj, proszę!

Basil Mowbray westchnął i zapuścił motor.

— Zawsze uważałem cię za niezwykle rozsądną kobietę, Ann — powiedział z wyrzutem. — Mogę sobie pogratulować, że nie jestem ojcem. Ludzie, którzy mają dzieci, często zachowują się dość dziwnie.

— Basil, jedź prędzej.

Basil westchnął po raz drugi.

Przez Kensington, omijając zakorkowaną Hammersmith Road, małymi, bocznymi uliczkami, przez zatłoczone Chiswick, wydostali się wreszcie na Great West Road i pojechali wzdłuż zwartych zabudowań fabrycznych, wzdłuż oświetlonych neonami gma-

chów, a także pomiędzy rzędami zadbanych domów mieszkalnych. Matki i córki, ojcowie i synowie, mężowie i żony. A wszyscy z jakimiś problemami, z kłótniami i pojednaniami. Zwykli ludzie, pomyślała Ann. Tacy jak ja. I nagle zalała ją fala miłości i zrozumienia do całej ludzkiej rasy... Czyż w świecie zaludnionym pokrewnymi jej istotami, mogłaby czuć się samotna? Kiedykolwiek?

3

Hala odlotów na Heathrow wypełniona była po brzegi. Pasażerowie oczekiwali na wezwanie do wyjścia na płytę lotniska.

— Nie żalujesz? — zapytał Gerry.

Sarah odpowiedziała mu ufnym spojrzeniem.

Była teraz szczuplejsza, a jej twarz nosiła na sobie piętno przebytego bólu; twarz starsza, nie mniej piękna niż poprzednio, lecz już w pełni dojrzała.

Gerry chciał, bym pożegnała się z matką, myślała dziewczyna. On nic nie rozumie... Gdybym tylko mogła wynagrodzić jej krzywdę, jakiej ode mnie doznała — ale nie mogę...

Nie mogła przywrócić matce Richarda Caulfielda...

Nie, to, co zrobiła, jest nie do wybaczenia. Cieszył ją Gerry. Cieszyła ją wspólna podróż ku nowemu życiu. A jednak jej serce krzyczało z bezsilnego bólu.

Odjeżdżam, mamó, odjeżdżam...

Gdyby tylko...

Podskoczyła nerwowo, słysząc płynącą z megafonu ochrypłą zapowiedź:

— Pasażerowie odlatujący lotem numer 00346 do Prestwick, Gander i Montrealu — proszeni są o podejście do stanowiska kontroli paszportów i do odprawy celnej...

Pasażerowie chwycili swoje bagaże i podążyli we wskazanym kierunku. Sarah, z pewnym ociąganiem, ruszyła za Gerrym.

— Sarah!

Ann, z osuwającą się z ramion pelerynką, przedzierała się ku córce. Sarah zawróciła w pół drogi, upuszczając małą podróżną torbę.

— Mamó!

Matka i córka objęły się mocno, po czym rozluźniły uścisk, aby się sobie przyjrzeć.

Słowa, które Ann zamierzała powiedzieć, ugrzęzły jej w gardle. Zresztą nie były potrzebne. Sarah też nie musiała nic mówić. Prośba „przebac mi, mamó” nie miałyby najmniejszego znaczenia.

Nadeszła chwila, w której Sarah pozbyła się resztek dziecięcego uzależnienia od matki. Przed Ann stała kobieta, która mogła sama decydować o własnym życiu.

Czując instynktowną potrzebę uspokojenia matki, Sarah pośpiesznie zapewniła:

— Mamo, będzie mi dobrze.

Gerry zawtórował z boku, rozpromieniony:

— Będę się o nią troszczył, pani Prentice.

Zbliżył się urzędnik, przynaglając Gerry'ego i Sarah do dopełnienia niezbędnych formalności.

Sarah pragnęła jednak usłyszeć od matki to samo zapewnienie, jakie przed chwilą padło z jej ust.

— Tobie też będzie dobrze, prawda, mamo?

— Tak, kochanie, na pewno. Żegnajcie. I niech was Bóg błogosławi.

Za Gerrym i Sarah zamknęła się furтка, a Ann wróciła do samochodu, gdzie oczekiwał na nią Basil.

— Te potworne maszyny — powiedział Basil, kiedy samolot pasażerski z hukiem przetaczał się po pasie startowym. — Wyglądają niby jadowite owady olbrzymy. Śmiertelnie się ich boję!

Wyjechał z parkingu i zawrócił w stronę Londynu.

— Jeśli nie masz nic przeciwko temu — zasugerowała Ann — wolałabym zrezygnować z dzisiejszego wyjścia. Mam ochotę spędzić spokojny wieczór w domu.

— W porządku, kochanie. Już cię odwożę.

Ann zawsze określała Basila Mowbraya mianem zabawnego, złośliwego kompana. Teraz, nieoczekiwanie dla samej siebie, pojęła, że ma do czynienia z sympatycznym i chyba samotnym człowiekiem.

O Boże, pomyślała, ależ narobiłam wokół siebie zamieszania.

Basil zaniepokoił się.

— Ann, kochanie, czy nie powinnaś kupić czegoś do jedzenia? Miałaś zjeść kolację poza domem.

Ann potrząsnęła z uśmiechem głową. Przed jej oczami pojawiła się przyjemna wizja.

— Zapewniam cię, że kiedy usiądę przed kominkiem, Edith natychmiast przyniesie mi na tacy jajecznicę i filiżankę gorącej herbaty.

Edith, otwierając drzwi swojej pani, obrzuciła ją przenikliwym spojrzeniem.

— A teraz proszę sobie usiąść przy kominku.

— Najpierw zdejmę z siebie ten beznadziejny strój i przebiorę się w coś wygodnego.

— Lepiej będzie, jak wyciągnę z dna szuflady niebieski flanelowy szlafrok, co to mi go pani podarowała cztery lata temu. Znacznie przytulniejszy niż te panine negligez, czy jak im tam. Nigdy go na sobie nie miałam. Jak nic, nadałby mi się kiedyś do trumny.

Leżąc na kanapie w salonie, szczelnie otulona niebieskim szlafrokiem, Ann wpatrywała się w ogień.

Weszła Edith z kolacją. Ustawiła tacę na niskim stoliku, tuż przy boku swojej pani.

— Najpierw niech sobie pani dobrze podje, a potem wyszczotkuję panine włosy — oznajmiła.

Ann uśmiechnęła się.

— Obchodzisz się dzisiaj ze mną jak z małą dziewczynką. Dlaczego?

Edith chrząknęła.

— Pani, na mój gust, to nigdy za bardzo nie wyrosła z dzieciństwa.

— Edith... — Ann spojrzała w oczy służącej i rzekła z pewnym wysiłkiem: — Edith... widziałam Sarah. Wiesz, wszystko w porządku.

— A i czemu by nie! Zawsze tak było! Zawsze to pani powtarzałam!

Edith stała przez moment, przyglądając się Ann.

Jej zgorzkniała starcza twarz wreszcie się rozpuściła i nabrała miękkości. Potem wyszła z salonu. Ten cudowny spokój... pomyślała Ann. Powróciły do niej zapamiętane dawno temu słowa: „A pokój Boży, który przewyższa wszelki umysł...”*

*List św. Pawła do Filipian, 4,7. Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu. Biblia Tysiąclecia, wyd. III, Poznań — Warszawa 1987 (przyp. tłum.).

SPIS TREŚCI

Księga pierwsza	2
Rozdział pierwszy	3
Rozdział drugi	14
Rozdział trzeci	21
Rozdział czwarty	32
Rozdział piąty	41
Rozdział szósty	54
Rozdział siódmy	61
Rozdział ósmy	68
Rozdział dziewiąty	82
Księga druga	92
Rozdział pierwszy	93
Rozdział drugi	106
Rozdział trzeci	110
Rozdział czwarty	120
Księga trzecia	129
Rozdział pierwszy	130
Rozdział drugi	141
Rozdział trzeci	148
Rozdział czwarty	158
Rozdział piąty	160
Rozdział szósty	162